

PRZE KRÓJ

NUMER 14/2911
8 KWIETNIA 2001 r.
Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



Nigel Kennedy
— skrzypek
z fryzurą punk

Sitcom
o chłopcach z lasu

str. 22

Etniczny kociół



MYSZY KOTY I ŚWINIE

**Komiks o losach
żydowskiej rodziny**



A. Blikle

FIRMA CUKIERNICZA, ISTNIEJE OD 1869-go ROKU

POLECA

LUKSUSOWE PRALINY

CZEKOLADOWE I MARCEPANOWE

W ATRAKCYJNYM OPAKOWANIU ŚWIĄTECZNYM



A.BLIKLE sp z o.o. Nowy Świat 35, 00-029 Warszawa
Informacje i zamówienia, telefon: (22) 826 45 68



FOT. JUSTYNA MIŁNIKIEWICZ

22 NIGEL KENNEDY TAKI JUŻ JESTEM. Skrzypek uznawany za światowe objawienie wiolinistyki. Przeszedł szkołę mistrzów – Sir Yehudi Menuhina i Stephane Grappello. Za występ bierze 70 tysięcy funtów albo nic – **JOWITA DZIEDZIC.**



RYŚ. STASZEK CHOLEWA

28 HAJLI, HAJLO. Ludzie z Armii Krajowej, Armii Ludowej i Batalionów Chłopskich mieszkają w jednym lesie, a pilnuje ich ten sam leśniczy. Czy powstanie polski serial komediowy łamiący patriotyczne tabu? – **LESZEK MAZAN.**

38

GALERIA – MACEDONIA. ETNICZNY KOCIOŁ

Widok ten sam, co kiedyś w Kosowie. Ludzie pakujący swój dobytek na wozy, auta, muły, konie. Masa uciekinierów, którzy myślą tylko o jednym – być jak najdalej od miejsca, gdzie padają pociski, gdzie domy w jednej chwili zamieniają się w kupę gruzu, gdzie można stracić życie, chociaż to życie w ubóstwie też niewiele jest warte. Ucieczka bezbronných ludzi – nieodłączny element bałkańskich awantur – **JERZY PIEKARCZYK.**



FOT. REUTERSFORUM



NUMER 14

8.04.2001

OKŁADKA: © ART SPIEGELMAN, JUSTYNA MIŁNIKIEWICZ

Listy	4
Od redakcji i CZECHOT w „Przekroju”	5
Przekrój tygodnia	6
„Maus”: Art Spiegelman, Irena Grudzińska-Gross, Piotr Rypson	10
Kazimierz Targosz Platformą na salony	18
Człowiek w „Przekroju” – Józef Tomczyk Kurosawa	20
Jowita Dziedzic Portret Nigela Kennedy’ego	22
Sport – Wiesław Kraj, Jerzy Cierpiatka Polscy piłkarze bliżej Mundialu	26
Leszek Mazan Nowy sitcom – „Chłopcy z lasu”	28
Łoża – Olbrychski	31
Świat – Beata Płonka Procesja kapturów	32
Formy – Sławek Smoleń Prada promuje sztukę	34
Galeria – Etniczny kocioł	38
Zdrowie Jola Workowska O zaniku mięśni	46
Teresa Bętkowska Hormony pćciowe	48
Internet – VIP-y na czatach	50
Hoff o modzie	54
Adam Wiedemann – Dziennik duszy	55
Klub smakosza – Bikont, Makłowicz, Pióro	56
Instrukcja obsługi telewizora	58
Film – „Podróż Felicji” Atoma Egoyana	60
Oscary 2001 według Adama Garbicza	62
Teatr – Reminiscencje Teatralne	64
Sztuka – Papierowe miasta Katarzyny Józefowicz	66
Książki – Eseje Jerzego Stempowskiego	68
Muzyka – Maanam „Hotel Nirwana”	70
Kwestionariusz Prusa – odpowiada Mariusz Trelński	72
Szatnia – Keff	73
Mieszanka firmowa	74
Bikont grzebie w starych „Przekrojach”	76
Rozwiązanie konkursu na limeryk	78
Krzyżówki	80
Co Pan na to, Panie LEM	82
Rozmaitości	84



KATMANDU I LHOTSE

Z wielkim zainteresowaniem i przyjemnością przeczytałem razem z żoną ciekawy reportaż z Katmandu („P” 2906). Odżyły wspomnienia z naszych himalajskich wędrówek. Jednakże, kiedy autorka opuszcza miasto i zapędza się w Himalaje, to coś tu nie gra: „Kilkanaście kilometrów dalej... wylania się masyw Annapurny. Ganesh Himal, Lhotse...”. Szczyt Lhotse w masywie Everestu jest oddalony w linii powietrznej od Katmandu o około 170 kilometrów. Zidentyfikowanie go jest mniej prawdopodobne niż Kasprowego Wierchu z kopca Kościuszki w Krakowie. Również szczyt Ganesh Himal, położony 100 km na północ od Katmandu, jest chyba trudny do zobaczenia. Z miasteczka Pokhara, oddalonego na zachód od Katmandu

o ponad 150 kilometrów, roztacza się wspaniały widok na masyw Annapurny. Ale z pewnością nie z regionu Katmandu.

Adam Berestyński,
Laguna Beach, Kalifornia

O KOMENTATORACH I NBA

Zgadzam się z panem Jarosławem Krawczykiem, który stwierdził („P” 2905), że brednie komentatorów zakłócają miłe wspomnienia sportowe. Ale w sąsiednim artykule pt. „Czarodzieje parkietu” znalazłem kilka nieścisłości. Przydomek koszykarza wszech czasów – Michaela Jordana – „Air” nie oznaczał wcale szybowca. Był kiedyś taki gracz, wielki rywal Michaela, Clyde Drexler. To właśnie on nosił przydomek „The Glyde”, czyli Szybowiec. Zyskał go, wykonując tzw. wsady na niespotykanej wysokości. Shaquille Rashun rzeczywiście oznacza Wielkiego Wojownika, ale imię to pochodzi z islamskiej księgi imion i nie ma nic wspólnego z „językiem islandzkim”. Ponadto film „Czarodziej Kazaam” nie powstał w 2000 roku, bo wtedy mistrzem NBA zostali Lakersi, ale kilka lat wcześniej. Liga NBA nie miała dobrej passy od początku istnienia, czyli 1947 r. Dopiero po połączeniu się z ligą ABA i rozegraniu pierwszego meczu All Star Game zaczęła się odbijać od dna. To właśnie Michael Jordan wraz ze Scottie Pippenem i pozosta-

łymi gwiazdami początku lat 90. doprowadzili ligę do sukcesu. Interesuję się NBA od 1991 roku. Sporo komentatorów już widziałem i słyszałem. Prawdę powiedziawszy, tylko panu Noculakowi, byłemu trenerowi, który komentuje NBA dla Wizji Sport, nie mam nic do zarzucenia.

Paweł Łanecki, Kraków

IBM I HOLOCAUST

Mówiąc o maszynach IBM, nie można popełniać takiego błędu, jak to uczynił Program I PR, stwierdzając: „firma IBM dostarczyła hitlerowskim Niemcom technologię do dokonania zagłady Żydów”. Było to w informacji o książce Edwina Blacka, Anglika polsko-żydowskiego pochodzenia, pt. „IBM i Holocaust” (pisał o niej w „P” 2905). Na tego rodzaju maszynach analitycznych (na karty perforowane) rozliczana była dostawa energii elektrycznej w Warszawie już w latach 20. Zakład rozliczeniowy mieścił się przy ul. Nowy Świat, maszyny stały w witrynie. IBM dostarczała, jak wynika z publikowanych informacji na ten temat, kolejne egzemplarze maszyn analitycznych z oprogramowaniem, jednakże sama technologia znana była w Niemczech od dziesiątków lat. Parowóz był znany znacznie wcześniej, ale chyba nikt nie zamierza oskarżać potomków Stevensona o to, że dostarczył on Niemcom

technologię do transportu ludzi do obozów śmierci?

Andrzej Kamieński, Warszawa

NIE WRÓŻĘ DOBRZE WIELKIEMU BRATU

No i zaczęło się! Sztuczny entuzjazm i szum informacyjny jak przy okazji imprez politycznych o wysokiej randze. „Wielki Brat” jest wśród nas! A za progiem „Dwa światy”! TVN kontra Polsat! A tu smuta. Lubię podglądać i jestem rasowym podglądaczem. Ale tu z anteny TVN wieje nudą, sztuczością. Grupa obcych sobie ludzi spędzona do kupy i odizolowana od świata ma nas intrygować i jeszcze bawić się. Podobnie zapowiada się w Polsce. A oni tam się męczą, robią, co mogą, mają być sobą, ale usiłują grać (pod dyktando) i to wychodzi żałośnie. Nie ganię, ale współczuję Wam, niewolnikom obu stacji – i tym bardziej doceniam gest dziennikarzy („P” 2907), którzy w TVN zerwali generalną próbę. To samo mogliby zrobić dobrowolni więźniowie obu stacji i wtedy byłoby normalnie, może nawet zabawnie.

AM, Nowy Sącz

NATURA NIE MÓWI WPROST

Nie zgadzam się z opiniami pani Bożeny Keff, wyrażonymi w „Szatni” („P” 2903), a szczególnie z tezą, że natura nie wypowiada się, co jest naturalne. Natura wypowiada się, ale nie mówi wprost: „to jest naturalne, a tamto nie”. Trzeba tylko umieć odczytywać jej mowę. Weźmy tak znany obecnie fakt choroby szalonych krów. Ktoś sobie uznał, że nieszkodliwe (myślę, że w jego mniemaniu wręcz naturalne) będzie karmienie bydła mielonym bydłem (konkretnie – kośćmi). Skutki tego wszyscy znamy i to właśnie jest wypowiedź natury. W podobny sposób natura może (oby nie!) wypowiedzieć się w innej sprawie. Pani Keff gotowa jest uznać BSE za naturalną chorobę u krów. Kto powiedział, że naturalne jest, gdy zwierzę jest zdrowy? Możemy przecież sobie ustalić, że naturalne jest, gdy jest chory! Myślę, że nikt normalny nie da sobie tego wmówić, bo gdzie logika i zdrowy rozsądek?

Jerzy Magiera
<magier@poland.com>

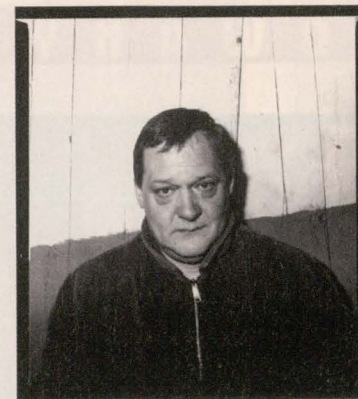
KTO SIĘ BOI MYSZY?

Fakt, że słynny komiks „Maus” ukazuje się w Polsce właśnie w chwili kulminacji ogólnonarodowej dyskusji o stosunkach między Polakami a Żydami, spowodowanej ujawnieniem zbrodni w Jedwabnem, Radziłowie i innych miejscach, o których pewnie niebawem usłyszymy – jest czystym przypadkiem. Wiem o tym, bo sam należę do grona ludzi, którzy o polskie wydanie zabiegali na rozmaite sposoby od dziesięciu lat. W tym czasie losy Władka Szpiigelmana zdążył poznać cały świat, u nas natomiast pobrzmiwały jedynie głosy oburzenia, odsądzające autora od czci i wiary. Tak już jest, najwyraźniej, że jesteśmy narodem ludzi skłonnych jak bodaj żaden inny krytykować i potępiać dzieła, których się nie widziało, książki, których się nie czytało, ludzi, których się nie wysłuchało.

„Maus” nie jest komentarzem do holocaustu ani do stosunków polsko-żydowskich. Mimo zaskakującej formy, książka Arta Spiegelmana to pedantyczny, dokumentalny zapis autobiograficznej opowieści ojca, który przekazuje synowi swoje doświadczenia. I – paradoksalnie – może trafia do księgarń właśnie w idealnym momencie, nie aby wsadzić kij w mrowisko, ale by odsłonić przed Nadwiślanami jeszcze parę faktów z życia żydowskiej rodziny z Sosnowca.

PIOTR BIKONT

PS: Po poprzednim, primaaprilisowym numerze „Przekroju”, Czytelnikom winniśmy sprostowania: 1) Adam Małyś istnieje i – podobnie jak Fortuna, Korzeniowski i Gołota – jest człowiekiem z krwi i kości; 2) Wiesław Walendziak nie ma nic wspólnego z projektem „Orla Lot”, który 3) został wysłany z palców wcale nie Jacka Hugo-Badera i Jerzego Skoczylasa (ten pierwszy w ogóle nigdy nie publikował w „Przekroju”); 4) w charakterze „prawej ręki ośmiornicy” wystąpił na zdjęciach nasz redakcyjny kolega Jurek Piekarczyk, który nie handluje ropą ani bronią, tylko prowadzi rubrykę „Przekrój tygodnia”, a cały wywiad 5) zmyślił w natchnieniu, ukrywający się pod pseudonimem Głowacki, naczelny redaktor Prus.



FOT. IGOR OMULECKI

PRZE KROJ

Założył w Krakowie Marian Eile

WYDAWNICTWO „PRZEKROJ” Sp. z o.o.

ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3 lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,
e-mail: prze_red@przekroj.pl;
TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33, 422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (012) 421-49-29, 422-70-61

PREZES ZARZĄDU: Krzysztof Żarnotal
WICEPREZES I DYREKTOR: Leopold Stefański
REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus
Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Bożena Kalinowska
SEKRETARZ REDAKCJI: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko, Józef Lubiński, Andrzej Ruchałowski

DZIAŁY:

Kultura: Benjamin Lazar, Tomasz Przybytkiewicz, Dobrosław Rodziewicz, Jacek Ziemek (p.o. kierownika)

Ludzie i obyczaje: Izabella Bodnar, Wojciech Czuchnowski (kierownik), Barbara Pajchert, Justyna Tawicka

Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska, Janusz Marjan (kierownik), Leszek Peters

Formy: Marcin Fedisz (kierownik), Wojtek Koccolowski, Stefan Rokita, Agnieszka Wrzesień, Bogna Wernichowska

Publicyści: Ludwik Jerzy Kem, Leszek Mazan, Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz

Pracownia graficzno-komputerowa: Piotr Gidlewski (grafika), Maria Klich, Joanna Sroka (kierownik)

Dział fotograficzny: Joanna Dyczek, Marcin Kędryna (fotoedytor), Bogdan Kręgel, Jan Zych

Korekta: Anna Rudnicka, Małgorzata Strakowska-Szczurek, Barbara Wojtanowicz (kierownik)

Produkcja: Michał Kędryna, Andrzej Laurisz

WYDAWNICTWO: gl. księgowia – Halina Zięba, kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik)

DZIAŁ PROMOCJI: Anna Korwin (kierownik), Władaw Kaczmarczyk („Złoty Grosz”)

DZIAŁ REKLAMY:

Biuro w Warszawie – ul. Wolska 45 A, tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62, Halina Sulkowska (0607-39-03-36)

Biuro w Krakowie – ul. Reformacka 3, tel. (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz

NASZE KONTO: Bank Pekao SA – I O/Kraków nr 12401431-7010439-2700-401112-001

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-67) 210-84-00

PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja; zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33 Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-40060347-2700-457872-001, tel. +48(22) 5328-731, fax +48(22)5328-732 oraz redakcja (wpłata na podane wyżej konto bankowe) Artykułów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Nakład: 90 000 egz.



czecrot PRZE KROJ

POŻEGNANIE CZŁOWIEKA Z KAMERA

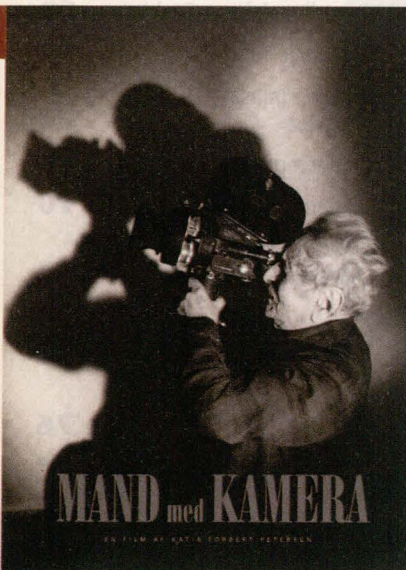
W Kopenhadze, w wieku 86 lat zmarł 6 II wybitny polski operator filmowy WŁADYSŁAW FORBERT, jeden z twórców Polskiej Kroniki Filmowej.

Do Danii wyjechał po pamiętnych wydarzeniach marca 1968 r. Dzięki swoim wybitnym kwalifikacjom i talentom odziedziczonym po ojcu, właścicieli atelier fotograficznego w Warszawie, mógł podjąć pracę w branży filmowej.

Ale już od wczesnej młodości Forbert był związany z aparatem fotograficznym – przed wojną jako fotoreporter „Life’a”. W czasie wojny w szeregach Wojska Polskiego przeszedł cały szlak bojowy aż do Berlina. Jako operator „Czołówki” był w zrujnowanej Warszawie, przy kapitulacji Berlina, w wyzwalanych obozach koncentracyjnych i w Norymberdze podczas procesu zbrodniarzy hitlerowskich.

Córka Władysława, Katarzyna Forbert-Petersen, kontynuuje rodzinną tradycję i jest w Danii znanym filmowcem. Jeszcze za życia ojca zrealizowała film, który jest podsumowaniem jego pracy i nosi tytuł „Człowiek z kamerą”.

Felicja Nowak, Charlottenhund, Dania





FOT. J. TURCZYK/PAPAR, PAPIERACI

DALI MADE IN VIETNAM

Najtańsza kopia kosztuje 20 dolarów, najdroższa 100. Za taką cenę można zamówić w tym studiu w Hanoi każde arcydzieło światowego malarstwa, ale można zamówić kopię z każdej epoki. Wśród nabywców przeważają zagraniczni turyści. Klientami są również miejscowi - W jakim stylu życzy pan sobie mieć namalowany obraz? - Maluj mistrzu we wszystkich, stać mnie na to.

Akurat podrabiany jest obraz Salvadora Dali, nowobogacy. Przypomina się dialog:

WIĘCEJ ŚWIATŁA

Z najwcześniejszych zeznań świadków mordowania Żydów w Jedwabnem, złożonych w 1947 r. przed sądem w Łomży, wynika, że sprawcami byli Niemcy. Prof. Daria Nałęcz - dyrektor Archiwów Państwowych - twierdzi, że do tych relacji należy podchodzić z dużą ostrożnością, chociaż w ich świetle udział Niemców w zbrodni staje się prawdopodobny.

SZLAKIEM V KOLUMNY

Kazimierz Morawski - prezes Unii Chrześcijańsko-Społecznej Akcja Ekumeniczna - zrezygnował z funkcji doradcy prezydenta RP ds. mniejszości narodowych. Wcześniej „Gazeta Polska” przypominała mu, że w 1968 r. miał przestrzegać przed „atakami V kolumny syjonistów”.

ZMOWA POKEMONÓW

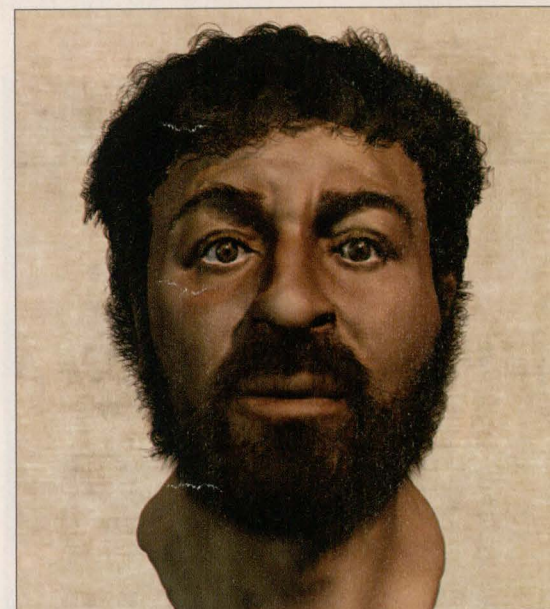
Najwyższy Komitet Badań Naukowych i Prawa w Arabii Saudyjskiej zakazał sprzedaży gier i kart z pokemonami, zarzucając im promowanie syjonizmu, hazardu i masonerii. Rzecznik japońskiej firmy, która stworzyła pokemony, uważa, że dopatrywanie się w geometrycznych rysunkach gwiazdy Dawida, krzyża lub znaków masonskich świadczy o przesadnie rozwiniętej wyobraźni.

UMYSŁ MORDERCY

Sąd najwyższy w USA wstrzymał egzekucję 40-letniego Ernesta McCarvera, którego przed 14 laty skazano na śmierć za zabójstwo. Morderca miał umysłowość dziewięciolatka. Podobnie z mordercą z Teksasu o mentalności 7-letniego dziecka, który po odczytaniu wyroku śmierci był przekonany, że skazano go za analfabetyzm.

ROZBIÓRKA AWS

Porozumienie Prawicy, nowa konserwatywno-narodowa partia utworzona w AWS, deklaruje sympatię dla Lecha Kaczyńskiego. Minister sprawiedliwości wołał jednak z bratem założyć własne stowarzyszenie Prawo i Sprawiedliwość. Mimo że z AWS powstały m.in. Porozumienie dla Polski oraz Przymierze dla Przyszłości, o przymierzu i porozumieniu rozmawia się najtrudniej.



Za pomocą komputera i na podstawie najnowszych badań stworzono w telewizyjnym serialu BBC wizerunek Jezusa Chrystusa. Wg tej wersji wyglądem przypominał Palestyńczyka.



„Cieszę się, że mogę być tutaj, w Moskwie” - powitał dziennikarzy na konferencji prasowej w Warszawie sekretarz generalny NATO, George Robertson. Potem nie było już wątpliwości, że Polska należy do NATO, a jej żołnierze pomagają aliantom na Bałkanach.



Była wicepremier, obecnie czołowa działaczka opozycji, Julia Tymoszenko, powróci jednak do aresztu skąd wyszła zwolniona warunkowo przez sąd w Kijowie. A już wydawało się, że prezydent Kuczma kompletuje obsadę Okrągłego Stołu.





Szczyt Ligi Arabskiej w Ammanie poparł walkę Palestyńczyków i zażądał osądzenia izraelskich „przestępców wojennych”. Muammar Kaddafi (w środku) zaproponował Izraelowi... wstąpienie do Ligi Arabskiej.

MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU

Prezydent Czarnogóry, Milo Djukanović, uważa, że Serbia i Czarnogóra powinny się rozstać, aby następnie – jako niepodległe państwa – zawrzeć unię na nowych zasadach. W Czarnogórze zwolennicy niepodległości mają zdecydowaną przewagę i nie jest nigdzie powiedziane, że po rozwodzie będą mieć ochotę angażować się – choćby z rozsądku – w nowy związek.

DYPLMACJA I ŁOWY

Premier Tony Blair ostrzegł prezydenta Władimira Putina, że zainteresowania niektórych rosyjskich dyplomatów wykraczają daleko poza protokół przyjęty w Wielkiej Brytanii. Jeśli próg dopuszczalnej ciekawości zostanie przekroczony, władze brytyjskie postąpią z nimi tak samo jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie rosyjscy dyplomaci, podejrzani o działalność szpiegowską, musieli spakować walizki.

MIEJSCE NA SZLAKU

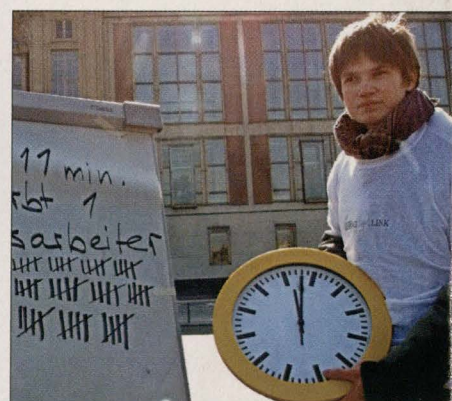
150 kg heroiny o wartości 60 mln zł skonfiskowali celnicy na granicy w Świecku. Towar był ukryty w ciężarówce jadącej z Turcji. Droga przez Polskę jest modyfikacją szlaku, którym przemycano narkotyki. Wcześniej prowadził do Europy Zachodniej przez kraje bałkańskie.

SPADŁ Z GIEWONTU

„To skandal, aby ktoś bez naszej wiedzy podszywał się pod górali” – oburzył się starosta tatrzański Andrzej Gąsienica-Makowski i wystąpił protest do przewodniczącego Krajowej Rady RTV w imieniu Związku Podhalań. Chodzi o program „Big Brother” i jedną z jego uczestniczek, która pochodzi z Suchoj Beskidzkiej, ale nie uzgodniła tego faktu ze Związkiem Podhalań.



Ucieczka z Macedonii. O konflikcie etnicznym na Bałkanach i próbie wykorzystania go przez albańskich separatystów na str. 38-45.



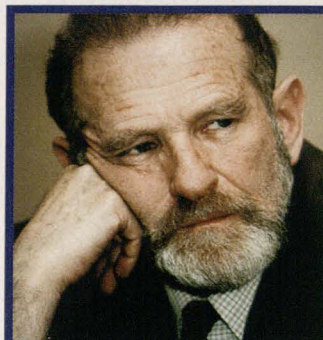
Niemiecka młodzież demonstrowała przed siedzibą kandydata Gerharda Schroedera, przypominając, że opóźnia się termin wypłat odszkodowań za pracę przymusową w III Rzeszy.

MYŚL TYGODNIA



Wirtualni politycy zajmują się wirtualną rzeczywistością.

Bronisław Geremek, przewodniczący Unii Wolności



Tysiące przeciwników energii atomowej próbowały powstrzymać transport przetworzonych we Francji odpadów z niemieckich elektrowni, które miały trafić do nieczynnej kopalni soli w Dolnej Saksonii i mimo protestów - dotarły.



Rosyjską armię reformować będzie Siergiej Iwanow (z prawej), któremu prezydent Władimir Putin powierzył ministerstwo obrony po 63-letnim marszałku Igorze Siergiejewie (w środku). Również sprawy wewnętrzne po raz pierwszy dostały się w Rosji w ręce cywilów.



Wielka Brytania zamienia się w gigantyczne cmentarzysko zarażonych pryszczycą zwierząt, które skazano na śmierć.



Do listy polskich porozumień doszło kolejne, dotyczące wieszcz, któremu kiedyś zarzucano nie dość jasny stosunek do uświęconych wartości. Podpisanie Aktu Erekcynego Budowy Pomnika J. Słowackiego w Warszawie przez prezydenta RP i prymasa rozwiało wszelkie wątpliwości. Dlaczego mamy kochać Juliusza Słowackiego? „Bo wielkim poetą był”.

ART SPIEGELMAN

Urodził się w Sztokholmie w 1948 roku, wychował zaś w dzielnicy Queens w Nowym Jorku, pojawiającej się w tle książki „Maus” (1986, 1991) – dwutomowego komiksu, który przyniósł mu nagrodę Pulitzera (1992) i międzynarodową sławę. Świat „obrazkowych opowieści” wiele mu zawdzięcza: Spiegelman założył poświęcone komiksowi, legendarne czasopismo RAW, wykładał historię i estetykę komiksu w Szkole Sztuk Wizualnych w Nowym Jorku. Artysta jest wziętym ilustratorem, twórcą okładek do „New Yorkera”, czasopism i książek (m.in. Paula Austera), autorem książek dla dzieci. Jednym z najnowszych jego przedsięwzięć jest opera „Drawn to Death”, przygotowywana wraz z kompozytorem Phillipem Johnstonem. Spiegelman mieszka i pracuje w Nowym Jorku.

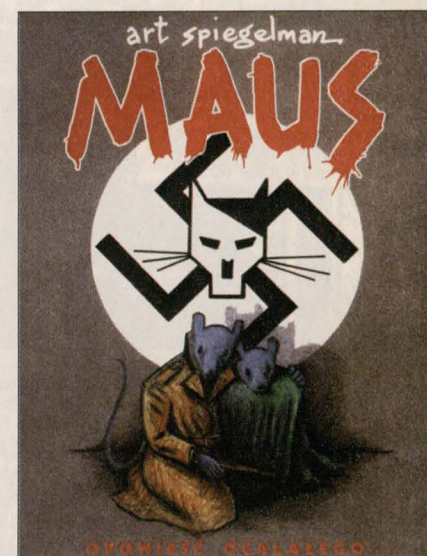


Art Spiegelman
z żoną, Francoise Mouly



PIOTR RYPSOŃ

MYSZ zdobyła Pulitzera



Pierwszy tom słynnego komiksu Arta Spiegelmana „Maus” po 10 latach ukazuje się w Polsce. Jest to saga rodziny polskich Żydów, którą wchłonęło piekło holocaustu. Tom drugi wydawnictwo Post zapowiada na czerwiec.



112



113



114



115

Ale to przecież tylko komiks!" - powiadają niektórzy krytycy. „Pełen stereotypów” - dodają Polacy, Żydzi i inne nacje. „Arcydzieło!” - wykrzykują zwolennicy nowojorskiego rysownika.

Bibliografia tekstów i opracowań na temat „Mausa” urosła do kilkuset pozycji; można przypuścić, że po wydaniu książki w Polsce znacznie się powiększy.

„Mausa” czytałem kilkakrotnie. Za każdym razem dziwiłem się zdolnościom narracyjnym autora, jego darowi opowiadania słowami i rysunkami. Tak, myślę, że „Maus” to książka znakomita, Pulitzer zasłużony, rzecz cała jednak nieprosta. Dlaczego?

Kto mówi?

„Maus” jest opowieścią dwojga postaci. Jednym narratorem jest sam Spiegelman, drugim - jego ojciec, Władek. Spiegelman senior relacjonuje synowi tragiczne historie z okupacji niemieckiej w Polsce i zesłania do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Art przedstawia zaś swoją skomplikowaną relację z ojcem i próby dotknięcia traumy holocaustu. Mimo przyjętej konwencji komiksowej, zarówno narratorzy, jak i wiele innych postaci - zmarła tragicznie matka, żona Arta - Francoise, druga żona Władka, Mala - są przedstawieni realistycznie.

Władek jest ojcem dominującym, który świadomie gra na uczuciach syna. Choć to czło-

wiek doświadczony tragicznie przez los, nie należy do cierpiących aniołów. Wśród katalogu jego obsesji znajdują się jedzenie (bo głód w Oświęcimiu), pieniądze (bo okupacyjna ruina majątku i niedostatek) - lecz także niechęć do Czarnych (Szwarcerców), w istocie irracjonalny rasizm.

Opowieść ojca, choć pełna dramatów, jest niemal beznamietna. To relacja koszmaru dokonana pod koniec życia, zresztą pod presją syna. Opowiadaniu Władka dodają realizmu nie tylko rozmaite scenki, jak porzucenie ubogiej kochanki dla panny z bogatego domu - lecz także swoisty dlań język, pełen błędów gramatycznych i charakterystycznych zwrotów. Dla tłumacza na język polski nie la-

da to próba, bo Władek w istocie myśli po polsku, używa polskiej składni, a w chwili największej irytacji zwyczajnie mówi po polsku (a relacjonujący to Art dodaje angielskie tłumaczenie u dołu obrazka).

Art, który nagrywa, rysuje i spisuje opowieść ojca, również ma swoją historię. Opowiada o toksycznym związku syna z ojcem, głębokim poczuciu winy, mówi o swoich prywatnych paranojach. Potrafi westchnąć, że nie znosi Rysia, brata urodzonego jeszcze w Polsce („Nie mogłem rywalizować ze zdjęciem”), pokazać, jak kłamie, aby od ojca wydobyć opowieść. Arta napędza paranoja, desperackie poszukiwanie prawdy o rodzicach, chęć zrozumienia relacji z ojcem. Spiegelman ju-

nior mówi przy tym jak Amerykanin jego pokolenia - i bezustannie ęmi papierosa.

Podtytuł książki brzmi „Opowieść ocalałego”. Jednak owym ocalałym nie jest tylko Władek. Obaj, i ojciec, i syn, opowiadają o swoich bolesnych przeżyciach.

Maski, maski

Żydzi - myszy, Niemcy - koty, Polacy - świnie, Francuzi - żaby, ba, nawet psy (Amerykanie) i łosie (Kanadyjczycy). Maski zwierząt przydane nacjom to chwyt, za którego użycie Spiegelmanowi postawiono bodaj najwięcej zarzutów.

Trudno się dziwić: któremu Polakowi spodoba się świński, choćby najsympatyczniejszy ryjek? Czy znajdziemy Żyda,

zwłaszcza w Izraelu, chcącego się utożsamić z lękliwą myszą. Skojarzenia narzucają się same, można by rzec, że w sumie najlepiej wychodzą na tym Niemcy-koty, bo przecież niemal wszyscy kotki lubią - i kotki ładnie mruczą!

Chwyt w rzeczy samej ryzykowny - ale spróbujmy dostrzec inne racje niż te, które wypływają z urażonej godności narodowej.

Pierwszy powód, dla którego Spiegelman posłużył się postaciami zwierząt, wydaje się dość prozaiczny: pozwala to na natychmiastową identyfikację postaci (swoi, obcy, neutralni, wrogowie). Rysowane prostą kreską zwierzęce stereotypy dobrane oddają czarno-białe podziały, właściwe atmosferze nie-

ustannej opresji, gdy człowiek umieszcza innych na skali wyznaczonej przez bezpieczeństwo i zagrożenie. Po drugie - Spiegelman powtarza segregacyjne wzory, wprowadzane przez nazistów - niemieckich panów, słowiańskich niewolników - i szkodników żydowskich, zasługujących wyłącznie na wytepienie.

Zwierzęta bywają przy tym rozmaite. Są świnie dobre i złe, myszy-ofiary i myszy-zdraycy. To nie jest świat oświeceniowej bajki, z rolami wyznaczonymi z góry przez zwierzęcy gatunek. Książd o twarzy prosięcia ratuje morale Władka, zna hebrajski i interpretuje zgodnie z zasadami Gematrii obozowy numer narratora, przepowiadając mu pomyślny finał obozo-

wego koszmaru. W zasadzie tylko koty są niezmiennie, bezwzględne i okrutne.

Użycie stereotypu daje szansę Spiegelmanowi nie tylko przełamania, ale i dekonstrukcji zastosowanej kliszy. Gdy już czytelnik się oswoi z podziałami na naszych i obcych, nagle musi się uczyć odczytywać maski na nowo, bo spod jednej wyziera druga, „przyjazna” mysz zdradza, podobnie jak pocziwie na pierwszy rzut oka prosię. „Używanie tych kodów, myszy i kotów jest w istocie sposobem pozwalającym na dojście poprzez kody do ludzi, którzy kodów doświadczają” - powiada Spiegelman w wywiadzie dla „The New Comics”.

Chris Goffard: Czy z holocaustu płynie jakaś nauka?



136



137



138



139

Art Spiegelman: Nie mam pojęcia. Próba nadania temu jakiegoś morału byłaby dla mnie tanim chwytem. W pewnym sensie umniejszałoby to, co się wydarzyło. Moje historie dotyczą raczej przedstawiania, nie projekcji. Jasne, byłoby miło, gdyby ludzie byli miłsi dla siebie. Nie sądzę jednak, by tak się miało stać.

Jakże skutecznie autor pokazuje dramat spowodowany obsesją rasową, rysując sceny przemiany kota w mysz („dobry Niemiec-weteran” ze złym pochodzeniem jest w Oświęcimiu zwykłą myszą, choć rzucającą cień kota). Z kolei matkę, skrywającą się na ulicy za świńską maską, zaczyna ze strachu wyrastać coraz dłuższy

ogon. Z drugiej strony Art mru-ga do czytelnika, opowiadając swojej Francoise, jak to ku zgrozie ojca poślubił „żabkę”, lecz dobry rabin zrobił hokus-pokus - i ta zmieniła się w mysz. Spiegelman używa klisz - aby je ujawniać.

Język komiksu

Zmiany masek, wydłużające się ogony, pęgowane dzieci-myszki po kociej mamie - te i inne chwytów nie byłyby tak wymowne, gdyby nie znakomita kreska Spiegelmana, która spaja historię czarno-białą sekwencją komiksowych obrazków.

Artysta stosuje wiele nowatorskich zabiegów formalnych, które powodują, że lektura książki staje się zarazem fascy-

nującym doświadczeniem wizualnym.

Spiegelman mistrzowsko operuje komiksowym kadem. Scena, w której część rodziny „znika” na zawsze, przedstawiona jest jako szereg ciemnych sylwetek odchodzących w dal od jasnego kadru, w którym Władek opowiada ten epizod synowi. Nasi bohaterowie wchodzą czasem w makabryczny świat obozu lub okupacyjnej ulicy wprost z nowojorskich przedmieść na Queens i kondominiów na Florydzie.

Ujęcia scen w komiksach bliższe są z natury rzeczy kadrom filmowym, jednak Spiegelman miesza taki sposób przedstawiania z klasyczną konstrukcją dia-

logu dwóch osób. Obrazy z czasów wojny często są rytmicznie przeplatane dialogami ojca i syna. Czasem rysownik sięga po przedstawienie równoległe - rozrysowaną w pionie rozmowę obu narratorów kontrastuje z podobnie ułożoną sekwencją scen z oświęcimskiej łaźni, zderzając przy tym dwie akcje narastającego napięcia.

Ważną rolę odgrywa drugi plan. Dzieją się w nim zdarzenia określające lub dopowiadające kontekst „głównej akcji”. Dłuższe sceny rozmów z ojcem służą raz rozładowaniu, to znów zwiększeniu napięcia. Podobnie zresztą, gdy tuż po dramatycznej rekonstrukcji sceny w komorze gazowej Art w mieszkaniu ojca na Florydzie

jednym palcem uśmierca komary trucizną w sprayu.

Mimo stosowanych chwytów filmowych, Spiegelman konsekwentnie odrzuca kolejne propozycje sfilmowania jego „powieści”. W wywiadzie dla „The Boston Book Review” autor oponuje przeciwko filmowym konwencjom przedstawiania holocaustu, włączając w to głośną „Listę Schindlera”.

Co to za stwór?

Harvey Blume: A więc przełamywanie gatunku to moment potencjalnego odkrycia.

Art Spiegelman: Nie jest to jedynie przełamywanie gatunku; często jest to przełamanie wartości. Gatunek jest tylko zewnętrzną postacią (z wywia-

du dla „The Boston Book Review”).

Komiks to gatunek podejrzany. Po pierwsze jest hybrydą obrazowo-słowną i jak wszystkie mieszańce, dla purystów dwuznaczną. Po drugie, tak jak dzisiejszym grom komputerowym, komiksowi zarzucano szkodliwy wpływ na wyobraźnię i umiejętności dziecka, prowadzący do ograniczania zdolności językowych. W amerykańskich debatach senackich w połowie lat 50. komiksom zarzucano wprost kierowanie nastolatków na drogę występku. Co gorsza, od lat 60. i komiksów Roberta Crumba oraz jego następców komiks stał się popularnym środkiem wypowiedzi kulturalno-obyczajowego

„podziemia”. Spiegelman jest jednym z klasyków tego nurtu.

„Maus” określano często jako książkę postmodernistyczną, nazywano „powieścią graficzną”. W rzeczy samej autor gra z konwencją na wiele sposobów. Brak tutaj tak typowych dla komiksu postaci herosów, eksplozji obrazów i dynamicznie komponowanych tekstów.

Nawet autora oglądamy w różnych wcieleniach: jako Art, syna Władka i jako Spiegelmana - autora książki. W drugiej części „Myszy” widzimy Spiegelmana przy stole kreślarskim, rysującego „Mysz” w masce myszy. Przeżywającego chwilę popularności autora otaczają dziennikarze w maskach zwierząt, zarzucając ofertami

produkcji „myszowych” kamizelek, „myszowych” filmów - i pytaniami, na które sam nie ma odpowiedzi.

Dziennikarz w masce kota: „Młodzi Niemcy mają POTĄD historii holocaustu! Dlaczego mają się czuć winni?”

Spiegelman: „Kim jestem, by o tym mówić?”

Dziennikarz w masce myszy: „Gdyby książka była o Żydach z Izraela, jaki rodzaj zwierząt byś narysował?”

Spiegelman: „Nie wiem... jeżozwierze?”

Wprowadzenie takiej zewnętrznej perspektywy, ramy ujmującej historię w cudzysłów „teraz” czytelnika, w najwyższym stopniu podważa oczywistość sądów i pewność racji. ■



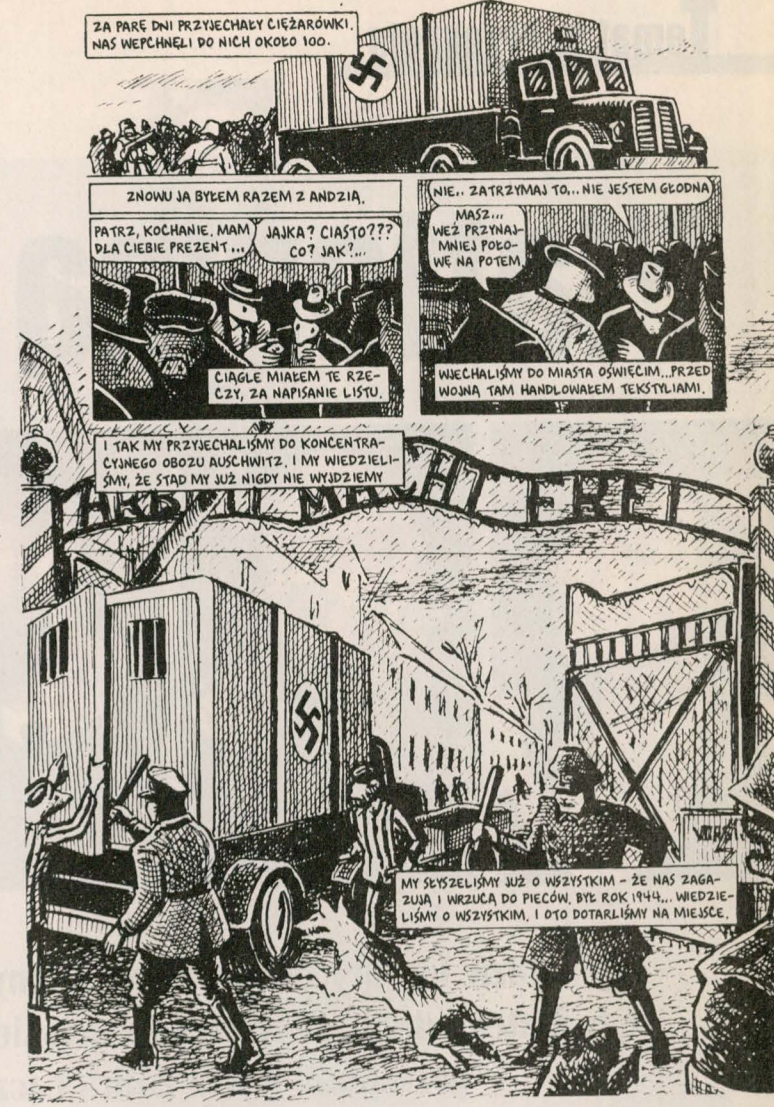
154



155



156



157

IRENA GRUDZIŃSKA-GROSS

Rasa, ale nie ludzka

„Maus” to świetna i niezwykła książka. Świetna, bo trudno się od niej oderwać, bo wzrusza, wzburza i zmienia czytelnika.

W moim czytelnictwie doświadczeniu była wydarzeniem, którego nie zapomnę. Sięgałam po nią z nieufnością, z góry zakładając, że komiks o Zagładzie musi być nieporozumieniem, ba, niedorzecznością. Odkładałam ją ze ściśniętym sercem i wilgotnymi oczami. Zobaczyłam w niej prawdę, ale też rzeczy, z którymi nie mogłam się zgodzić.

Wielkość tej książki polega na tym, że opowiada bardzo oryginal-

nie, bo obrazkowo, a jednocześnie osobiście i przekonująco historię życia i śmierci Żydów polskich przez dzieje własnej rodziny autora. Niezgodę, którą odczuwam, dotyczy tejże samej oryginalności.

Nie mam nic przeciwko komiksom opisującym wojnę. Śledzę z dużym zainteresowaniem komiksową działalność Joe Sacco, którego książka o bośniackiej „bezpiecznej strefie” Gorażde pozwoliła mi zrozumieć, czy raczej zobaczyć codzienność życia w wojennym okra-

żeniu. Ale autor „Maus”, Art Spiegelman, nie zadowolił się tym, że komiks pozwala, tak jak zdjęcie czy film, na pokazanie tego, o czym się pisze. On zrobił prawdziwy komiks, komiks klasyczny, bo sięgający swych źródeł: bohaterami są w nim zwierzęta.

„Maus” należy również do nurtu literatury „konfesyjnej”. Konflikt między ojcem i synem – klasyczny temat literacki – wpisany jest tu w dokumentalne tło historyczne. Usiłując zrozumieć oj-

ca, syn odtwarza jego przeszłość. Ta rama narracyjna sprawia, że prawda o Zagładzie staje się historią indywidualnego nieszczęścia, jasno widoczną i dotkliwie przejmującą. Ciężkie przeżycia nie usprawiedliwiają dziwactw i wad ojca. To na niego Art-narrator wścieka się najbardziej, krzycząc o nim: „morderca!”, bo spalił dziennik matki.

Humor przeciw potworności losu

Słowo to nie pada w odniesieniu do Niemców, jest przecież zbyt oczywiste. Nie należą oni do wymiaru emocji, są poza życiem. Żal do ojca, cierpienie matki, czułość i niechęć wobec rodziców to uczuciowy świat Maus. Chwytający za serce kontrast między potwornością wydarzeń wojennych i smutną codziennością życia po wojnie

jest wielką siłą tej książki. Cierpienie nie uszlachetnia, czyni życie jeszcze cięższym niż jest ono zazwyczaj. Śmierć kładzie się długim cieniem na życiu tych, którzy jej umknęli. To przeciw niej Art Spiegelman rysuje prawdziwy obraz swojego ojca.

Ale jak obraz ten może być prawdziwy, gdy ojciec przedstawiony jest jako mysz? Wchodzimy tu w disneyowski świat kreskówki, z kotami goniącymi myszy. Liczne wizualne aluzje odsyłają czytelnika-widza do świata filmu i kultury masowej. Słowa ojca zapisane jego specyficznym łamanym angielskim przenoszą czytelnika w tradycję żydowskiej komedii i humoru, tego specyficznego tonu, którym Żydzi często mierzą się z potwornością ich losu.

Wszystko się miesza: perspektywa dziecka z rzeczowością history-

ka, dokumentalne obrazy Oświęcimia z poetyką kreskówki, koniec świata z irytacją na rządzącego sknerę. Spiegelman jest tu artystą, który z dystansu swojego rzemiosła opowiada coś, co inaczej wymknęłoby się opisowi, stałoby się nieartykułowanym krzykiem.

Zwierzęta lepsze i gorsze

Spiegelman traktuje „Maus” jak najpoważniej. Wiele wysiłku włożył w dokumentalne odtworzenie Sosnowca, miasta swoich rodziców, na rozkład baraków w Oświęcimiu, na prezentację swego domu w Queens, New York. Gdy książka stała się bestsellerem, zmusił „New York Times” do przeniesienia jej z rubryki „fiction” do „non-fiction”. W rozmowie z Lawrence’em Weschlerem, Spiegelman tłumaczy decyzję

przedstawienia bohaterów w postaci zwierząt jako historycznie uzasadnioną odpowiedź na hitleryzm. Hitler miał powiedzieć, że Żydzi są rasą, ale nie ludzką. Spiegelman wykonał tu gest podobny do tego, który w Polsce upadającego komunizmu znaleźć można było w hasłach: „Jestem elementem antykomunistycznym”. Przyjął hitlerowską definicję ras i obrócił ją przeciwko jej autorom. Ale czy skutecznie?

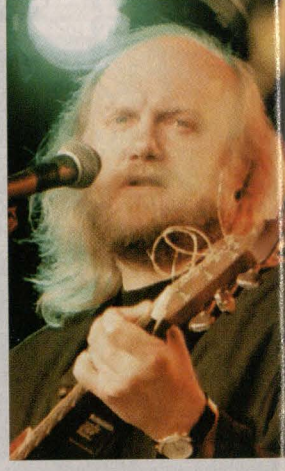
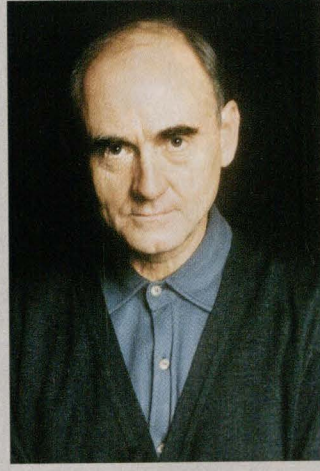
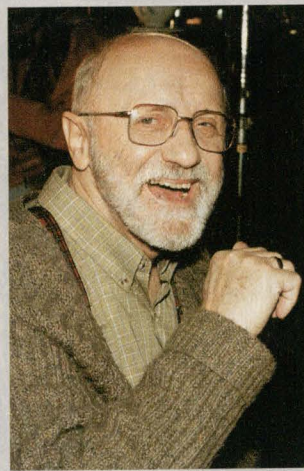
Kwestia ta jest sprofilowana wewnątrz książki. Żona autora, Francuzka, protestuje przeciw przedstawianiu jej jako żaby: „Czyż nie przeszłam na judaizm?” – pyta. A jednak ciągle przedstawiana jest jako żaba. Autor, choć sam rysuje siebie w tym momencie jako człowieka z maską myszy, dokonuje tu radykalnego wyboru i opowiada się po stronie ras. Wydaje mi się, że

uważał on ten wybór za gest solidarności z „myszami”.

Ale konsekwencje tej decyzji są smutne. Polacy w tym układzie muszą być świniami, tak przecież nazywała ich hitlerowska propaganda. Spiegelman w rozmowie z Weschlerem twierdzi, że to swoisty komplement: świny są pacyfistyczne, nie jedzą myszy ani nie polują na nie. A jednak pułapką okazuje się zaakceptowanie hitlerowskiej wizji odrębnych ludzkich ras.

Przedstawienie ludzi jako osobnych gatunków zwierząt absolutyzuje i utrwała różnice między nimi. Usprawiedliwia Zagładę. Jak świat światem, koty zawsze polowały na myszy, a myszy były ich ofiarami. Bo przecież myszy to rasa, ale nie ludzka. Wie o tym każde dziecko, które kiedykolwiek oglądało kreskówki.

Platformą na salony



Ludzie kultury zawsze lubili salony. Czy dlatego do Platformy Obywatelskiej przystąpili m.in.: Laura Łącz, Henryk Machalica, Janusz Kidawa-Błoński, Jan Peszek, Andrzej Sikorowski, Jerzy Zelnik?

Takie inicjatywy mają w Polsce pewne tradycje. W czasach realnego socjalizmu istniał – jak pamiętamy – dwór i były salony skupione wokół władzy. Przywódcy sami oglądali filmy, spektakle teatralne, decydowali o wydaniu książek (nawet naukowych). Twórcy często cierpieli wskutek tej nadopiekuńczości, z drugiej jednak strony, czuli się dowartościowani.

W czasach Edwarda Gierka kursował taki dowcip: Jeden z wysokich dygnitarzy partyjnych poprosił do siebie rektora pewnej znanej uczelni i zadał mu pytanie:

– Towarzyszu rektorze, na którym jestem roku?

– Na trzecim.

– Słabo się staracie, rektorze.

Andrzej Wajda, pytany kiedyś o stosunki dworskie tamtych czasów, krzywił się z niesmakiem, niemniej dwór – nawet w mniejszej skali, gdy porównać go z innymi – był i kwitł.

Zbigniew Zapasiewicz przypomniał niedawno definicję aktora jako trochę kapłana, trochę błazna, a tamtą epokę uznał właśnie za czas błazeński. Aktorzy mieli przydzielone funkcje dekoracyjne, a – jeśli ktoś marzył o działalności publicznej – i na to było

miejsce, choćby na poselskich listach (Dmochowski, Holoubek), czasem w KC, czego nie ustrzegł się nawet największy polski aktor Tadeusz Łomnicki, rzucając w końcu legitymacją partyjną. Jednak wielu nie może mu zapomnieć owego „flirtu” z władzą. Otarli się o nią także między innymi Tadeusz Fijewski, Jerzy Trella, Emilia Krakowska, Ryszard Filipiński.

W dawnych salonach wiedziało, jakie miejsce komu się należy. Hierarchia była wyraźna i precyzyjna. Wielcy byli wielkimi, nawet jeśli nie potwierdzali swej wielkości nowymi, genialnymi

utworami. Aktorzy uznani za wybitnych zawsze stwarzali wybitne kreacje, czołowi reżyserzy, literaci uznani byli za żywych klasyków, nawet jeśli na ich filmy nikt nie chodził, a ich książki trafiały do magazynów.

Co innego, gdy artyści i naukowcy poszli w posły i senatorzy, a także do ław rządowych po pierwszych wyborach demokratycznej Polski.

Teraz salony opustoszały, zamiast nich mamy giełdę kierującą się bezwzględnyymi prawami rynku. Nie przyznaje się już, z małymi wyjątkami, punktów za życiorys. Twórcy różnie na to reagują.

LAURA ŁĄCZ – AKTORKA: Zaproszenie mnie przez Grupę Inicjatywną Platformy Obywatelskiej razem z wieloma znanymi ludźmi ze świata kultury i nauki jest dla mnie zaszczytem i przyjemnością. Nie znam jeszcze dokładnie programu Platformy i, podobnie jak Jerzy Zelnik, mam wiele pytań i wątpliwości, ale bliska mi jest wizja partii liberalno-demokratycznej, centroprawicowej. Takiej partii w Polsce nie ma, a jest potrzebna. O ile wiem, nie chodzi o to, żeby była to partia ogromna liczebnie, ale – raczej na wzór amerykański – partia, o której sile decyduje liczne grono sympatyków.

Żeby nie było wątpliwości – ja sama nie mam ambicji politycznych ani skłonności do tego, by być blisko dworu. Myślę, że jest to też oferta skierowana nie tylko do elit, ale może przede wszystkim do klasy średniej, która tworzy miejsca pracy, staje się coraz bardziej opiniotwórcza. I sądzę też, że będzie łaskawsza dla kultury, która jest bliska zapaści. Jeśli więc jako aktorka, właścicielka agencji zajmującej się organizacją różnego typu imprez, konferencji, mogłabym włączyć się do kampanii wyborczej Platformy, to czemu nie?

ANDRZEJ SIKOROWSKI – PIOSENKARZ: Stawiam na Platformę z dwóch powodów. Po pierwsze ze względu na osobę Andrzeja Olechowskiego, któremu ufam i którego poparłem już w wyborach prezydenckich. Druga motywacja jest natury ekonomicznej – od dawna uważam, że jeśli nie dokona się zmian w systemie podatkowym, Polska nie ruszy z miejsca. Kiedy więc ludzie tacy jak Olechowski, świetny fachowiec Tusk i marszałek Piłażyński występują z podobnymi poglądami i programem, bez wahania podpisuję się pod ich inicjatywą.

JAN KIDAWA-BŁOŃSKI – REŻYSER: Mówiąc żartobliwie – mam do polityki stosunek podobny jak do kobiet: fascynują mnie blondynki, intrygują brunetki, a tymczasem moja żona jest ruda. Intuicyjnie, podświadomie wybieram centrum, jestem człowiekiem środka. Inaczej postrzegając Platformę Obywatelską ludzie biznesu – oni widzą swoją szansę w jej programie gospodarczym, w obniżeniu podatków. Ja patrzę na to bardziej ogólnie. Według mnie cała polska scena polityczna ciąży ku centrum, tak lewica, jak i prawica, bo nasze społeczeństwo jest rozsądne i nie lubi skrajności.

W Platformie pociąga mnie właśnie to, że będzie ona pierwszą w kraju partią wolną od zaciemniających obraz podziałów historycznych, partią nowoczesną i wizjonerską. Ja po prostu Kocham rudo!

(KT)

Jedni się obrażają, inni próbują się dostosować, wszyscy zdają sobie sprawę, że nie można być dłużym artystą w taki sposób, jak w przeszłości.

Kultura „poszła na żywioł” przy pełnej aprobacie odbiorców, którzy mogą zaspokajać swoje gusta, nie bacząc ani na polityków, ani na utyskiwania krytyków i snobów. Co więcej – Polacy coraz bardziej tracą zainteresowanie dla kultury rodzimej.

Czy akces aktorów, ludzi kultury, nauki, estrady do Platformy Obywatelskiej wynika z tamtych starych ciągłotek? Czy zdecydowali się na ten krok ze wzglę-

dów obywatelskich, społecznych? A może, całkiem zwyczajnie, mają ambicje polityczne. Szukaliśmy odpowiedzi na te pytania, ale ani Jan Peszek, ani Jerzy Zelnik nie chcieli wypowiadać się na ten temat.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że, twórca jest trochę jak polityk. Ma te same ambicje, zazdrości, pretensje. Uważa, że wszystko lepiej by zrobił. Zapomina, że jego sędzią nie jest dyrektor teatru, ale publiczność. I dlatego zarówno wśród polityków, jak i wśród aktorów jest mało artystów, a dużo błaznów.

KAZIMIERZ TARGOSZ



Olga Tokarczuk
Pismo inne niż wszystkie



Jacek Żakowski
„Zwierciadło” zobaczyło moją lepszą stronę*

Elżbieta i Janusz Gajosowie w cyklu Pytania do dwojga

zwierciadło

nr 04/1854 kwiecień 2001 r.
cena 5,90 zł (w tym 7% VAT)

Rafał Olbiński
do wynajęcia

Jak książkę z babą
ugwarzali o pomo

Co ocali
w nas
Arka

Ślub w białej
sukni

DAMA
BIZNESU
2000

Trójkąt Alicji
Kornasiewicz
LONDYN-WIEDEN-WARSZAWA



Wojciech Eichelberger
„Zwierciadło” – prawdziwe i mądre



Anna Maria Jopek
„Zwierciadło” to pismo szlachetne, dla kobiet wymagających

* J.Ż. jest laureatem „Kryształowego Zwierciadła”

KUROSAWA na karuzeli

Józef Tomczyk Kurosawa mieszka w Babicach pod Oświęcimiem. W niedalekim Krakowie, w odpowiednim środowisku, znany jest jako wieloletni model ASP. Tam właśnie, podczas zajęć, odkryto jego talent recenzyta i komentatora różnych wydarzeń – talent, który rozwinął się dzięki współpracy pana Józefa z Grupą Ładnie.

– W grupie jest nas czterech: Marcin Maciejowski, ja, Marek Firek i Rafał Bujnowski. Prowadzimy działalność kulturalno-artystyczną i różnotematyczną.

Grupa Ładnie oprócz działalności różnotematycznej – jak zauważył pan Józef – wydaje „Słynne Pismo we Wtorek”. Józef Kurosawa, będąc głównym redaktorem, publikuje w nim wyjątkowe recenzje wyjątkowych imprez.

„Dlaczego wernisaż tej wystawy był wspaniały? Otóż dlatego między innymi, że nie było tak jak na innych wernisażach zaledwie pół lampki wina, lecz kilka piw na głowę, co mi bardziej odpowiada niż pół lampki wina. Również było masę żarcia (...), a mianowicie: kabanosiki, chleb różnych gatunków, pomijając zwykły, jak również różne placki z cebulą, a także olbrzymie plecionki, z których się po kawałku odlamywało i zjadało. A więc było zgodnie, jak mówi przysłowie: Nie było to jak za króla Augusta Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa”.

Dla pana Józefa sprawa konsumpcji jest ważna, co potwierdza opowiadane przez studentów krakowskiego ASP zdarzenie, jak to Kurosawa, pozuając w nie dogrzanej zimną pracowni, smażył na farelce kielbaski.

Jest artystą, a w chwilach wolnych od działań twórczych zajmuje się odzyskiem materiałów wtórnych.

Oprócz recenzji Józef Tomczyk Kurosawa pisze wiersze. Przy wsparciu Grupy Ładnie wydał nawet tomik poezji. Zapytany, jak do tego doszło, powiedział:

– Spytałismy Marcina Świetlickiego, co sądzi o naszym piśmie – wspaniale; no i stąd się wziął mój tomik poezji. Marcin Świetlicki zrobił odpowiednie rekomendacje i nagłówki między innymi.

„Do Barmana

...

Lej do pełna drugie!

No to jak to? Jak to?

Tu żeś nalał pełno

a tu mniej, no to jak to?

Tu żeś nalał pełno

a tu tyle, no to jak to?

To jednakowo lej!

No lej jednakowo! No.

...”

Kurosawę spotkać można podczas imprez Grupy Ładnie, gdzie zwykle wygłasza odczyty „po linii humorystycznej” – jak sam się wyraził. Ponadto, jego charakterystyczna postać została uwieczniona w ponad 20 filmach, w których „grał rolę statystów”. W dyktowa-

nej na potrzeby „Słynnego Pisma we Wtorek” „Historii i biografii Polski od lat 70-tych do chwili obecnej” opowiedział przygodę z planu filmu „Zielone lata”.

„... i była taka scena, że było trzeba się położyć do trumny na dziesięć czy piętnaście minut, a miał to być Pieczka, a Pieczka zachorował; czyli aktor, bo on jest ze Śląska, ten co Gustlika w »Czterech pancernych« grał. On wtedy w filmie »Zielone lata« też miał rolę i się miał położyć do trumny, a go nie było, bo zachorował. No i było nas kilkuset albo kilkudziesięciu, albo kilkuset – tłumy no w każdym bądź razie. No i ci z filmu tak patrzyli, patrzyli: podobizna, charakterystyka Pieczki i mówi ten jeden do mnie.

– No chyba pan by się nadawał. Czy się pan godzi na tę scenę?”

Józef Tomczyk Kurosawa zgodził się na tę scenę, zgodził się również na sesję zdjęciową pewnej niedzieli na huśtawce i karuzeli.

„Karuzela, karuzela, na Bielanych, i w Babicach co niedziela!”

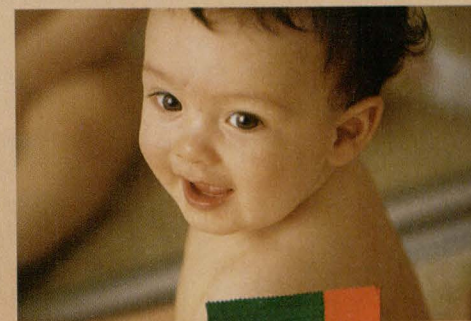
LAZARUS

Fragmenty recenzji i poezji Józefa Tomczyka dzięki uprzejmości redakcji „Słynnego Pisma we Wtorek”.

wysoka jakość + zdrowszy styl życia



Rooibos jest całkowicie pozbawiony substancji drażniących i dlatego bez ryzyka może być podawany do picia nawet bardzo małym dzieciom. *)



Tak pomagają Rooibos

Alergie

Czerwonokrzew działa jak naturalna substancja antyhistaminowa, skierowana swoimi przeciwmechanizmami alergicznymi....

Schorzenia

serca i układu krążenia:

Dzięki swemu działaniu wyrównującemu poziom cukru we krwi i poprawiającemu płynność krwi Rooibos znakomicie uzupełnia działanie lecznicze w arteriosklerozie i zaburzeniach ukrwienia...

Dolegliwości psychiczne:

Szczególnie substancje czynne: kwercetyna i kwercytyna oraz ich wpływ na serotoninę są przyczyną dla których Rooibos świetnie nadaje się do stosowania w depresjach, nerwowości, problemach ze snem i bólach głowy.

Schorzenia metaboliczne:

Herbatę Rooibos można stosować uzupełniająco w przebiegu terapii cukrzycy (Diabetes mellitus) dzięki jej działaniu proinsulinowemu... *)



Dwa flawonoidy wywołują wspomagające sen działanie czerwonokrzewu. W ten sposób staje się on naturalnym i znakomicie smakującym pomocnikiem w zaśnięciu – również dla dzieci. *)

*) źródło: Dr. Jörg Zittlau
„Herbata Rooibos dla zdrowia i urody”.

Produkowany z rosnącego na krańcach Afryki Południowej czerwonokrzewu Rooibos nazywany jest, ze względu na swe unikatowe właściwości, herbatą życia. Pozytywny wpływ naparu na ludzki organizm został odkryty przez tubylców już przed wiekami. Doświadczenia medycyny ludowej potwierdziły współczesne badania nad Rooibosem, prowadzone w wielu krajach. Herbata Rooibos nie zawiera kofeiny, a ilości związków garbnikowych są w niej znacznie mniejsze, niż w herbacie tradycyjnej. Rooibos bogaty jest w antyutleniacze i łatwo przyswajalne mikroelementy: żelazo, fluor, potas, wapń, miedź, magnez, mangan, sód, cynk.

Herbata herbacie jednak nierówna.

Rooibos dla zachowania swoich walorów, wymaga szczególnego przechowywania. Szczelne opakowania i hermetycznie zamknięte torebki ekspresowe stosowane przez firmę Astra gwarantują zachowanie aromatu i chronią przed dostępem szkodliwego dla jej właściwości tlenu.

O światowych doświadczeniach związanych z wykorzystaniem herbaty życia Rooibos w profilaktyce oraz wspomaganiu leczeniu wielu dolegliwości znajdziecie Państwo w książce dr Jorga Zittlau „Herbata Rooibos dla zdrowia i urody”. Książka dostępna jest w wybranych księgarniach oraz w sprzedaży wysyłkowej: <http://www.astra.com.pl>



P. P. K. ASTRA ul. Garbary 114; 61-757 Poznań tel. (061) 852 43 31
O! Warszawa ul. Kurantów 26; 02-873 Warszawa tel. (022) 643 87 34
<http://www.astra.com.pl>; e-mail: sale@astra.com.pl

JOWITA DZIEDZIC
ZDJĘCIA JUSTYNA MIELNIKIEWICZ

Światowej sławy wirtuoz — o sobie, swoich mistrzach, skrzypcach, rodzinie, muzyce i jeszcze wielu innych rzeczach.

Emanuje luzem i bezpośredniością. Na głowie ma postawionego czuba, a w uchu kolczyk. Jest zagorzałym kibicem klubu piłkarskiego Aston Villa. Ubrany w pomiętą T-shirt, bojówki i głany. Na pytanie: czy w takim stroju będzie grał na koncercie? odpowiada: – Tak, tylko się trochę wyczyszcze. W co drugim zdaniu powtarza, że jest „cool” i w niczym nie przypomina przeciętnego czterdziestopięciolatka. Kiedy zaczyna grać, nie ma już żadnych wątpliwości, co do jego tożsamości. Jest jedyny w swoim rodzaju. Gdyby Paganini żył w naszych czasach, na pewno nazywałby się... Nigel Kennedy.

Słynny brytyjski skrzypek uznawany jest od bez mała 20 lat za światowe objawienie wiolinistyki. Jego nagranie „Czterech pór roku” Antonia Vivaldiego trafiło do Księgi rekordów Guinnessa za jedną z największych w historii sprzedaż płyt z muzyką poważną (2 miliony egzemplarzy!). Wirtuozowska technika, wyjątkowy talent oraz łatwość kontaktu z publicznością ułatwiają mu poruszanie się zarówno w repertuarze klasycznym, jak i popularnym.

Niedawno Kennedy wystąpił podczas dwóch koncertów w krakowskiej Filharmonii. Wysłuchało go około 2000 osób.

Artysta znany jest z tego, że bierze za występ 70 tysięcy funtów albo nic. Na szczęście Kraków przypadł mu do gustu. Nie przyciągnęło go atrakcyjne honorarium, wręcz przeciwnie. Podróż nad Wisłę była jego własną propozycją. O Krakowie opowiadała mu dużo jego obecna dziewczyna, krakowianka, Agnieszka.

To właśnie w Krakowie Kennedy witał Nowy Rok 2001. Bawił się na balu w Hotelu Francuskim, kiedy zainteresowała go

muzyka dochodząca ze znajdującego się w pobliżu klubu. Poszedł więc za odgłosami. Trafił do jazzowego klubu „Stalowe Magnolie”. Posiedział, posłuchał, porozmawiał z muzykami i umówił się na wspólne granie nazajutrz. Tak, jak obiecał, następnego dnia około 21.30 pojawił się w drzwiach klubu ze skrzypcami w rękach. Zagrał wraz z miejscowym kwartetem jazzowym. Niezwykle jam session trwało aż do wpół do pierwszej. Jak twierdzą szczęśliwcy obecni na sali, koncert był wyśmienity.

Wcześniej skrzypek sprawił też niespodziankę melomanom w krakowskiej Filharmonii, gdzie podczas koncertu noworocznego występował Vadim Brodski. Kennedy spontanicznie zagrał z nim na bis czardasha na dwoje skrzypiec.

Miedzy herbatką a wódką

Zanim urodzony w Brighton wirtuoz podpisał wielomilionowy kontrakt z renomowaną wytwórnią EMI, zdobył niejedną złotą płytę i podbił serca słuchaczy na całym świecie, przeszedł prawdziwą szkołę mistrzów – u Sir Yehudi Menuhina oraz Stephane Grappellego.

Pierwszemu został przedstawiony, kiedy miał sześć lat. Wykonał wówczas jakąś własną kompozycję na... pianinie, a następnie zagrał na skrzypcach dźwiękiem tak perfekcyjnym, że mistrz ani przez chwilę nie wahał się przyjąć go do swej szkoły muzycznych talentów.

Drugi moment zwrotny w życiu Nigela nastąpił, gdy chłopiec miał czternaście lat. W szkole Menuhina pojawił się legendarny jazzman Grappelli. Razem zagrali na improwizowanym koncercie i, jak określił to Menuhin: „Stephane Grappelli zawładnął sercem chłopca”. Później jazzman zaproponował Nigelowi wspólne granie w klubach londyńskiego Soho.

Nigel Kennedy

TAKI JUŻ JESTEM



- Obaj robili niezwykle rzeczy ze skrzypcami - mówi Nigel. Menuhin był stacyczny, dokładny, wyważony, erudyta. Natomiast Grappelli naprawdę cieszył się muzyką, był spontaniczny i emocjonalny. Ale ani jeden, ani drugi nigdy nie ćwiczyli. Menuhin pewnie dlatego, że spędzał zbyt dużo czasu na rozmowach z ważnymi ludźmi. A Grappelli po prostu za późno wstawał.

Menuhin myślał przede wszystkim o czystej muzyce, o duchowości, chodziło mu o jej przekazywanie, a nie popisywanie się samą grą. Dbał o zdrowe żywienie, pił

ści przynosiła mi gra na pianinie. Minęło kilka lat, zanim zacząłem odczuwać przyjemność gry na skrzypcach. Fortepian to instrument, który cię nagradza. Siedzisz sobie i dźwięk już sam w sobie jest w porządku. Kiedy słuchasz początkującego skrzypka, łatwo odgadnąć, z czego są zrobione struny... na przykład z kocich flaków. Na skrzypcach trzeba się naprawdę napracować, by osiągnąć odpowiedni dźwięk, ale kiedy ci się już uda, to wtedy ten dźwięk jest tak piękny jak ludzki głos. Piękno skrzypiec tkwi

w której wypada się uczyć, jeśli marzy się o światowej karierze. Jednak nie był zbyt pilnym studentem. Bardziej pociągały go nocne wizyty w klubach Harlemu, wspólne koncerty ze Stanem Getzem w Greenwich Village.

- To wcale nie jest najlepsza szkoła muzyczna na świecie, jak pewnie myśli o niej wielu młodych muzyków - opowiada z przekąsem Nigel. - Jest nastawiona jedynie na produkcję komputerowych muzyków. Tam liczy się technika i nic więcej. Wciąż mówi się o pieniądzach, kontrak-

to właśnie Stanley zaproponował mu zmianę zewnętrznego wizerunku albo raczej pomógł mu wyzwolić to, co od dawna w nim drzemało. Pojawił się nowy Nigel Kennedy, z modną punkową fryzurą o kolorowych włosach, z kosmykiem spadającym na czoło i kolczykiem w uchu. Sztowny frak zamienił na barwne koszule.

- Gdyby mój ojciec żył, podobnie jak mama, nie znosiłby moich pieprzonych ciuchów i fryzury. Nie tworzyłem swojego image'u sztucznie. Taki już jestem. Zresztą nienawidzę mody - takie samo gówn

- Kiedy stałem się popularny, niektórzy z tzw. poważnych krytyków myśleli, że nie mogę już dłużej być dobrym muzykiem, bo sprzedałem dużo płyt. Na szczęście sukces „Czterech pór roku” mnie nie zmienił. No, może jeśli chodzi o konto w banku. Przyczynił się również do spłacenia moich skrzypiec, które są jednym z najbardziej unikatowych instrumentów na świecie. No i od momentu tego nagrania występuję przy pełnych salach.

W 1992 r. skrzypek podjął kontrowersyjną decyzję „urlopu”, wycofania się na

u Bacha nie ma lepszych i gorszych fragmentów - to prawdziwa perfekcja.

Kennedy również komponuje nawiązując między innymi do baroku, klasyki, romantyzmu. Mówi, że jego muzyka jest zawarta gdzieś pomiędzy stylami - ani to jazz, ani rock, ani klasyka.

- Lubię komponowanie, ale ono oznacza samotność, dlatego ważniejsza jest dla mnie gra na żywo, bo podstawą muzyki jest dla mnie kontakt z ludźmi. Zdarzało się, że byłem naciskany, aby grać pewien rodzaj komercyjnej muzyki, ale nigdy tego nie robiłem. Nie sądzę, żeby muzyka była użyteczna, jeżeli z nikim się nie komunikujesz. To jest trochę tak jak ze znalezieniem ulubionej restauracji, ale ciągłym chodzeniem tam samemu i niemówieniem nikomu o tym cudownym jedzeniu.

W świetle reflektorów i w oparach dymu

W Krakowie Nigel Kennedy zagrał z Orkiestrą Filharmonii Krakowskiej pod batutą Tomasza Bugaja. Wydarzenie przyciągnęło tłumy melomanów. Artysta wykonał Koncert skrzypcowy h-moll Edwarda Williama Elgara, utwór dla niego szczególny. Grywał go jako bardzo młody skrzypek, nagrał na płytę w 1984 roku i był to jego pierwszy fonograficzny sukces. Na dodatek pierwszym wykonawcą tego późnoromantycznego w stylu koncertu brytyjskiego kompozytora był sam Fritz Kreisler, muzyczny idol Kennedy'ego. I chociaż skrzypek wykonywał go już tyle razy, jego interpretacja wciąż brzmi świeżo i oryginalnie.

- Dziś gram ten utwór zupełnie inaczej. Moje pierwsze nagranie nie było kontrowersyjne, było poprawne. Teraz ponad poprawność przedkładam pasję. Zachowuję oczywiście strukturę utworu, ale jestem bardziej spontaniczny.

Kennedy słynie również z tego, że po występach w wielkich salach koncertowych lubi pomuzykować w jakimś bardziej ustronnym miejscu. Przy okazji krakowskich koncertów odwiedził nową kawiarnię „Brasserie” przy Gazowej 4, na Kazimierzu. I zagrał z krakowską, klezmerską kapelą Kroke.

- Już od wielu lat nie słyszałem muzyków, którzy graliby w taki sposób. To świetny zespół i fantastyczni artyści. Daliśmy czadu. Mam zamiar nagrać z nimi płytę.

Kennedy zapowiedział, że prawdopodobnie kolejny raz odwiedzi Polskę w Nowy Rok. A krakowianie zacierają już ręce, bo, jak wieść niesie, artysta ponoć zamierza kupić w Krakowie mieszkanie. No a wtedy musiałby przecież przyjeżdżać podlewać kwiatki.



herbatkę i to odpowiednią, ziołową, ćwiczył jogę. A Grappelli nauczył mnie pić alkohol i stosować środki odurzające, to przy nim zobaczyłem, że muzyk może grać, kiedy jest „pod wpływem”.

Ja sam myślę, że główną wartością dobrego wykonania są emocje, ten rodzaj natężenia, który sprawia, że ludzie odczuwają przyjemność z grania i słuchania muzyki. Trzeba mieć świadomość, że każde wykonanie jest jedno i niepowtarzalne...

Blisko ucha

Nigel Kennedy pochodzi z muzycznej rodziny. Matka była pianistką, ale również jego pierwszą nauczycielką skrzypiec. Ojciec był wiolonczelistą Filharmoników Królewskich, podobnie jak dziadek.

- Rodzice rozwieli się, zanim się urodziłem - wspomina artysta. - Mama nie chciała więcej pieprzonej wiolonczeli w domu. Jak byłem mały, więcej rado-

w tym, że są blisko ucha. Poza tym możesz je ze sobą wszędzie zabrać i grać w wielkich salach koncertowych, w pubach albo na pustyni...

Kiedyś grałem na Stradivariusie. Teraz jednak wolę Guarneriego del Gasu z 1735 roku, bo ma głębszy ton, jest bardziej elastyczny. Te skrzypce mają fantastyczne spektrum brzmienia. To prawda, że mówię o swoim instrumencie „fiddle” (z ang. skrzypki), a nie „violin” (skrzypce). Ale to tylko nazwy. To, co ze skrzypiec wychodzi - to rzecz najważniejsza.

Niektórzy pytają, czy gram bardziej ramieniem, czy szyją. Menuhin uczył mnie, by mało używać ramienia, ale w sklepie wiolinistycznym sprzedają „naramiennik Menuhina”...

Szkolny biznes

Kennedy studiował w legendarnej, nowojorskiej Juilliard School of Music,

tach... Uczniowie nie współpracują ze sobą, nie grają razem, oni tylko ciągle ćwiczą...

Ale za chwilę dodaje: - To nie znaczy, że sam talent wystarczy. Trzeba pracować. Ja sam dużo się już w życiu napracowałem. Ćwiczę codziennie, przynajmniej trzy razy dziennie, minimum trzy godziny. Ćwiczenie to ciężka praca. Ważna jest pamięć - fizyczna, emocjonalna, intelektualna.

- Ja jestem złym nauczycielem, do tego trzeba specjalnych umiejętności. Najbardziej lubię jam session, kiedy gram z młodymi muzykami. Myślę, że wtedy można się najwięcej nauczyć. Poza tym jest to także przyjemne, bo nikt nie zadaje niepotrzebnych pytań.

Kolczyk zamiast muszki

Pod koniec lat 80. karierą skrzypka zajął się John Stanley. Wtedy to ukazała się płyta z „Czterema porami roku”. Choć Kennedy nigdy oficjalnie się do tego nie przyznał,

jak telewizja, z której można się dowiedzieć tylko strumienia samych złych rzeczy. Pozbyłem się z domu telewizorów. Słucham radia.

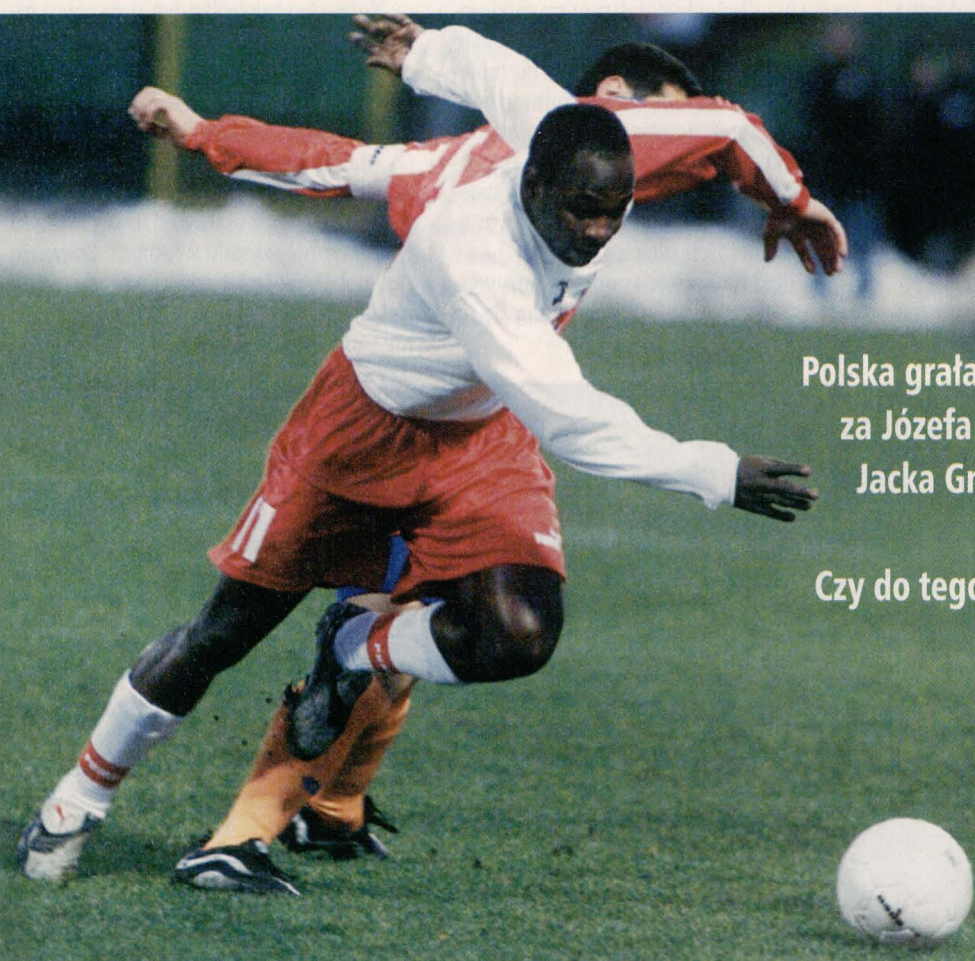
- Żyjemy w świecie bigotów - w kwestiach rasowych, w kwestiach płciowych, w kwestiach wieku. To wszystko związane jest z popem i znajduje odzwierciedlenie w sztuce. Sztuka wydaje się być legalnym gruntem dla bigotów. Jest jednym z niewielu obszarów, gdzie ludziom pewne rzeczy uchodzą na sucho. Jest również takim obszarem myślenia naprzód, gdzie ludzie akceptują swoje pomysły i siebie nawzajem. Niestety, mnie się wydaje, że to zamienia się w coś dokładnie odwrotnego.

W sierpniu 1991 r. Kennedy opublikował w Edinburgh Book Fair „Always Playing”, która w sposób popularny traktuje o jego życiu. Artysta wzbrania się jednak nazywać ją swoją biografią.

jakiś czas z działalności estradowej. Czas ten rozrósł się do prawie pięcioletniej przerwy, po której w kwietniu 1997 r. nastąpił triumfalny powrót. Benefisowy występ zbiegł się w czasie z przygotowaniem do brytyjskich wyborów powszechnych, a mimo to wiadomości o powrocie Kennedy'ego okupowały pierwsze strony poczytnych dzienników.

Muzyka niejedno ma imię

Uprawia różne gatunki muzyki - klasykę, jazz, rock. Ale jak sam przyznaje, nie potrafi powiedzieć, co jest dla niego najważniejsze. - Zawsze myślałem o sobie jako muzyku, który gra po prostu muzykę, nie jakiś szczególnie jej rodzaj. Uważam, że w każdym z gatunków muzyka, jeśli jest dobra, ma w sobie wszystko, co trzeba. W grze Milesa Davisa słyszysz i strukturę, i wolność, i ekonomikę środków. Tak samo w muzyce poważnej. Na przykład



Olisadebe, sześć goli w siedmiu meczach

Polska grała w finałach mistrzostw świata za Józefa Kałuży, Kazimierza Górskiego, Jacka Gmocha i Antoniego Piechniczka (dwukrotnie). Czy do tego zacnego, a nielicznego grona dołączy wkrótce Jerzy Engel?

Piłka jest okrągła

Najmniej czasu, ledwie stu osiemdziesięciu minut potrzebował legendarny Kałuża. W roli szefa drużyny narodowej przedwojenny filar Cracovii rzucił jesienią 1937 roku do boju z Jugosławią ekipę młodą wiekiem, za to wielką sercem. Aż 4:0 w Warszawie, tylko 0:1 wiosną następnego roku w Belgradzie. Rewanż w stolicy Jugosławii został potraktowany w nadzwyczajnych kategoriach. Zamiast drugą klasą, pojechano tam salonką. Na trybunach stadionu BSK pano- wał gorączkowy nastrój. Zresztą

nie tylko tam. Wielkimi krokami zbliżała się wojna...

Historyczne Wembley

Sukces Górskiego wiąże się od 17 października 1973 r. z historycznym tematem Wembley. Wie o tym każde dziecko. Warto chyba jednak przypomnieć, że zaczęło się dla biało-czerwonych bardzo nieszczególnie. Od porażki 0:2 z Walią na Ninian Park w Cardiff, co przy stawce złożonej zaledwie z trzech drużyn (Polska, Anglia, Walia) już na starcie bardzo komplikowało sytuację. W końcu jednak to Alf Ramsey, a nie Kazi-

mierz Górski musiał robić dobrą minę do przegranej gry.

Inżyniera Gmocha uratowało kornerowe arcydzieło w wykonaniu Kazimierza Deyny, które w rewanżu z Portugalią przesądziło sprawę awansu na argentyński Mundial. Interesująca sprawa. Pięć pierwszych meczów (dwukrotnie z Danią i Cyprem, raz z Portugalczykami) Polacy wygrali. Mimo to sprawa awansu wahała się do ostatnich sekund. Na Stadionie Śląskim trzeba było zapłacić prawdziwą cenę strachu.

Wreszcie Antoni Piechniczek... Najpierw, jesienią 1981 r., triumfo-

wał w Lipsku, gdzie husarskie szarże przeprowadzili Włodzimierz Smolarek i Andrzej Szarmach. Pięć lat później w Chorzowie omal nie doszło do rękoczynów, a właściwie doszło. Usatysfakcjonowanym bezbramkowym remisem Polakom odpowiadała gra na czas, Belgom przeciwnie. Występujący wówczas na prawej stronie belgijskiej obrony obecny trener PSV Eindhoven, Eric Gerets, nie na żarty stał się w awanturze o autową piłkę właśnie z Piechniczkiem. Ten obrazek natury obyczajowej głęboko zapadł w pamięci. Dopiero po końcowym

gwizdku arbitra można było być pewnym szansy na dokonanie futbolowej konkwisty Meksyku.

Bramki są dwie

Przed Jerzym Engelem otwierają się obecnie dwie możliwości. Może przegrać i wtedy znajdzie się w towarzystwie Henryka Reymana, Czesława Kruga, Wiesława Motoczyńskiego, Ryszarda Konciewicza, Wojciecha Łazarka, Andrzeja Strejlaua, Lesława Ćmikiewicza, Antoniego Piechniczka, Krzysztofa Pawlaka i Janusza Wójcika (wpływ niektórych z nich na przegrywanie eliminacji był minimalny, w przypadku Pawlaka wręcz incydentalny). Może wygrać i odnieść sukces na miarę marzeń, które już od piętnastu lat tak boleśnie zderzają się z parszywą rzeczywistością.

Spekulacje w futbolu to nic nowego pod słońcem. Punkt do punktu, bramka do bramki, analiza kalendarza rozgrywek. I nie skrywane pragnienia, aby to akurat najgroźniejszy rywal potknął się na prostej drodze... A najlepiej by było, gdyby, przy teoretycznie wyrównanej stawce, cała koalicja wykrwawiła się nawzajem. Rzeczywiście, taka sytuacja podnosi nasze akcje. Zwiększa prawdopodobieństwo sukcesu. Pozwala na ostateczne zarezerwowanie biletów, tym razem do Japonii i Korei.

Element kalkulacji oczywiście mieści się w strategicznym planie aktualnego selekcjonera polskiej reprezentacji. Stanowi tego programu punkt ważny, ale nie kluczowy. Nade wszystko liczyć się muszą własne aktywa. Liczba zwycięstw, ewentualnie uzupełniona remisami. Dokładnie na półmetku wyścigu o paszporty do finałów World Cup 2002 widać wyraźnie, że od dawna nie układała się sytuacja dla biało-czerwonych tak wspaniale jak teraz. Jednak nie gwarantuje to całkowitego spokoju.

Czytelny tercet

Sukcesem niepodważalnym jest to, że z polskim udziałem pozabawiono szansę Norwegię, którą jesz-



Polacy pozbawili złudzeń Norwegów. Kibice też się mocno napracowali...



cze pół roku temu uważano za faworyta. Kwestia norweska, podobnie zresztą jak armeńska, ostatecznie zesłała z afisza w środę 28 marca. Nawet matematyczny geniusz nie przywróci nadziei żadnej z tych ekip. Mająca w dorobku tylko 4 punkty Walia też nie powalczy skutecznie o główną premię. Drużyna Marka Hughesa może co najwyżej rozglądać się za utrzymaniem barażowej szansy.

Obecny układ tabeli wydaje się na tyle czytelny, by stawkę liczących się konkurentów ograniczyć do tercetu: Polska, Białoruś, Ukraina. W jakiej kolejności? Gdyby nie strzał rozpaczny Białorusina Romana Wasiljuka, którym już w przedłużonym czasie gry zmusił do kapitulacji Thomasa Myhre w ostatnim meczu z Norwegią – sytuacja polskiej reprezentacji byłaby wymarzona. Bowiem zarówno nad Białorusią, jak i Ukrainą zostałaby zachowana aż pięciopunktowa przewaga. Strefa

o główną premię zwykle się określać mianem obustronnej porażki.

Trwa wielki skok

Dwa następne terminy – w czerwcu. Co polecić Jerzemu Engelowi w związku z wyprawami do Erewanu i Cardiff? Przede wszystkim – trzymać dotychczasowy kurs. Może mu w tym pomóc złożenie towarzyskiej wizyty Adamowi Małyszowi. On też był liderem, stojąc przed wyborem optymalnej taktyki na trudny finał sezonu. Znakiem było skoczek wygrał między innymi dlatego, że tak naprawdę nie kłopotował się zbyt teoretycznym podejściem do zagadnienia. Licząc na innych, głównie liczył na siebie. To zawsze najlepsza metoda.

W dotychczasowej postawie podopiecznych Engela (któremu znaczna część uprzejmie donoszących dziennikarzy zdążyła „podziękować” grubo przed rozpoczęciem eliminacji...) znaleźć można wiele analogii do skoczka z Wisły. Kupowane „w ciemno” przed wyprawami do Kijowa i Oslo remisy zamienił Engel na dwa triumfy, które mogą i powinny okazać się bezcennym kapitałem.

Adam Małysz zasłużenie wypoczywa, ale wielki skok wciąż trwa. Ucieczka przed białorusko-ukraińskim pościgiem też. Za dwa miesiące można być już bardzo daleko. Za to znacznie bliżej Japonii. W końcu... piłka jest okrągła, a bramki są dwie.

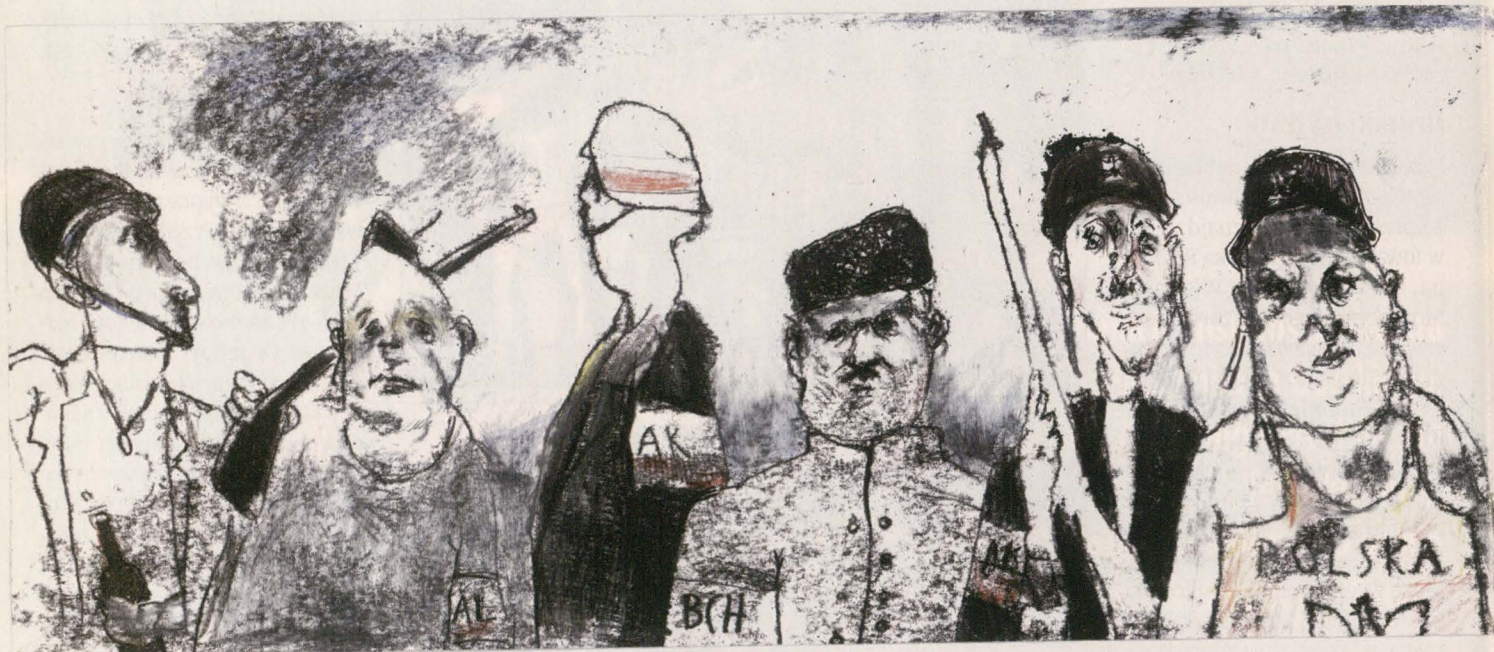
JERZY CIERPIATKA
WIESŁAW KRAJ

TABELA GRUPY V

	MECZE	PUNKTY	BRAMKI
1. POLSKA	5	13	13:4
2. BIAŁORUŚ	5	10	7:6
3. UKRAINA	5	8	6:6
4. WALIA	5	4	5:6
5. NORWEGIA	5	2	4:7
6. ARMENIA	5	2	5:11

MECZE DO ROZEGRANIA

- 2 czerwca: Armenia – Białoruś, Walia – Polska, Ukraina – Norwegia.
6 czerwca: Norwegia – Białoruś, Ukraina – Walia, Armenia – Polska.
1 września: Białoruś – Ukraina, Walia – Armenia, Polska – Norwegia.
5 września: Ukraina – Armenia, Białoruś – Polska, Norwegia – Walia.
6 października: Walia – Białoruś, Armenia – Norwegia, Polska – Ukraina.



TEKST LESZEK MAZAN
ILUSTRACJE STASZEK CHOLEWA

Hajli, hajlo

Naruszone zostaje kolejne polskie, narodowe tabu. Na biurku dyrektora programowego „Polsatu” leży scenariusz sitcomu – serialu pod roboczym tytułem „Ludzie z lasu”.

Ludzie z Armii Krajowej, Armii Ludowej i Batalionów Chłopskich mieszkają w jednym lesie, a pilnuje ich ten sam leśniczy. To konieczne, gdyż człowiek uzbrojony i, jak to w lesie, wygłodniały seksualnie, po wypiciu większej ilości bimbru, może zrobić krzywdę nawet sobie.

Folksdojczka daje dla dobra ojczyzny

Budowa serialu wygląda mniej więcej tak jak w starym dowcipie: raz zwyciężali partyzanci, raz Niemcy, znów partyzanci i znów Niemcy, a na końcu leśniczy się

zdegenerował i wygonił wszystkich z lasu.

Niemcy przegrali już pod Stalingradem, przechodzą na całej linii frontu do rozpaczliwej obrony, ale w zagrzebanym „w środku Europy i na końcu świata” Bolkowskim Lesie wiedza o tych wydarzeniach jest minimalna: Las nadal jest prawdziwym rajem dla mundurowych oraz cywilnych dekonników i cwaniaków wszystkich walczących stron.

Niemiecką władzę okupacyjną reprezentuje w Lesie głupkowaty gestapowiec sturmbanführer Stetke (skąd my go znamy?), który nie może dać sobie rady ani z „leśny-

mi”, ani z własnymi ludźmi. Jego prawą ręką jest austriacki kancelista Borówka, wiecznie zalany i prowadzący ciemne interesy, również z partyzantami. Rezydent Abwehry, przystojny kapitan Hans Klops jest, jak się okaże, agentem (J-23) kilku wywiadów. Jego sekretarka, a zarazem pogotowie seksualne, folksdojczka Krystyna, to w rzeczywistości gorąca patriotka, działająca „dla dobra Ojczyzny i Lasu”. Granatowym policjantem jest ukrywający się Żyd Joszke. Głupota już dawno wyprawiłaby Stetkego na front wschodni, czyli „na bolszewiki”; na szczęście kochankiem małżon-

ki sturmbanführera, wysuszonej, w średnim wieku, Frau Helgi jest telefonujący co drugi dzień do Bolkowa Adolf Hitler.

W Lesie aż roi się od partyzantów, a raczej „przebierańców”. Największym oddziałem jest sześciuosobowa brygada Armii Krajowej „Wichura”: chłopaki – cwaniaki z miasta, z gębami pełnymi bogoojczyźnianych frazesów, dekujący się w lesie przed burzą wojny. Pięć osób liczy pułk Armii Ludowej im. Czerwonego Października; tworzą go udający polskich komunistów niemieccy uciekinierzy spod Stalingradu. Miejscową ludność reprezentuje 4-osobowy ba-

talion Batalionów Chłopskich im. Bartka Półgłowiackiego: zdemoralizowani chłopci, którzy zamiast trudzić się na polu, udają partyzantów, hulają, piją i swawolą.

Za sprawą kpt. Klopsa, który, chcąc jak najdłużej pozostać na wygodnej posadce, ekspediuje do Berlina wysysane z palca raporty o strategicznej roli Bolkowskiego Lasu (produkcja tajnej broni, zrabowane dzieła sztuki etc.) – Hitler wysłała tam wciąż nowe, elitarne oddziały i agentów. Likwiduje ich i zamyka w kniei prawdziwy władca Lasu, leśniczy Franek, który ponad wszystko pragnie uchronić swój rewir przez burzą historii.

Dyrektor Bogusław Chrabota jest „absolutnie za” skierowaniem serialu do realizacji, i chyba tak się stanie. Choć w dyrekcji sieci zdania są podzielone. Oponenti bawią się wprawdzie świetnie na „Allo, allo”, ale nie wyobrażają sobie podobnej kpiny, żartu, zabawy, śmiechu w realiach okupacji hitlerowskiej w Polsce i polskiego ruchu oporu.

Owszem, były u nas komedie sytuacyjne, nawet wielce udane – „Giuseppe w Warszawie” czy „Jak rozpętałem drugą wojnę

światową”. Nowy sitcom chciałby w sposób czytelny nawiązać do tych filmów. Tylko że „Ludzie z lasu” to kpina totalna, a wymogi sitcomu mogą ją – zdanie niektórych decydentów – uczynić wprost obrazoburczą. Według wyobrażeń zakodowanych od pokoleń w świadomości Polaka w lasach walczyły same bohaterki, Skrzetuscy bez nałogów, apologetki i naśladowczynie dziewicy Wandy, co nie chciała Niemca.

– No cóż, myślę, że nie do końca tak było – mówi dyplomatycznie współautor serialu Mariusz Pasek. – Zapewne nie przed wszystkimi należy zaraz padać na kolana.

Pan Mariusz patologicznie nie nawidzi wszelkiej bohaterstwa. I przewiduje u siebie „poważne kłopoty rodzinne”.

Piłsudski, Krzak, sierp i młot

Wszyscy „leśni ludzie” mieszkają obok siebie w prymitywnych ziemiankach, różniących się między sobą jedynie drobnymi (choć istotnymi) szczegółami zastawionych bateriami butelek.

W kwaterze wisi orzeł w koronie i portret dziadka Piłsudskiego.

Dowodzą podstarzały, udający arystokratę lowelas rotmistrz – nadporucznik Jańka-Janik, z ogromną kaburą rewolwerową z rzemieniem opasującym szyję. W skład brygady wchodzi: wachmistrz Kozielec (prymitywny, ociężały grubas w furazerce), podstarzały student ppor. Boruta-Boruciński, wiecznie zalany plutonowy Nalewaj, chudzielec o twarzy aniołka kapral Pasikonik, uwielbiający jedzenie bombardier Bombka i emisariusz z Warszawy, mjr Krzak-Leśny.

W kwaterze AL znajduje się emblemat „Sierp i młot” oraz portret zbiorowy Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Zbiegłymi spod Stalingradu dezertierami Wehrmachtu dowodzi porucznik Młynarski (Miller), świński blondyn o wyglądzie wyrośniętego członka Hitlerjugend. Podlegają mu: grubasek w bawarskich spodniach z szelkami gwardmajster Helmuth Kapusta (Kohl), sierżant Szpadalek (Schipidel) – wypisz, wymaluj Himmler, starszy pan o wyglądzie urzędnika kanonier Kulawik (Kugel), wiecznie zaspany nadszeregowy Mamdziara (Muen-schenglück) i lejtnant Józef – człowiek Moskwy.

W kwaterze BCh pod portretem Bartosza Głowackiego przy armacie i Kościuszki z kosą dowodzi intelektualista sierżant Kanigur. Towarzyszy mu kapral Marylka – seksbomba o słowiańskiej urodzie. Stan osobowy pułku uzupełniają plut. Wasiuta, typowy chłopiec-roztrypek oraz szeregowy Wdech – wielki, zwalisty, o ptasim mózdzku.

Hitler kaputt, chcesz Szwabie bimbru?

Polak uwielbia śmiać się z rozpustnych Francuzów – żabogadów, flegmatycznych, wypranych z wszelkiej fantazji Anglików, kretyńsko namiętnych Włochów. Niemiec w „Allo, allo” jest dla nas do przyjęcia, bo prezentuje typ tępego (choć czasem sympatycznego) zupaka, bywa, że okrutnego, ale ze stępienymi kłami. I wszystko jest w porządku, dopóki akcja komedii sytuacyjnej dzieje się w kraju, w którym nigdy nie było powstania warszawskiego ani Oświęcimia.

– W Lesie Bolkowskim wszystkie ziemianki będą miały okrutną świadomość istnienia tego obozu – mówi Mariusz Pasek. – Ale właśnie dlatego ważniejsze będzie dla nich zdobycie odpowiednich zapasów bimbru. Bo takie było wtedy życie.

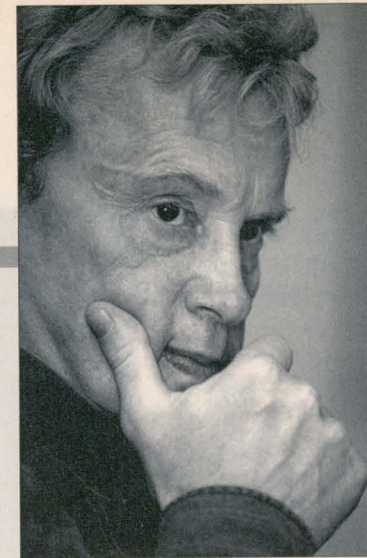
We francuskim miasteczku, w którym członkowie francuskiego ruchu oporu zajmują się głównie seksem, a angielscy komandosi irracjonalnymi próbami wypełniania rozkazów – Niemcy („podobnie jak Polacy na pewno o wiele bardziej głupi niż w rzeczywistości”) nie mają szwarccharakterów. Podobnie będzie w Lesie Bolkowskim. A las ten twórcy serialu umieścili w kraju, gdzie jeszcze długie lata po wojnie słowo „niemiec” jako jedyne wśród nazw narodowości pisano małą literą. Nawet dzieciom nie trzeba było tłumaczyć, dlaczego.

W „Ludziach z lasu” Niemcy nie będą zbyt wiele różnić się od tych z „Allo, allo”. Będą śmieszni dzięki karykaturalnemu prze rysowaniu ich cech uchodzących



DZIŚ

— Moja impresario



FOT. SEBASTIAN WOJTYŚ

według światowych stereotypów za narodowe. Stereotyp polski zostanie teraz złamany na naszym gruncie: żaden Niemiec w żadnym mundurze nie będzie strzelał do dziecka ani organizował publicznych egzekucji. A do tej pory w polskim filmie było to poniekąd obligatoryjne.

– Serial na pewno nie będzie podobał się Niemcom – przewiduje Mariusz Pasek. – Ale z powodów innych niż dotychczas.

Kancelaria sturmbanführera Stetkego

Borówka: – Jestem podła niemiecka świnią, Herr Pompke!

Stetke: – Nie przesadzajcie, Borówka. Każdemu zdarza się zapieprzyć. (...) Ja nie wyciągać żadną konsekwencję, gdy wy szybko nadać raport do Wielkiego A. W try miga!

Borówka: – Nic z tego, Herr Strupke! Przecież mówiłem, że ze mnie świnią, jakich mało. Prze-handlowałem radiostację.

Stetke: – Cooooo!

Borówka: – Za flaszke samogonu. Oooooooo! Jeszcze nigdy niemiecki żołnierz nie sprzedał się tak tanio! Moja wina!

Stetke: – Borówka, bój się Hitlera! Co wy mówicie? (...) No tak... To my być ugotowani, Borówka (...) Jutro przyjeżdża na inspekcję feldmarszałek Grubierian.

Ziemianka partyzantów BCh. Pukanie do drzwi.

Wasiuta: – Kto tam?

Borówka (nieśmiało): – Gestapo!

Wasiuta: – Kie lichy? Żarty jakie? Znów te głupki z AK jaja z nas sobie robią... A hasło znasz?

Borówka: – Ja, ja, jawohl. Hitler kaputt.

Kangur: – Kruca Felek! Zna hasło! Wlaz!

(wchodzi zapłakany i obładowany tobołami kancelista Borówka)

Borówka: – Dobrzy wiczór, dzielna Bechowka! Hitler kaputt, a Borówka mieć dla was, dzielna Bechowka, taka dobra tuszonka

i amunicja, a dodatek też panzerfaust i klucz do szafa pancerna komendant Stetke.

Kangur: – A o co ci chodzi, Szwabie?

Borówka: – Czemu zaraz Szwab? Borówka dobrzy Austria-ka. (...) Pany partyzany mieć moja radiostacja. Ja mieć kontrola z Reich. Oni mnie wywieźć na bolszewiki, jak ja nie mieć radio-nadajka (...)

Kangur: – Jest pewien problem... Widzisz, Borówka, my tę twoją radiol trochę przerobiliśmy.



(wskazuje na wnętrze ziemianki, gdzie pracuje dziwna machina)

Borówka: – Przerooooo... oooo! Co to?

Kangur (triumfalnie): – Maszynka do robienia bimbru!

Wasiuta (podchodzi do Borówki ze szklanką, serdecznie): – Masz, Borówka, napij się. Dziś stawia firma.

Wszystkie afery mile widziane

Podobnie kształtować się będą relacje między AL i BCh a AK.

Wielką politykę robiono zapewne (bo serial o tym nie wspomni) na górze; w lesie – przynaj-

mniej według planowanego sitcomu – pohukiwano na patriotyczną nutę, ale koncentrowano się na sprawach bardziej przyziemnych. Rywalizacja o przetrwanie w dobrej kondycji psychofizycznej będzie w serialu ostra, zwłaszcza wśród samych Polaków. I to właśnie głównie będzie przedmiotem żartów i sytuacji komediowych.

– W przeciwieństwie do „Allo, allo” nie będziemy żerować prawie wyłącznie na narodowych stereotypach – mówi dyr. Chra-

gruba kreska. I niech narodowa tromtadacja przegra w hierarchii ważności z praniem bielizny i gotowaniem grochówki w warunkach obozowych. Niech będzie to odczytywane – zresztą słusznie – jako próba demontowania świadomości Polaków, która, niestety, jest sumą nieświeżych historycznych stereotypów. Autorów serialu nie interesuje to zupełnie, liczy się tylko i wyłącznie efekt komiczny. Ale uzyskany uczciwymi środkami. Niekonwencjonalnymi, jak na warunki polskie, ale uczciwymi.

Bogusław Chrabota jest współtwórcą „Kiepskich”, a „Kiepscy” – ludzie molierowską manierą ulepiani na debili i skonfrontowani z rzeczywistością prawdziwą – są, jak wynika z badań, ulubionym serialem polskiej inteligencji. Może dlatego, że kpi sobie on i dworuje z naszych narodowych, najbardziej zapyziałych, ale uczciwie przedstawionych cech.

No tak, ale jeszcze nikt się z tego nie śmiał „w warunkach okupacyjnej, leśnej nocy”. Nikt na ekranie czy w kabarecie nie parodiował słów „Rozszumiały się wierzby” czy „My ze spalonych wsi”. Sam wojenny pobyt w lesie był już nobilitacją. Czy „Ludzie z lasu” zbyt niebezpiecznie nie zbliżają się do możliwego protestu kogoś przeciw czemuś, co może uchodzić za świętość?

Ziemianka BCh, Marylka prowadzi audycję

Marylka: – Dla wiernych słuchaczy Radia BeCha FM najnowszy przebój Hajli, hajlo.

Partyzanci: Hajli, hajlo, na dupy by się szło!

Choć choć nie ta co za młodych lat

I żonka na ciebie zerka wściekła, zła

Zew krwi wzywa cię, że ho, ho!

I jeszcze na dupy by się szło... Nieraz! Hajli, hajlo!!!

Marylka: – Śpiewało trio „BeChłopcy”. Halo? ■

Wiosna przyszła już w styczniu, za to teraz – po przyjeździe tej podobno prawdziwej, kalendarzowej – za oknem śnieg.

Żywym dowodem tego, że była tu już w styczniu, jest kotka Kasia. Dwa dni temu urodziła cztery śliczne kociaki.

Swoje seksualne wakacje spędzała na tarasie przed domem już dwa miesiące temu. Ale nie tylko aura zwariowała. Cztery kociaki mają dwie mamusie. Pierwsza to właśnie Kasia – dorodna

„dachówka” szarej maści, a druga – suczka Pippi, miniatura Yorka z rodu prawdziwych championów tej rasy. Suczce też się popieprzyło. Nie dość, że dzielnie asystowała przy porodzie, czule pomagając Kasi obliźwać ledwo co wychylające się na świat szare łebki, to jeszcze teraz pilnuje ich jak własnych, nosi w pyszczku i od czasu do czasu głośnym ujadaniem sygnalizuje, gdy coś jest, jej zdaniem, nie w porządku. Co parę godzin kotka na spacer, a suczka – dyżur przy maluchach. I śmieszne to, i wzruszające. Można więc było mieć nadzieję, że tym razem uda się w tym łagodnym i miłym tonie dociągnąć do końca felietonu i udowodnić Państwu bezsens powiedzonka „żyją jak pies z kotem”.

Ale się nie udało. Wystarczyło tylko przerzucić leżące na stole gazety, żeby już po trzech minutach trafił człowieka jasny szlag. No bo co z tego, że od kilku dni żaden z rodzimych politycznych czynowników nie wprawił nas w osłupienie? Znalazło się nagle zastępstwo w osobie dziennikarki „Życia Warszawy”, Ewy Likowskiej. Dziennikarka postanowiła zaistnieć i zastąpić NIK, PIH, sanepid i diabli wiedzą kogo tam jeszcze.

Z precyzją ubeckiej aktywistki wzięła na cel – aż wstyd mi to wykrztusić – dyrektora Teatru Wielkiego i Opery Narodowej, Waldemara Dąbrowskiego. Pani redaktorka już to ma pretensje do NIK-u, że Dąbrowski ciągle działa i dyktuje, już to do ministra kultury,

że nie sprzeciwia się, gdy dyrektor Opery proponuje coraz to ciekawszy repertuar, zaprasza dyrygentów i gwiazdy ze świata, urządza uroczyste premiery, festiwale, ba – w dodatku jest grzeczny, wykształcony, dobrze wychowany, świetnie wygląda, mówi nie tylko po polsku, przyjaźni się z artystami, zachwyca rzesze rodaków, organizując Festiwal Gwiazd w Międzyzdrojach, urządza tymże Gwiazdom jakąś tam ich „Aleję” z odciskami dłoni i to jeszcze w jakim miejscu – na pięknej nadmorskiej promenadzie, a nie jak np. w Hollywood – na brudnym brukowanym bulwarze, gdzie wy-

łącznie porno shopy i kioski z pamiątkami. Gromadzi wokół siebie tłumy VIP-ów i widzów. Ohyda!

A wcześniej, przed laty? Też miał za uszami. Nie zważając na przepisy, śmiał ułatwiać życie filmowcom, prowadził Teatr Studio i bezczelnie promował go za granicą. Jak na jednego – dużo za dużo. No, nie ma go za co lubić. I teraz, po tym „wnikliwym” artykule, prezes NIK-u będzie w prawdziwej rozterce. Bo skąd ma wiedzieć, czy lepiej badać przekręty w ZUS-ie albo innych ważnych instytucjach państwowych, czy jednak skupić się na tym, jak tu dopaść i usadzić dyrektora Dąbrowskiego. Niełatwy wybór. Nie ma czego zazdrościć prezesowi.

A nie mogłaby tak kobita poszydełkować przed TV, obejrzeć kilka odcinków brazylijskich seriali, a potem streścić ciekawym tego koleżankom, co przed południem zajęte uczciwą pracą czasu na telewizję nie mają. Widać, nie mogłaby.

No cóż – kundle ujadają, karawana Walda Dąbrowskiego dziarsko kroczy dalej. A wszystkim, co mają w głowach więcej niż dwie goniące się szare komórki, tli się iskierka nadziei, że ten Wielki Obwiniony W.D. nie będzie musiał udowadniać, że nie jest wielbłądem. Ot, co! – jakby napisał Daniel.

KRYSZYNA DEMSKA

Podpisuję się obiema rękami:

DANIEL OLBRYCHSKI

**Co słysząc?
Ano nic nowego.
Choć, jak to u nas,
nigdy nic
nie wiadomo.
Ani w życiu,
ani w przyrodzie.**



PROCESJA KAPTURÓW

Na czas procesji zakonnicy zakładają kaptury

BEATA PŁONKA

Wielkanocne obchody na Sycylii to konglomerat tradycji chrześcijańskiej i pogańskiej. Uczestnicy trwającej prawie dobę Procesji Bolesnych Tajemnic poruszają się w tanecznym rytmie przypominającym rumbę.

Sycylia, „nadzwyczajne skupisko wspomnień”, jak mawiał o niej Carlo Levi, urzeka nie tylko bajeczną naturą, ale właśnie niezwykłą mozaiką pozostałości po dawnych cywilizacjach. Wyspa leżąca między dwoma kontynentami – europejskim i afrykańskim – zachowała ślady dawnego splendoru oraz tradycje i mity kultur wtapiających się kolejno w jej krajobraz.

Jedyny taki zakątek ziemi

Każdy, kto widział Sycylię, zgodzi się z archeologiem Vincenzo Tusą, który – wskazując na grec-

kie świątynie Syrakuz i Agrigento, megalityczne mury fenickiej Mozii, romańskie mozaiki Villi del Casale i arabski zamek w centrum Palermo przejęty przez kolejnych najeźdźców, Normanów – utrzymuje, że „takiego nawarstwienia elementów różnych kultur nie można znaleźć w żadnym innym zakątku ziemi”. Nawet utożsamiane z sycylijskim krajobrazem gaje oliwne, winorośle, granatowce, drzewa migdałowe i pistacjowe przywędrowały tu z Bliskiego Wschodu, Arabowie przywieźli chleb świętojański, morwę, cytrynę i pomarańczę. Hiszpańscy najeźdźcy zaszczepli-



Sycylijskie obrzędy przypominają wielkotygodniowe obchody w Sewilli

li znane im cytrysy, a z wypraw do Ameryki przywieźli słodkie przyprawy, mandarynki, agawy i opuncję figową.

Podobnie jak góra wznosząca się nad Trapani – portem leżącym na zachód od Palermo – która z miejsca kultu bogini nazywanej Afrodytą przez Greków i Wenus przez Rzymian przekształciła się pod naciskiem Kościoła katolickiego w sanktuarium maryjne, tak i wielkanocne obchody na Sycylii noszą piętno symbiozy pogaństwa i religii, pobożnej zadumy i południowej radości życia. Do niedawna jednym z takich obrzędów były

„spotkania Madonn” celebrowane w czasie Wielkiego Tygodnia.

**W rytmie rumb
z domieszką wina**

Przed Wielkanocą Madonny z różnych kościołów krążyły po Trapani, zatrzymując się w domach żon żeglarzy, które w nocy czuwały przy figurach i modliły się za tych, którzy wypływają z portu. Gdy drogi figur Madonny krzyżowały się, grupy wiernych w rytmie muzyki organizowały huczne „spotkania Madonn”. Dopiero kilka lat temu władze kościelne dostrzegły nieostojność tego popularnego święta, zwracając uwagę na to,

że Madonna jest jedna, czemu zaprzecza idea „spotkań”, i zakazały celebrowania tradycji.

Tym, którzy po raz pierwszy przyglądają się procesji w Trapani, kojarzy się ona z pochodem Ku-Klux-Klanu w rytmie rumb. Otwiera ją orkiestra nadająca rytm tanecznemu krokowi pierwszej grupy rzemieślników niosących wykonany przez siebie ołtarz. Orkiestrze przewodzi dyrygent, którego strój od czasów „Ojca chrzestnego” nieodparcie kojarzy się z modą panującą wśród sycylijskich mafiozów: czarny, jedwabny garnitur, lakierki, wypomadowane włosy i okulary słoneczne – nieodłączny atrybut włoskich piękności. Tęskna, rytmiczna melodia, którą podejmują kolejne zespoły muzyczne maszerujące w procesji, kojarzy się raczej z bliskim, gorącym kontynentem afrykańskim niż ze znaną nam nostalgiczną, żałobną muzyką katolickiej Północy.

Rzemieślnicy niosący ołtarze wykonują doskonale skoordynowane taneczne kroki, poruszając się w rytm muzyki po trójkacie. Historia kroków – jak wyjaśnia bandażujący sobie dłonie rybak – jest prosta: uczestnicy wielogodzinnej procesji są zbyt zmęczeni, by poruszać się krokiem marszowym, niosąc na barkach ciężki ołtarz. Często korzystają przy tym z dopingu miejscowego wina; kołyszący krok sprzyja wówczas utrzymaniu godnej równowagi do końca.

Procesja ma na Sycylii podwójne znaczenie: to nie tylko Procesja Bolesnych Tajemnic, ale i różnych grup zawodowych („misteri” to w sycylijskim dialekcie zawody). Między grupami rzemieślników kroczą w równych rzędach zakonnicy, których trapańczycy mogą jedynie rozpoznać po kolorze strojów i kapturów. Pierwsze w procesji bractwo św. Michała występuje na przykład w białych tunikach i czerwonych kapturach.

Zwyczaj obchodzenia Wielkiego Tygodnia przywieźli na wyspę

Hiszpanie, panujący tutaj w latach 1412–1713, stąd procesja w Trapani przypomina wielkotygodniowe obchody wielkanocne w Sewilli. W historycznym centrum Trapani początkowo odgrywano religijne przedstawienia obrazujące mękę i śmierć Chrystusa. Czasy inkwizycji, które przyniosły ingerencję w wiele lokalnych obrzędów, do sycylijskiej procesji wprowadziły drewniane figury zastępujące animowane sceny.

I murarze, i piekarze

Dostarczenia figur świętych na bogato dekorowanych ołtarzach podjęli się lokalni artyści, bowiem Trapani już w średniowieczu zaopatrywało królewskie dwory całej Europy w wyroby ze srebra i koralu. 20 ołtarzy nie może równać się ze 113 niesionymi przez mieszkańców Sewilli, ale i tutaj z dumą dźwigają je na barkach przedstawiciele tradycyjnych zawodów, m.in. rzeźnicy, piekarze, sprzedawcy owoców i warzyw, rybacy, ogrodnicy, murarze, kowale, szewcy, pracownicy warzelni soli i producenci makaronu.

W ostatnią noc przed procesją w kościołach przechowywanych ołtarze trwa gorączkowa krzątania – mężczyźni z obandażowanymi dłońmi przymierzają się do podniesienia kilkusetkilogramowych figur, z którymi będą maszerować następnego dnia. Kobiety biegają od ołtarza do ołtarza, przystrajając je świeżymi kwiatami. Procesja rozpoczyna się w Wielki Piątek o pierwszej po południu, by zakończyć się następnego dnia przed południem. Trwający ponad dwadzieścia godzin pochód, który ma przypominać o ofierze Chrystusa i bólu Najświętszej Matki, nasiąkł lokalnym kolorytem, przekształcając się w barwne muzyczne przedstawienie, któremu co rok towarzyszą tłumy wiernych i turystów. Nocą trapańczycy towarzyszą procesji, obserwując oświetlone tysiącem świec szeregi zakapturzonych postaci i figury świętych przemierzające ulice pokryte marmurem i płatkami róż.



Pięć rewolucyjnych sekund, Sam Taylor Wood, 1998

Sponsorowanie
przedsięwzięć
artystycznych
jest dla wielu firm
łatwym sposobem
uszlachetniania
swego wizerunku.
Dla fundacji
Miucci Prady
nie jest to
cel główny.

SŁAWOMIR SMOLEŃ

PRADA

Miuccia Prada nie rysuje i nie szyje, co nie przeszkodziło jej stać się symbolem mody lat 90. Jej ubrania, buty z charakterystyczną podszewką przypominającą kalosze i torby z czarnego nylonu wyznaczają miarę dobrego gustu. Prada jako jeden z niewielu dyktatorów mody nie sygnuje nazwiskiem perfum czy okularów, co dla wielu jest sposobem na finansowy sukces. Wypromowała zwyczajne ubrania o zgaszonych kolorach, polegając na własnej intuicji. Stworzyła snobistyczny, łatwo rozpoznawalny styl, tzw. banalną ekscentryczność, pożądaną przez wszystkich. Zły gust podniosła do rangi symbolu. 60 sklepów na najbardziej ekskluzywnych ulicach całego świata (m.in. Nowego Jorku, Londynu, Paryża, Hongkongu, a nawet Malesji i Filipin) spowodowało, że jej marka okazała się największym kasowym sukcesem na rynku mody.

Nowy mecenas

Prada nie boi się ryzykownych pomysłów. Nie chodzi tu tylko

o świat mody, ale o biznes. W każdym z przedsięwzięć towarzyszy jej mąż Patrizio Bartelli. Pozostawia żonie monopol na pomysły, dokładnie je nadzorując od strony finansowej.

Jednym z nich było stworzenie fundacji wspierającej młodych artystów. Założona w 1993 r. Prada Milan Project, przemianowana w 1995 na Fondazione Prada (Fundacja Prady), odkrywa, promuje i finansuje przedsięwzięcia zdolnych twórców sztuki współczesnej. Na potrzeby fundacji został zaadaptowany stary budynek fabryczny przy via Spartaco w Mediolanie. Każdego roku fundacja we współpracy z organizacjami publicznymi prezentuje tam dwie wystawy. Towarzyszą im ekskluzywne katalogi artystów w języku angielskim i włoskim.

Moda na sztukę

Wystawy poświęcone nowym projektom inicjowane są przy współpracy światowych artystów, sztabu krytyków sztuki i speców od public relations. Niektóre

promuje sztukę

z tych ekspozycji są później wystawiane w muzeach o międzynarodowej renomie.

Pierwszą ekspozycją sygnowaną przez fundację były w 1993 r. rzeźby Eliseo Mattiacciego, Nino Franchiny i Davida Smitha. Nowy program zapoczątkowany w 1997 r. kieruje uwagę nie tylko na rzeźbę i malarstwo, ale również na projekty architektoniczne i urbanistyczne. Fundacja Prady udowadnia, że współczesna moda, a szczególnie pokazy haute couture coraz częściej zastępują dotychczasową „produkcję” sztuki.

Dzięki prezentowaniu nowych artystów fundacja zamieniła się w instytucję propagującą nowe środki wyrazu: komputerową obróbkę obrazu, nowoczesne wykorzystanie wideo i fotografii. Jej kilkuletnia zaledwie działalność wystarczyła, by zdobyć sławę, wypromować kilku artystów i zaistnieć wśród podobnych instytucji. Fondazione Prada stała się jednym z najważniejszych filarów nowoczesnego mecenatu sztuki i wpływowym obserwa-

rem nowych kierunków artystycznych.

Samotna gejsza

Mariko Mori zawdzięcza światowy rozgłos fundacji. Urodzona w Japonii w 1967 r. artystka została obwołana przez krytyków jednym z najbardziej innowacyjnych twórców. Jej bogata i surrealistyczna wyobraźnia znajduje spełnienie w użyciu wyrafinowanych technologii.

Tematem prac Mori, nazywanych niejednokrotnie ikonami współczesności, jest najczęściej sama artystka. Słynny projekt „Samotnej gejszy” w futurystycznym obrządku, jak pisano, „zdaje się czymś pomiędzy kiczem a fetyszem”. Inna praca z 1995 r., „Narodziny gwiazdy”, przedstawia artystkę jako pozującą plastikową lalkę w deszczu kolorowych balonów napełnionych helem. To tęcze wyobrażenie pełne pozytywnych uczuć ma być pozbawione, tak jak puszki z zupą Campbella na obrazach Warhola, jakichkolwiek symbolicznych wyobrażeń.

Promocja fundacji sprawiła, że Mori zaistniała na światowym rynku sztuki, a jej prace były prezentowane w wielu światowych galeriach i na weneckim Biennale w 1997 r.

Silikon i wideo

Współczesna sztuka lubi szokować i prowokować. W czerwcu 2000 r. fundacja pokazała wystawę bulwersującą i zadziwiającą. Jej autorem był młody brytyjski artysta, który za cel swej działalności przyjął włączanie prawdziwego życia w estetyczne kanoony sztuki. Przeciwnie stawia się hasło „sztuka dla sztuki”. W swoich filmach i instalacjach wykorzystuje m.in. chleb, krew, ekskrementy, lód i silikon. Materiały te szokują i nie pozwalają na obojętność.

Marc Quinn, bo o nim mowa, ukończył Cambridge i prestiżową Royal Academy of Arts w Londynie. Niedługo potem zaprezentował w Fundacji Prady swe pomysły. Jeden z jego filmów przedstawiał naturalny cykl narodzin, ży-

cia i śmierci, uzależniony od współczesnej technologii. Zanurzone w 25 tonach silikonu o temperaturze 20 stopni Celsjusza cięte kwiaty utrzymują na pierwszy rzut oka wieczną świeżość. Przez takie potraktowanie dają wyobrażenie o krótkotrwałości piękna we współczesnym świecie.

Pięć rewolucyjnych sekund

Brytyjska artystka młodszego pokolenia Sam Taylor Wood dzięki współpracy z Fundacją Prady przygotowała i pokazała w 1998 r. cykl fotografii „Pięć rewolucyjnych sekund”.

Wielkoformatowe obrazy powstałe z połączenia kilku zdjęć zrobionych w różnych miejscach przedstawiają ludzi w wyrwanych z kontekstu najróżniejszych sytuacjach. Oto ekskluzywny apartament z wyraźnymi śladami dobrej zabawy, obok elegancki mężczyzna o filozoficznym wyrazie twarzy siedzi w fotelu, kobieta w szaleńczym tańcu również w pustym apartamencie, kolejna kobieta pa-



Świątynia snu, Mariko Mori, 1999



Ogród, Marc Quinn, 2000

trzy na nas ze zdjęcia niemal z wyrzutem. Sam Taylor Wood opowiada o samotności, braku porozumienia, dekadencji i niepowodzeniach. Jej bohaterowie to osoby poszukujące sensu, spragnione swych pięciu rewolucyjnych sekund.

Nie tylko pieniądze

O opiece fundacji marzy dziś wielu artystów. Koszty produkcji współczesnego dzieła sztuki ze względu na coraz częstsze wykorzystywanie nowych mediów są niezwykle wysokie. Bardzo rzadko się zdarza, by sztuka oddziaływała tak powszechnie jak muzyka czy film, a co się z tym wiąże, by mogła się samofinansować. Sponsoring przedsięwzięć artystycznych jest dla wielu firm łatwym sposobem uszlachetniania swego wizerunku. W przypadku Fundacji Prady nie jest to cel główny.

Fundacja stała się nie tylko sponsorem, ale i prestiżową instytucją kultury. Udowodniła, że oprócz bycia obserwatorem najważniejszych nurtów w dzisiejszej sztuce jest jej ważnym współtwórcą.

Oficjalna strona internetowa fundacji:
www.fondazioneprada.org

W Polsce żadna z dużych firm nie założyła fundacji wspierającej sztukę. Jednak wiele grup kapitałowych, banków i przedsiębiorstw prowadzi działalność sponsoringową. Oto dwa przykłady:

GRUPA KAPITAŁOWA. Kulczyk Holding SA wspiera finansowo głównie wystawy kosztowne, będące istotnym wydarzeniem kulturalnym. Z Zamkiem Królewskim w Warszawie stale współpracuje, należąca do holdingu, WARTA, wspierając wystawy organizowane w jego wnętrzach – ostatnio m.in. Skarby Królewskich Zbiorów Drezdeńskich i Złoty Wiek Malarstwa Flamandzkiego. WARTA patronuje także wielu wystawom organizowanym przez Muzeum Narodowe w Warszawie, m.in. ekspozycji „Serenissima – światło Wenecji” i wystawie prac Andy Warhola. Znaczącą formą mecenatu Kulczyków są zakupy dzieł współczesnych artystów polskich takich, jak Franciszek Starowieyski czy Jerzy Nowosielski. W Poznaniu, w budynku starego browaru Grażyna Kulczyk organizuje teatr, galerię i klub artystów. Nowe miejsce ma łączyć mecenat kulturalny z rozrywką.

BANK. Wśród dużych polskich firm znaczącym mecenasem sztuki jest Powszechny Bank Kredytowy, który od wielu lat współpracuje z Muzeum Narodowym w Warszawie. PBK pełnił rolę głównego sponsora takich wystaw, jak: „Caravaggio i jego krąg”, „Ars Mitologica”, „Jacek Malczewski. Powrót”. Warszawskie Muzeum Narodowe jest patronem utworzonej w 1998 roku Galerii PBK. W bankowych wnętrzach przy ul. Towarowej 25A prezentowana jest polska sztuka współczesna. Odbyło się tam już dziewięć wystaw uznanych polskich artystów, m.in. „Dom tęczy” Henryka Woźniaka, „Warszawa” Edwarda Dwurnika czy „Zagięcie czasoprzestrzeni” Zbigniewa Macieja Dowgiałły. Korzystając z rekomendacji MN, PBK tworzy własną kolekcję polskiej sztuki współczesnej. Bank nabył siedemnaście najlepszych prac prezentowanych dotychczas w galerii. Oprócz sponsorowania wystaw, bank stara się wzbogacać zbiory muzeum. Ostatnio zakupiono obraz Józefa Chełmońskiego „Roztopy na Ukrainie”. (SR)

Dom Wydawniczy REBIS

ponad 900 tytułów w ponad 30 seriach



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.; ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. (0-61) 867-47-08, 867-81-40; fax (0-61) 867-37-74
e-mail: rebis@pol.pl, rebis@man.poznan.pl; www.rebis.com.pl

MACEDONIA – ETNICZNY KOCIOŁ



Wrogiem dialogu albańsko-macedońskiego jest radykalizm Narodowej Armii Wyzwolenia. Radykalizm żywi się złudzeniami, ale rozpala wyobraźnię. Politycy albańscy w Macedonii, nie chcąc stracić wyborców, nie mogą być mniej radykalni od partyzantów albańskich, chociaż rozsądek podpowiada, aby trzymać się z dala od tych, którzy przekonują do swoich racji przemocą.

WE ARE
NOT
TERRORISTS





Konwój KFOR opuszcza Tetovo



Podejrzliwość żołnierza KFOR



Oddziały macedońskie w pobliżu Tetova



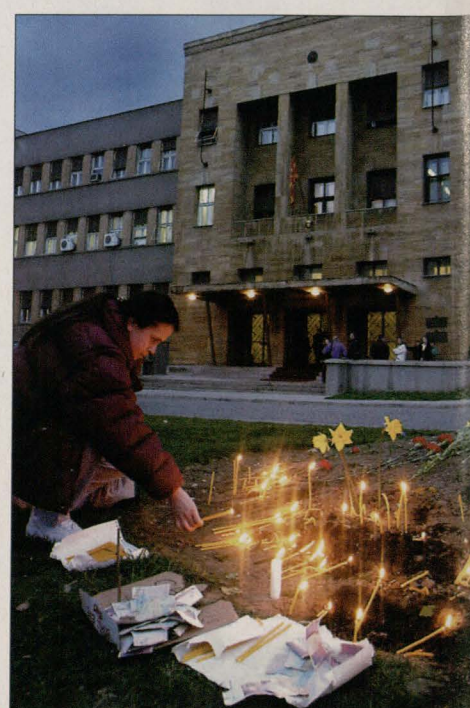
Namierzenie celu...



Z flagą albańską na ulicy Tetova



Ludzie, którzy przyzwyczaili się już do życia w mieście pod ostrzałem. Dnie mijają na oczekiwaniu chwili, kiedy w Tetowie zapanuje spokój.



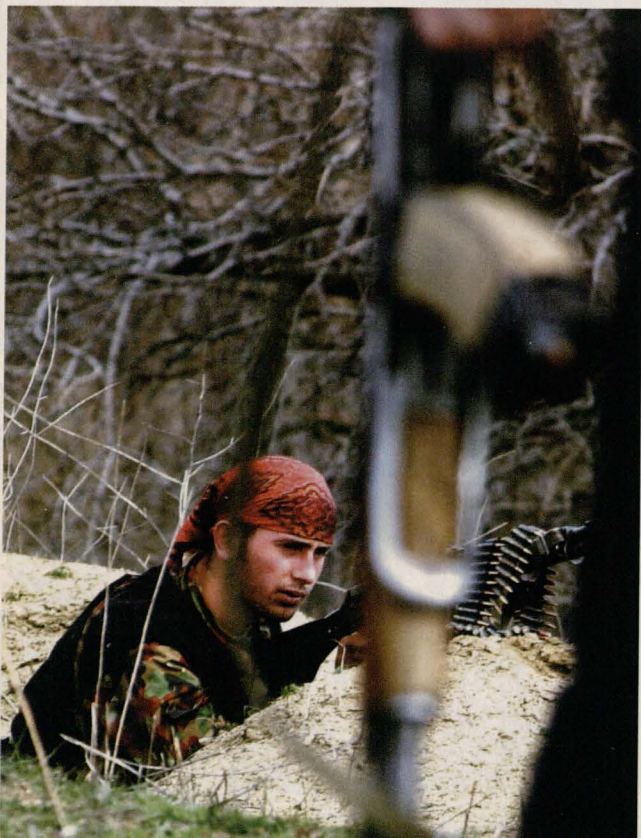
Pamięci żołnierzy, którzy zginęli z rąk albańskich terrorystów

Wystarczy spojrzeć na mapę, aby zrozumieć, dlaczego kolejny punkt zapalny powstał tam, gdzie Albania graniczy z Kosowem i Macedonią. I dlaczego tak kuszące stają się marzenia o „wielkiej albańskiej rodzinie”, która – rozpychając się tokciami – zapragnie wyznaczyć nowe granice państw w tym rejonie Bałkanów. Dzisiejsza Narodowa Armia Wyzwolenia i wczorajsza Armia Wyzwolenia Kosowa to te same trzy litery UCK. Metody się nie zmieniły. Inna jest tylko świadomość społeczności międzynarodowej, bogatszej o doświadczenia dwóch ostatnich lat, kiedy się okazało, że czerń i biel to zbyt skąpa paleta barw dla odmalowania sytuacji etnicznej na terenie Kosowa. Z punktu widzenia rządu w Skopje Albańczykom żyje się w Macedonii znacznie lepiej niż ich ziomkom w Kosowie. Mają swoje gazety, program telewizyjny, teatr. Mają swojego wicepremiera, czterech ministrów w rządzie, pięciu ambasadorów oraz generałów w armii. UCK chce jednak widzieć Albańczyków jako równoprawny z Macedończykami konstytucyjny naród. Gdyby albańska mniejszość nie była dyskryminowana, być może awanturnicza „armia wyzwolenia” natrafiłaby na próżnię. Kiedy znajdzie się jednak pretekst, łatwo stworzyć kolejne zarzewie wojny w tym podatnym na emocje regionie.



Pogrzeb macedońskiego policjanta zastrzelonego na granicy Kosowa

Niemiecki minister obrony powiedział: „Europa nie zastąpi rządu macedońskiego”, wykluczając możliwość interwencji NATO. Rząd macedoński wziął więc sprawę w swoje ręce. Armia uderzyła na pozycje albańskich separatystów, których ataki zmusiły wcześniej do ucieczki 35 tys. mieszkańców Tetova. Ale ani Unia Europejska, ani NATO nie chcą wojny, bo to olbrzymi kłopot, nie mniejszy zresztą niż późniejszy pokój, którego trzeba pilnować z bronią u nogi. Z równą determinacją, z jaką wspierał w Kosowie UCK walczącą z Serbami, Zachód popiera teraz macedońskie działania zmierzające do zneutralizowania separatystów. Tu „armia wyzwoleńcza” i tam „armia wyzwoleńcza”, sytuacja jednak zupełnie inna. W Macedonii rząd wybrany demokratycznie, w Jugosławii demokrację miały dopiero wymusić bomby spadające na Belgrad. Teraz Zachód apeluje do Albańczyków, żeby złożyli broń, ale oni wiedzą, że nie po to wszczynali rebelię, aby się poddawać. Javier Solana, szef dyplomacji UE, przyjeżdża do Skopje, aby oświadczyć: „Nadszedł moment na przekazanie sprawy politykom”. Szef NATO, George Robertson, mówi to samo, ale innymi słowami: „Widzę dwa rozwiązania konfliktu: albo zjednoczona Macedonia, albo kolejny rozlew krwi na Bałkanach”. O dialog apeluje Ibrahim Rugova, przywódca umiarkowanych Albańczyków z Kosowa. Spokój, który zapanował po strzelaniu, wcale nie znaczy, że skończyła się wojna. Wiadomo przecież, że przez granicę z Kosowem cały czas trafia do Macedonii broń. Spokój może być tylko ciszą przed kolejną burzą.

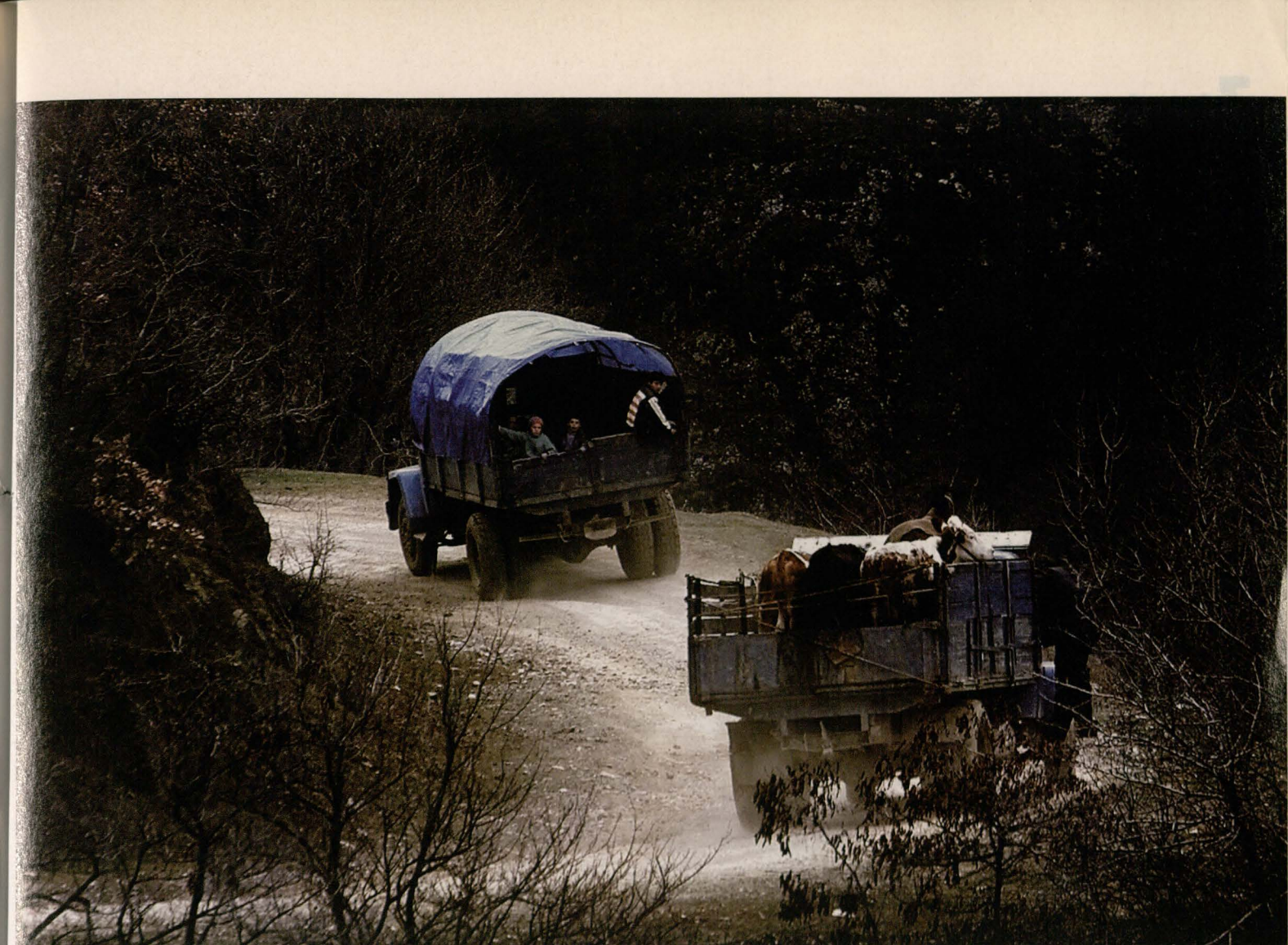
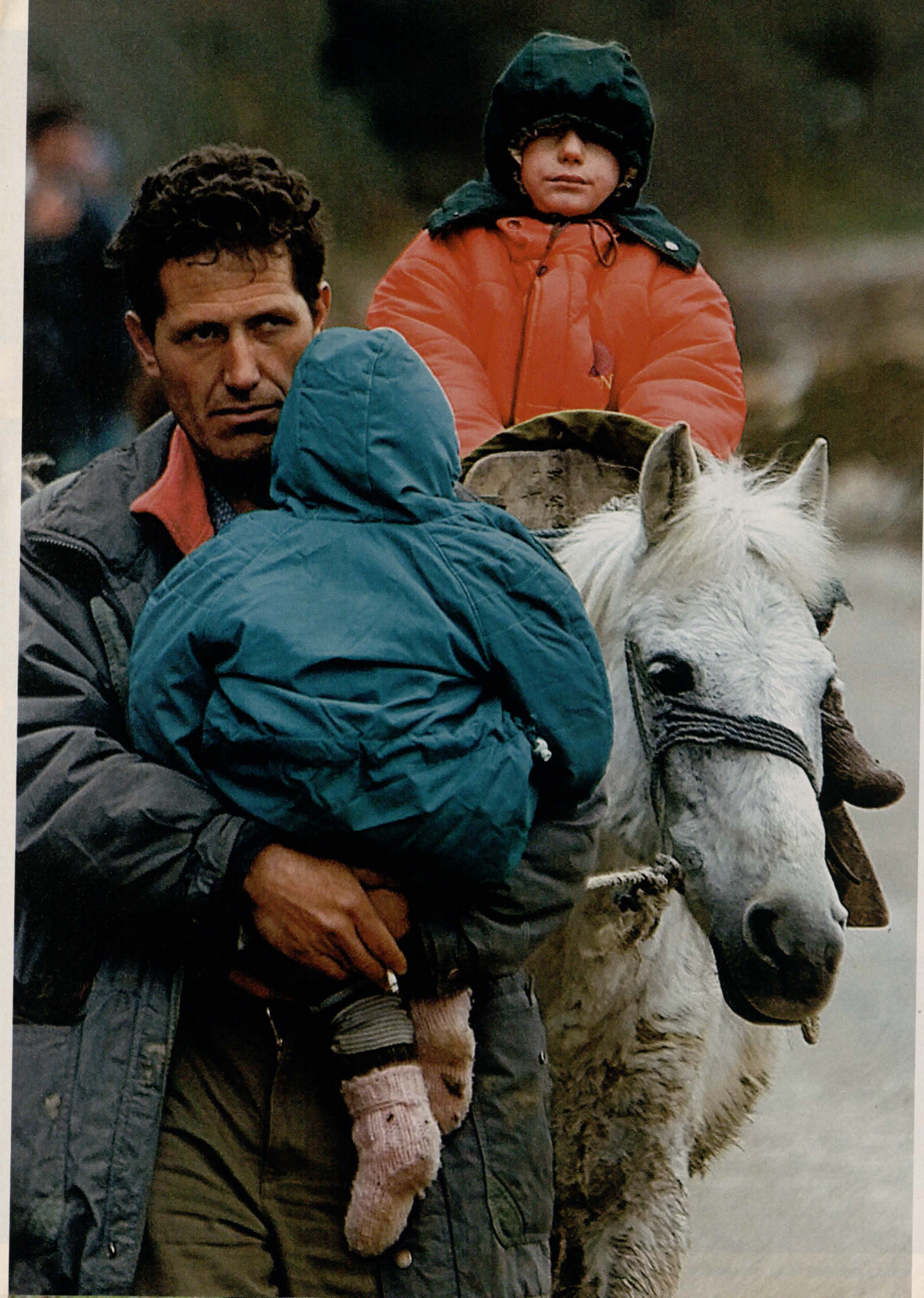


FOT. REUTERS/FORUM, EPA/FORUM

◀ Albański partyzant z UCPMB w czasie walk pod Gjorgievcem



Żołnierze armii macedońskiej w pobliżu Tetova



Ucieczka przed niepewnością



Każdy Albańczyk może być podejrzany o sprzyjanie powstańcom

W idok ten sam, co kiedyś w Kosowie. Ludzie pakujący swój dobytek na wozy, auta, muły, konie. Masa uciekinierów, którzy myślą tylko o jednym – być jak najdalej od miejsca, gdzie padają pociski, gdzie domy w jednej chwili zamieniają się w kupę gruzu, gdzie można stracić życie, chociaż to życie w ubóstwie też niewiele jest warte. Ucieczka bezbronných ludzi – nieodłączny element bałkańskich awantur. Przed dwoma laty były to setki, tysiące uchodźców, którzy uciekali z Kosowa, szukając schronienia. Teraz uciekają do Kosowa, gdzie od połowy lutego schroniło się 4,5 tys. Albańczyków z Macedonii. I może są wśród nich rodziny ukrywających się albańskich partyzantów, którzy nakazują im zabierać dobytek i jechać do Kosowa, aby potem rozgłaszać, że Bogu ducha winnych Albańczyków wypędzono z Macedonii. Uciekinierzy z Tetova powrócili, kiedy armia wymiotła partyzantów z otaczających miasto wzgórz. Nikt jednak nie zagwarantuje, czy za tydzień lub miesiąc nie będą powtarzać exodusu, ponieważ wciąż panuje tu tymczasowość. Nawet jeśli albańscy separatyści odłożą broń i zechcą rozmawiać o warunkach pokoju, życie w tej części Macedonii nie stanie się z dnia na dzień normalne.

ATLETA bez mięśni

JOLA WORKOWSKA

Zamiast nogi – balon, zamiast ręki – kłoda. Im bardziej jesteś chory, tym lepiej wyglądasz. Nieświadome ciotki wychwalają atletyczną figurę, rodzice płaczą po kątach. Ich cudowne dziecko traci mięśnie. Z każdym dniem jest coraz gorzej.

Zanik mięśni (jest blisko 40 rodzajów dystrofii) jest chorobą dziedziczną sprzężoną z płcią. Oznacza to, że rodzice mogą mieć syna chorego, a córkę zdrową. Lub dwóch synów chorych i dwie córki z dystrofią – wszystko zależy od wadliwego położenia genu. Zazwyczaj matka jest nosicielem choroby, syn – ofiarą. Istnieje pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że dziecko odziedziczy chromosom z wadliwym genem. Jeśli urodzi się chłopczyk – zachoruje, jeśli dziewczynka – może sama zachorować i w dodatku przekaże wadliwy gen swoim dzieciom.

Nie wszyscy chorują

Każdy człowiek ma jakiś nieprawidłowy gen, ale nie wszyscy chorują. Matka natura broni zdrowia. Tam, gdzie przegrywa, pojawia się ludzka rozpacz i bunt.

Na świecie jest kilka milionów osób dotkniętych chorobą. Występuje ona u jednego dziecka na 3 tysiące urodzonych chłopców. W Polsce – zdaniem prof. Ireny Hausmanowej-Petrusewicz, kierownika Zespołu Badawczego Chorób Nerwowo-Mięśniowych Polskiej Akademii

Nauk w Warszawie – przypadków zaniku mięśni zdarza się więcej.

Smutek na podwórku

Pierwszym objawem choroby jest przegrana rywalizacja z rówieśnikami na podwórku. Dziecko z zanikiem mięśni nie może biegać, grać w piłkę, jeździć na rowerze. Gdy inne szaleją, ono samotnie siedzi na ławce. Myśli: dlaczego koledzy, gdy grają w badminta, śmieją się, a mnie się chce płakać z bólu, gdy muszę podnieść raketę?

Rodzice nie pozwalają na zbyt długie samotne myślenie. Trzeba jechać do lekarza, odebrać film z wypożyczalni, iść do kolegi. W nocy choroba pokazuje swą moc: zmęczone nogi bardzo boją, ciało drętwieje, skurcz paraliżuje wszystkie ścięgna. Rano masaż ojca przynosi ukojenie, ćwiczenia i kolejna dawka witamin dodaje siły, by zacząć nowy dzień. Ale energii nie wystarcza na długo. Trzysta metrów do szkoły to pięć krawężników, cztery progi i szesnaście schodów. Nogi odmawiają posłuszeństwa.

Mężczyzna jak niemowlę

Powoli mięśnie łydek zanikają, a ich miejsce zajmuje tkanka tłuszczowa i z nogi robi się ba-

lon. Chłopiec wygląda jak atleta; im bardziej jest chory, tym potężniejszą ma posturę. Choroba atakuje wszystkie mięśnie. Gdy nogi nie mogą utrzymać tułowia, młodzieniec wsiada na wózek. Ręce są jego nogami. Sprawne dłonie wprawiają koła w ruch. Jeździ na rehabilitację, do szkoły, na zakupy. Po powrocie do domu nie ma już siły, by przesiąść się na krzesło. Rodzice zdejmują mu spodnie, nakładają pantofle. I karmią. Ręce są zbyt słabe, by utrzymać łyżkę i przegonić komara, który usiadł na nosie.

Pełnoletni mężczyzna żyje jak niemowlak. Myśli jak dorosły. Jeden wadliwy gen niweczy normalne działanie dziesiątków innych genów. Brak w organizmie dystrofiny, substancji, bez której mięśnie się nie regenerują, sprawia, że już zużyte ulegają nieodwracalnemu zniszczeniu. Każdego dnia ubywa ich.

Gdy sportowiec nadweręży mięśnie, dostanie zakwasów, ale po jakimś czasie wszystko wróci do normy. Gdy dystrofik nadweręży mięśnie, zanik postępuje szybciej.

Jeżeli dystrofik będzie pisał za dużo listów, mięśnie dłoni zanikną. Zamiast uścisku ręki, będzie dotyk kostek. O tym, jak ważną funkcję spełnia w organizmie

dystrofina, wiadomo od początku lat osiemdziesiątych. Wtedy amerykańskim uczonym udało się wyodrębnić gen odpowiedzialny za dystrofię mięśni. Naukowcy zamierzali pokonać chorobę przez „mezalians” zdrowych i chorych tkanek mięśniowych. Sądono, że wystarczy w kilkudziesięciu miejscach wstrzyknąć do mięśni chorego niedojrzałe, zdrowe komórki mięśniowe, a one pobudzą organizm do wytworzenia dystrofiny.

Myszy mówią nie

Gdy w latach dziewięćdziesiątych naukowcy zaczęli przeprowadzać eksperymenty z myszami chorymi na dystrofię mięśniową Duchenne’a, okazało się, że próby z przeszczepami nie przynoszą spodziewanego efektu. Ani u myszy, ani u chorych ochotników, którzy się zdecydowali poddać eksperymentom, nie stwierdzono pozytywnych skutków.



FOT. KUBA DĄBROŃSKI

Eksperyment się nie powiódł z trzech powodów. Po pierwsze – twierdzi dr Pirayi Serdaroglu, wiceprzewodnicząca EAMDA, europejskiego partnera Stowarzyszenia Dystrofii Mięśniowej w USA – większość wstrzykniętych mioblastów nie docierała do komórek docelowych i nie wiązała się z nimi na skutek oporu błony komórkowej i warstwy ochronnej otaczającej komórki mięśniowe biorcy. Po drugie, reakcja zapalna, rozwijająca się w miejscu wstrzyknięcia, często zabijała przeszczepione komórki. Po trzecie, reakcja odpornościowa organizmu także była skierowana przeciwko dystrofii i innym składnikom.

Brak sukcesów w przeszczepach sprawił, że zrezygnowano z dalszych badań klinicznych. Pieniądże przeznaczone na badania terapii komórkowej zostały skierowane na badania terapii genowej i inne rokujące nadzieje na

postęp. Ale wstrzymanie funduszy nie przerwało przeprowadzania eksperymentów.

Wątpliwy sukces

Zabieg, zwany terapią komórkową, można wykonać prywatnie. Dwie fundacje na świecie – w USA i Korei – wstrzykują chorym niedojrzałe komórki mięśniowe. Za 80 wstrzyknięć trzeba zapłacić 150 tysięcy dolarów. Chorzy oddają swoje słabe ciało w ręce lekarza, który został wykluczony z amerykańskiego Stowarzyszenia Dystrofii Mięśniowej (MDA) i obecnie przyjmuje chorych w klinice w Seulu.

Doktor P.K. Law wstrzykuje chorym mioblasty (komórki mięśniowe) od zdrowego ojca lub brata i obiecuje pacjentom, że za trzy lata będą zdrowi. Jedynym warunkiem powrotu do samodzielnego życia jest intensywna rehabilitacja. Dlaczego dr Law został wykluczony z prestiżowego

amerykańskiego stowarzyszenia naukowego? Powód jest jeden: nie chciał uznać dowodów stwierdzających, że metoda przeszczepiania mioblastów jest na razie nieskuteczna. Dr Law zatajał przed chorymi rezultaty badań.

Prośba o nadzieję

Ale chorzy ufają, że dzięki przeszczepowi urodzą się na nowo. Dziewiętnastoletni Mariusz Popławski napisał list do czytelników kobiecej prasy: „Wiem, że zostały mi jeszcze dwa lata życia, a właściwie 2 lata... umierania. A ja nie chcę umierać! Przecież mogę żyć! Potrzebuję tylko Waszej pomocy...”

Do gazety dołączono blankiet z wypisaną kwotą 5 zł. Obok apel: „Gdyby 150 tysięcy osób zechciało wpłacić po 5 złotych, Mariusz mógłby polecieć za ocean. To byłaby wyprawa po życie. Wpłacone przez Ciebie 5 zł może uratować człowieka”.

Dr P. Law zakwalifikował Mariusza do wykonania zabiegu. Perspektywa odrodzenia nie jest dla Mariusza zbyt odległa. Niedawno z zagranicznej operacji przeszczepu wrócił Miłosz z Kędzierzyna-Koźla. Koreańscy lekarze wstrzyknęli do mięśni komórki ojca chłopaka w nadziei, że zwiążą się z chorymi komórkami mięśniowymi i zaczną wytwarzać dystrofinę.

Przeszczep wiąże się z dużym ryzykiem, gdyż organizm chorego musi być poddawany zabiegom obniżającym odporność immunologiczną. Gdy mioblasty – gościnne komórki mięśniowe – zdomowią się, chory zaczyna pracę nad własnym ciałem. W ciągu kilku lat dr Law zastosował terapię komórkową u 119 pacjentów. Każdy chory zapłacił po 150 tysięcy dolarów. Do dziś żaden pacjent dr. Lawa nie wyzdrowiał.

Życie ma sens

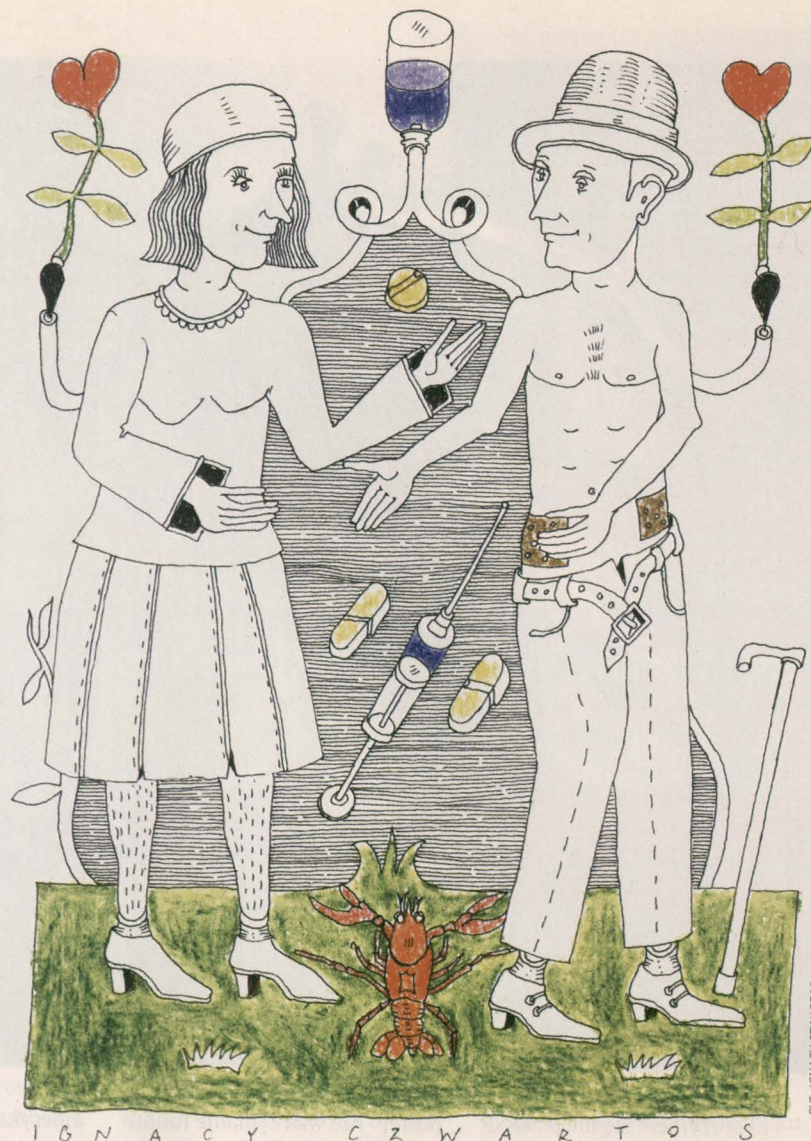
Miłosz w programach telewizyjnych podkreśla, że jego życie nabrało sensu. Jest szczęśliwy. Od operacji minęło dopiero kilka tygodni, a Miłosz czuje się już lepiej.

Dwa lata temu Europejskie Centrum Chorób Neuromięśniowych (ENMC) zorganizowało seminarium na temat nieskuteczności stosowania terapii komórkowej. Amerykańskie towarzystwa naukowe zajmujące się badaniem chorób neuromięśniowych apelują, by „podnosić stan świadomości pacjentów i ich rodzin, aby uniknąć wykorzystywania ludzi”. W czerwcu br. naukowcy z Quebecu, którzy kontynuują na małpach eksperymenty z mioblastami, stwierdzili: „Rezultaty usprawiedliwiają przeprowadzenie nowych badań klinicznych. Chociaż przeszczep nie jest ostatecznym lekiem, to być może mógłby przywrócić wytwarzanie dystrofiny, zwolnić, nawet zatrzymać postęp choroby w niektórych mięśniach”.

Mariusz Popławski nie czyta rozpraw naukowych. Wierzy, że uda mu się zebrać pieniądze, które go ocalą.

Brać albo nie brać

Czy uzupełniać niedobór hormonów płciowych, skoro brak odpowiedzi, co dobrego, a co złego czynią w organizmie? O tym mówiono na kongresie endokrynologów w Łodzi.



Nasi dziadkowie 50 lat temu nie bardzo wiedzieli, co to meno- czy andropauza. Nas już oswojono z tą terminologią. Żyjemy dłużej i prawie 30 lat w okresie, w którym hormony przestają wspierać organizm. 45 i więcej lat ma w Polsce 7 milionów kobiet i 6 milionów mężczyzn.

Płci pięknej hormony zaczynają wysiadać o 10 lat wcześniej niż brzydszej połowie ludzkości. Jednak następstwa psychiczne i dolegliwości fizyczne są dla obu płci podobne. Na kłopoty zdrowotne coraz większej rzeszy ludzi nauka odpowiada: trzeba uzupełniać odpowiednie dla płci hormony.

Hormonalna Terapia Zastępcza (HTZ) nie jest w Polsce ani powszechnie znana, ani akceptowana. Po lek w postaci tabletki,

czopka, żelu czy ostatnio plastra sięga najwyżej 7 proc. kobiet.

Z hormonów w zastrzyku lub z plastra korzysta jeden na stu mężczyzn. Z zasady są to lekarze, biznesmeni, artyści – uważa prof. Stefan Zgliczyński, współzałożyciel Międzynarodowego Towarzystwa Badań nad Starzeniem się Mężczyzn.

Opór mężczyzn przed kuracją wynika z niewiedzy (andropauza przebiega podstępnie). Poza tym niechętnie przyznają się do swych dolegliwości. Kobiety natomiast są nieufne, bo lękają się puszystości (nie tyje się), kamicy pęcherzyka żółciowego, migren (zdarzają się). Najbardziej jednak zniechęcają je do terapii hormonalnej informacje w mediach o zachorowaniach na raka, zwłaszcza na raka sutka.

Na ich postawie zaważyły przede wszystkim doniesienia z amerykańskiego Narodowego Instytutu Raka. Kierująca badaniami dr Catherine Schairer dowodzi, że pacjentki zażywające dłużej niż przez 5 lat zestaw estrogen-progesteron o 40 proc. częściej zapadały na raka niż kobiety nie objęte terapią HTZ. Czy wzrost zachorowań na nowotwory w takich przypadkach potwierdzają inne badania obserwacyjno-kliniczne? O tym na „Kongresie Menopauzalnym wieku XXI” w Łodzi mówili wybitni specjaliści ginekologii, endokrynologii, kardiologii, urologii.

Widmo raka

Opinię amerykańskiego instytutu kwestionuje się, a dr Schairer zarzuca niekompletność badań. Złaskza to, że informacje do swych badań zbierała telefonicz-

nie oraz za pomocą kwestionariusza. Na dodatek, spośród 46 tys. wybranych pierwotnie kobiet w trakcie obserwacji zrezygnowało 13 tys. Niemal co trzecia.

Uspokajająco brzmi jednak diagnoza zespołu epidemiologów. Na podstawie konsultacji z autorami 51 opublikowanych dotąd prac raz jeszcze analizowali związek między HTZ a rakiem sutka. Ryzyko jest nie większe od 2 proc. rocznie – twierdzą naukowcy z Iowa, którzy od 15 lat prowadzą badania. Podobnie oceniają problem lekarze w Toronto. W American Cancer Society po 9 latach obserwacji wysunięto zasadniczo odmienny wniosek: HTZ o 16 proc. zmniejsza liczbę zgonów z powodu raka sutka. Duży wpływ na to ma związana ze stosowaniem hormonów kontrola mammograficzna.

Dr Małgorzata Bińkowska z Kliniki Położnictwa i Ginekologii CMKP zwraca uwagę na jeszcze inny aspekt sprawy. Ocena, że terapia hormonalna nie wywołuje raka, jest raczej pewna. Nie można natomiast wykluczyć, że przyspiesza wzrost obecnych już w sutku ognisk nowotworowych. Mogą one być jednak równie dobrze skutkiem dziedziczności, braku potomstwa, palenia tytoniu, otyłości i innych czynników ryzyka.

Poprawka z badań

Wyniki, które dała powtórna ocena 51 procesów badawczych, mogą uspokajać, ale nie dają jednoznacznej wiedzy o skutkach stosowania hormonów. Takiej choćby, jaką mają lekarze w odniesieniu do raka szyjki macicy. W tym przypadku terapia nie tylko nie powoduje, ale wręcz zmniejsza ryzyko zachorowania. Dlatego lekarze i pacjentki oczekują badań na większą niż dotąd skalę, z uwzględnieniem także innych czynników ryzyka.

Takie badania podjęto w USA – ich wyniki poznamy w roku 2008 oraz w Wielkiej Brytanii – wyniki w 2011. Uczni mają nadzieję, że ostatecznie pozwolą one rozstrzygnąć, czy stosowanie HTZ przybliża, czy oddala od kobiet widmo raka. Jest to ważne i z tego powodu, że podawane przed laty dawki hormonów były zupełnie inne od stosowanych teraz. Nowa koncepcja terapii polega na leczeniu niskimi dawkami estrogenów, na indywidualnym dostosowaniu do potrzeb pacjentek. Poszukuje się również nowych sposobów podawania leku.

Estrogen jest fundamentalnym hormonem kobiecym. Bierze udział w 300 reakcjach chemicznych zachodzących w organizmie. Jak więc stworzyć zastępującą go substancję, by spełniała wszystkie korzystne działania oryginału? W jakich ilościach i gdzie ją aplikować?

Prof. Stanisław Radowski z Kliniki Endokrynologii Ginekologicznej warszawskiej AM modyfikacje leków łączy z postępowaniem

nauk podstawowych. A te coraz lepiej rozpoznają funkcje receptorów estrogenowych, ich ilość i lokalizację. Obecnie przyglądamy się terapii pulsacyjnej, w której komponenty hormonów podane w sprayu donosowo powodują szybkie ich wychwytywanie i nasycenie tkanki. Zbędna substancja nie krąży więc we krwi, terapia wydaje się więc bezpieczna. Także dla piersi.

Piersi czy serce?

Spór o skutki stosowania Hormonalnej Terapii Zastępczej dla kobiecych piersi nie ustaje. Natomiast jest jeszcze inny poważny problem. Otóż ryzyko śmierci kobiety w wieku pomenopauzalnym (osiąga 8 proc. Polek tuż po czterdziestce) z powodu choroby serca jest o 31 proc. wyższe niż z powodu raka sutka.

Przekonanie, że zawał zabija głównie mężczyzn, nie jest prawdą. Owszem, przed menopauzą kobiety chorują od nich 11 razy rzadziej, estrogeny chronią ich serca niczym gliceryna. Po menopauzie jednak u co drugiej kobiety wzrasta stężenie złego cholesterolu (LDL), a spada dobrego (HDL). To prowadzi do skoków ciśnienia. Zwiększa się krzepliwość krwi nie tylko żyłnej, ale i tętniczej – udary mózgu, zawały serca. W efekcie na choroby układu krążenia umiera więcej kobiet niż na wszystkie rodzaje nowotworów – mówi kardiolog prof. Zdzisław Kornaczewicz-Jach.

Serce kobiety jest mniejsze od serca mężczyzny, bije szybciej,

ma cieńsze ściany i węższe naczynia wieńcowe. Trudniej je operować. Dlatego zdecydowanie lepiej zapobiegać miażdżycy – twierdzą lekarze. Jednak paniom, które już dotknęły udaru lub zawału, nie zalecają rozpoczynania kuracji hormonalnej. Bo jeśli ta hamuje proces tworzenia się blaszek, to istniejących zatorów już nie rozpuszcza. Potwierdziły to badania HERS przeprowadzone na grupie 3 tys. kobiet.

Uzupełnianie kobietom hormonów to nie leczenie, lecz profilaktyka. Od HTZ nie ma więc odwrotu – mówi prof. Tomasz Pertyński, kierownik Kliniki Ginekologii i Chorób Menopauzy w Łodzi. Przemawia za tym prewencja schorzeń układu krążenia, ale także osteoporozy, raka okrężnicy, raka jajnika i choroby Alzheimera.

Męskie klimakterium?

Łódzki kongres menopauzy uznał, że tylko co dziesiąta kobieta nie kwalifikuje się do leczenia z powodu medycznych przeciwwskazań. Do reszty należy wybór. Wybierać powinni też mężczyźni. Rzecz w tym, że choć starszych panów przybywa, wielu z nich problem uważa za wydumany. Zwłaszcza gdy odnieść go do rozrodczości; jajniki wyhamowują tę czynność po 50. roku życia kobiety, męskie gonady mają zdolność zapłodnienia do późnej starości. Na dodatek stężenie testosteronu w surowicy krwi wraz z wiekiem u mężczyzn obniża się tylko o 1 proc. rocznie, podczas

gdy u pań po menopauzie estrogen spada gwałtownie.

Andropauza lub jak wolą inni – zespół słabości – zaczyna się w różnym wieku. U około 20 proc. osób nawet przed pięćdziesiątką. Niedobór niektórych hormonów objawia się zwykle kłopotami z koncentracją, depresją. Także nadwagą, zmęczeniem, skórą podobną do pikowanej kołdry, zmniejszoną masą mięśni, niesprawnością seksualną.

Mężczyźni nie chcą mówić o swych dolegliwościach. Zwłaszcza o impotencji, która w Ameryce dotyka 39 proc. czterdziestolatków. Tymczasem właśnie ten problem to najbardziej czuły wskaźnik zachorowań i śmiertelności z powodu choroby wieńcowej.

Z powodu niedostatecznego stężenia androgenów dochodzi do zaburzeń w gospodarce lipidowej, węglowodanowej i wapniowo-fosforanowej. Mogą one być przyczyną miażdżycy lub cukrzycy. To samo zagraża kobietom. Aby zaradzić chorobom i poprawić komfort życia, byłoby dobrze, żeby mężczyźni zadbali o hormonalną terapię, tak jak zaczynają już dbać o dietę oraz fizyczny wysiłek – mówi androlog, prof. Michał Karasek z Łodzi.

W odróżnieniu od kobiet HTZ dla mężczyzn to podawanie jednego hormonu – somatotropiny. W zastrzykach lub za pomocą plastrów. Wszystko zaś po to, by odsunąć proces starzenia się. By hormony buzowały jak kiedyś.

TERESA BĘDKOWSKA

PODRĘCZNY SŁOWNICZEK

- **ANDROGENY** – męskie hormony płciowe.
- **ESTROGEN** – główny żeński hormon płciowy chroniący przed chorobami serca, osteoporozą, Alzheimerem, itd.
- **PROGESTERON** – też hormon żeński.
- **TESTOSTERON** – podstawowy androgen wydzielany przez warstwę siatkową kory nadnerczy i jąder.
- **SOMATOTROPINA** – hormon wzrostu. Wpływa na przemianę materii, biosyntezę białek i spalanie tłuszczów, podnosi poziom glukozy we krwi, powoduje przyrost masy ciała.

Z archiwum Onetu wybraliśmy fragmenty kilku rozmów

VIP-y na czatach

Internetowe rozmowy z VIP-ami jeszcze niedawno bulwersowały, teraz są codziennością.

VIP na czacie wypada czasem bardziej naturalnie niż w oficjalnym wywiadzie. Wydaje się, że luz pytających udziela się pytanym.

JOLANTA KWAŚNIEWSKA:

– „Ten straszny Big Brother”

Czy będzie pani kandydować na prezydenta?

Nie.

Czy jest pani osobą pogodną, czy też siedzi w pani diabełek?

Jedna rzecz nie zaprzecza drugiej. Na pewno nie jestem typem smutaka.

Są takie sytuacje, jak sprawa wykształcenia męża, reklama mebli Forte, słabość w Charkowie. Co pani wtedy myślała jako żona?

Ja wiem, jakie wykształcenie ma mój mąż i tu nie ma żadnego zaskoczenia; reklama mebli: a gdzie tu reklama? – nie było w tym pieniędzy. To pomieszanie faktów prasowych, współczuję, że media są tak mało profesjonalne.

Jak państwa córka czuje się w roli osoby publicznej – „Pierwszego Dziecka RP”?

Jest najnormalniejszą nastolatką, która swobodnie porusza się po ulicach Warszawy. Dziecko cieszy się z sukcesów taty, ale cierpi np. w czasie kampanii, napastliwej i trudnej.

Czy nie przeszkadza pani, że mąż był kiedyś działaczem partyjnym PZPR, a dziś neguje wartości religijne.

Pierwsze słyszę, żeby mój mąż negował wartości religijne. Myślę, że ma Boga w sercu.

Czy wystąpiłaby pani w programie Big Brother?

Straszny program. Nie wystąpiłabym. Ale ja, w takim uproszczo-

nym Big Brother, występuję od pięciu lat.

KRYSTYNA JANDA

– „Na pomoc wezwałabym Daniela”

Jak ocenia pani możliwości aktorskie swojej córki?

Z dnia na dzień coraz lepiej.

Kim pani chciała być, będąc małą dziewczynką?

Moją babcią.

Skąd czerpie pani energię na tak aktywne życie i twórczość?

Taka się urodziłam. Gdybym była rolnikiem, zaorałabym całą Polskę.

Czy poparła pani gest Olbrychskiego (mam na myśli Zachęte)?

Daniela kocham i uwielbiam, i spodziewałam się zawsze, że coś takiego wykona. Śmiałam się po tym bardzo długo. Gdyby ktoś mi zrobił krzywdę, zadzwoniłabym do Daniela.

Czy nie razi pani brak romantyzmu u dzisiejszych mężczyzn?

Romantyzm mnie wkurza.

SŁAWOMIR MROŻEK

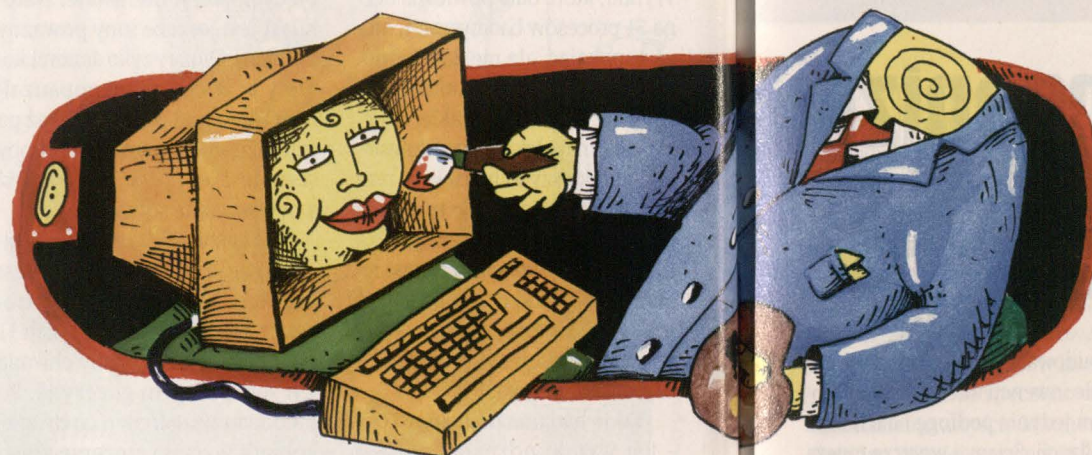
– „żadnej misji”

Czy Kraków jest tym miejscem na świecie, w którym czuje się pan naprawdę dobrze?

Naprawdę dobrze to się poczuje w Niebie.

Skąd ta pewność, że nie wylądował pan w Piekło?

Żadnej pewności.



RYC. ROBERT TRZĄDOWSKI

Czy śmieje się pan z własnych dowcipów?

Nie.

Jakie jest pana najbardziej ulubione zajęcie intelektualne?

Nie mam zajęć intelektualnych.

Czy lubi pan poświntuszyć?

Owszem.

Czy lubi pan twórczość Sławomira Mrożka?

Nie czytuję.

Czy ma pan poczucie misji związane ze swoją twórczością?

Żadnej, żadnej oraz żadnej.

Mam tylko jedną myśl: „Lepiej się go czyta, niż z nim rozmawia”.

Przykro mi.

Mnie też jest przykro.

Jak żyć Mistrzu?!

Dopóki się da.

Czy pana zdaniem demokracja w stylu amerykańskim jest w stanie tworzyć wartościowe dzieła sztuki (literatury)?

Pytanie mnie przerasta. Podobnie jak większość pytań. Dlaczego

go sądzicie, że ja jestem aż taki mądry?

BOGUSŁAW LINDA

– lubi się byczyć

Słyszałem, że otrzymuje pan pieniądze za trzymanie w swoim barku Johnny Walkera.

Pieniądzy za gorzałę nie dostaję, a jeszcze dopłacam.

Czy teraz częściej będziecie się kręcić po drugiej stronie kamery?

Chciałbym, ale trzeba żyć, a z reżyserowania filmów jest mała kasa.

Jaki masz typ kobiety?

Żeby była ładna, żeby była mądra i żeby mnie bardzo chciała.

Czy to prawda, że otrzymałeś za reklamę funduszu emerytalnego milion dolarów?

Odpowiadam szczerze – nieprawda.

Co lubisz robić, gdy nie kręcisz filmów?

Lubię się byczyć.

Wierzysz w Boga?

Tak.

Czy masz zamiar iść drogą p. Hołowczyca i reklamować, reklamować, reklamować?

Mam zamiar.

Boguś, co lubisz jeść?

I jak utrzymujesz niezłą sylwetkę?

Lubię jeść wszystko, najbardziej to, co sam ugotuję. Sylwetkę utrzymuję dzięki picciu wina.

Jak brzmi najgłupsza plotka o panu?

Że jestem pedałem.

Czy kiedykolwiek miałeś kontakt z narkotykami?

Czemu Kraków to pipidówka o wielkomiejskich ambicjach?

To twój problem.

Czy używasz w życiu prywatnym słów wulgarnych?

Rzadko. Słów wulgarnych używam najczęściej w celach artystycznych.

Jak byś określił swój światopogląd, w końcu mieszkasz w świątyni konserwatyzmu?

Jestem łagodnym anarchistą. Nie burzę świątyni, ale je podgryzam.

Czy po śmierci Turowicza w TP nadal jest tak samo?

Tak. Był tak silną osobowością, że siedzi nadal na swoim krześle.

Skąd bierzesz takie ciekawe neologizmy, jak np. nieprzysiadalny?

To pojawia się samo, sam nie rozumiem, skąd.

Co w tobie najbardziej się zmieniło od chwili debiutu?

Trochę więcej piję, trochę więcej palę.

A masz świadomość, że cię kiedyś wysadzę w powietrze?

Zawsze miałem przecucie, że istniejesz.

JERZY PILCH

– „temat wybiera pisarza”

Co skłoniło pana do napisania „Pod Mocnym Aniołem”?

Nie ma tak, że wybiera się jakiś temat. To temat wybiera pisarzy.

Co by pan zaproponował komuś, kto chciałby zerwać z nałogiem?

Pokorę.

Poeci to palanty – co ty na to?

Jestem odmiennego zdania.

Nie wkur...ia pana, że młodzież, jak widać, więcej czasu poświęca na Internet niż na porządną literaturę, której nie brakuje!

Faktycznie widuję niekiedy w sobotnie wieczory objęte pary, które najwyraźniej idą zajmować się Internetem.

Czyją książkę kupiłby pan pierwszego dnia po jej ukazaniu się?

Tomasza Manna.

Jakie miał pan stopnie w szkole?

Dobre. Z wyjątkiem robót ręcznych.

Jak pan się czuje, kiedy pomyśli, że obserwuje pana teraz 47 ludzi?

Niedosyt czuję.

No cóż, do zobaczenia na czacie!

WYBRAŁA DT
(http://rozmowy.onet.pl)

4-8 kwietnia

XVII PRZEGLĄD KABARETÓW

PaKA 2001

...A POTEM SKOCZĘ NA PaKĘ!

4.04. [środa]

18.00: WIECZÓR OSTATNIEJ SZANSY
Kabaret: DRAGAL z Wrocławia
Kabaret: E.K. z Zielonej Góry
Kabaret: ZAISTE z Poznania
Kabaret: NIEMY z Rzeszowa
Kabaret: NOL NEJM z Rybnika
Kabaret: ARTURA I. z Rabki

6.04. [piątek]

17.00: PREZENTACJE KONKURSOWE cz. 2
Laureat: Wieczór Ostatniej Szansy
Kabaret: ANI MRU MRU z Lublina
Kabaret: POLISH SZEKSPIR COMPANY z Warszawy
Kabaret: DNO z Dąbrowy Górniczej
21.00: IRENEUSZ KROŚNY (nowy program)

5.04. [czwartek]

17.00: PREZENTACJE KONKURSOWE cz. 1
Kabaret: DO DŁA z Tarnobrzegia
Kabaret: BLUCHAJCIE z Zielonej Góry
Kabaret: LIMO z Ostrowa
Kabaret: WIDELEC z Białogostku
21.00: GRAND PRIX SHOW – kabareton
24.00: NOC KABARETOZERCÓW

7.04 [sobota]

18.30: TELEWIZYJNA GALA LAUREATÓW XVII PaKi
(bezpośrednia relacja dla pr II TVP)

21.30: FINALOWA NOC LAUREATÓW XVII PaKi

8.04 [niedziela]

18.00: DOBRY WIECZÓR PAŃSTWU...
Baltrozyk, Torbicka, Ortoł i inni
SZUM, DNO, KON POLSKI, KABARET
MORALNEGO NIEPOKOJU, AFERA, Ireneusz
Krośny, Miłociński, Artur Andrus,
Bogusław Sobczuk, Andrzej Paniedzielski
(bezpośrednia relacja dla pr II TVP)

bilety do nabycia w kasie Rotundy
ul. Oleandry 1
od dnia 26 marca, w godz. od 15 do 19
oraz przed koncertami



www.atas.com.pl

ATAS

WAKACJE 2001

zagraniczne kursy językowe
Anglia, USA, Australia, Malta, Francja, Niemcy, Włochy, Hiszpania

oazy językowe
oferta wyjazdów do Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji

oazy młodzieżowe
Grecja, Chorwacja, Węgry, Czechy, Polska

wyjazdy studenckie (nauka i praca)
Australia, USA, Anglia

Biurowy Wyjazdów Językowych ATAS
00-666 Warszawa, ul. Noakowskiego 4
tel. (0 22) 825 74 77
e-mail: bwj@atas.com.pl

Łódź, ul. Piotrkowska 77
tel. 0-42 632 48 71
e-mail: lodz@atas.com.pl

Katowice, ul. Wojewódzka 28
tel./fax 0-32 255 24 84
e-mail: katowice@atas.com.pl

Poznań, ul. Grunwaldzka 11
tel. 0-61 865 86 02
e-mail: poznan@atas.com.pl

Lublin, ul. Rynek 17
tel. 0-81 441 30 60
e-mail: lublin@atas.com.pl

Biurowy Turystyki Młodzieżowej ATAS
00-673 Warszawa, ul. Koszykowa 60/62
tel. (0 22) 625 18 51
e-mail: btm@atas.com.pl

Proszę o przysyłanie bezpłatnych katalogów z informacją
Imię Nazwisko Wiek
Kod Miasto Województwo
Ulica tel. e-mail
Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów marketingowych przez firmę ATAS Sp. z o.o. zgodnie z ustawą o Ochronie Danych Osobowych (Dz. U. Nr 133, poz. 883). Oświadczam, że wiem o moim prawie do wglądu i poprawiania moich danych osobowych.
pkr04/01 Podpis

BIURKO W PLENERZE



Dzięki przenośnym komputerom możemy pracować wszędzie. Mimo to często tęsknimy za solidnym biurkiem. Naprzeciw oczekiwaniom użytkowników laptopów wychodzi firma Intrigo. Najnowszym wynalazkiem jej konstruktorów jest Lapstation. Pozwala pracować, gdzie tylko zechcemy – na podłodze, w łóżku lub na ławce w parku. Produkt przypomina nieco tradycyjne stolik do jedzenia w łóżku. Wykonany z lekkiego tworzywa, jest bardzo łatwy do przenoszenia. Wystarczy złożyć nóżki, blat i gotowe. Wyposażono go w boczne schowki i kieszenie na drobniaki oraz uchwyty do mocowania kartek papieru i oświetlenia. Cena topowej wersji to 140 dolarów. Lapstation możemy zamówić na internetowej stronie Intrigo: www.intrigo.com (SR)

ELEGANT



Producent telefonów Mitsubishi wyprodukował nowy model – Trium Pendant. Nie przypomina on tradycyjnej komórki. Jego niecodzienny wygląd kojarzy się raczej z elegancką biżuterią, tym bardziej że dołączono do niego tasiemkę, która pozwala nosić go na szyi. Jest bardzo mały. Chromowana obudowa w kształcie cygara rozkłada się na dwie części. Jedną z nich to klawiatura z wyświetlaczem, druga – pokrywka z wbudowaną słuchawką. Trium Pendant niewielkie wymiary zawdzięcza mniejszemu zapotrzebowaniu na energię, co pozwala na zamontowanie w nim nadajnika mniejszej mocy. www.trium.net (AS)



MIASTO to organizm

W nowojorskim Muzeum Guggenheima trwa wystawa Skeleton House autorstwa Marjeticy Potr. Ta słoweńska artystka jest laureatką prestiżowej Nagrody Hugo Bossa.

Prace Potr wybrało jury składające się z dyrektorów i kuratorów muzeów z całego świata oraz prywatnych kolekcjonerów i znawców sztuki. W tym roku konkurencja była ostra. Do ścisłego finału trafiło poza Potr sześcioro artystów: Tom Friedman, Maurizio Cattelan, Vito Acconci, Barry Le Va, Tunga oraz Michael Eimgreen i Ingar Dragset (praca zbiorowa). Oprócz 50 tys. dolarów artystka zyskała możliwość wystawiania swoich prac w najważniejszej z amerykańskich galerii sztuki. Na wystawie Potr zainstalowała dwie architektoniczne „struktury”. Pierwszą z nich, „Skeleton House”, wzorowano na dotowanym modelu budownictwa Afryki Południo-

wej. Domy budowane przez państwo pozostawiają wiele inwencji mieszkańcom. Dostarcza się im jedynie podłogę i dach oraz system kanalizacji. Ściany i wnętrza muszą stworzyć sami. „Skeleton House” jest pokazywany w połączeniu z mniejszym mieszkaniem własnej roboty – chatą skonstruowaną z łatwo dostępnych materiałów. Dwie struktury pokazują piękno i niepokromioną kreatywność i pomysłowość.

Oprócz instalacji wystawa zawiera serię fotografii – kombinację odpowiednich ilustracji i tekstu, która wprowadza widza w szerszy kontekst.

– Potr podchodzi do miasta jak do żywego organizmu, podatnego i dostosowującego się

do potrzeb życia codziennego – mówi Nancy Spector, kurator Muzeum Guggenheima. – Znajdując energię i pewnego rodzaju poetykę w architekturze, Potr tworzy antymonumentalną sztukę, przekształcając pojęcie prywatności i publiczności.

Nagroda jest efektem długoletniej współpracy Muzeum Guggenheima i Hugo Bossa. Wcześniej Boss sponsorował wiele przedsięwzięć artystycznych w muzeum. Po raz pierwszy nagrodę wręczono w 1996 r. amerykańskiemu artyście Matthew Barneyowi. Dwa lata później otrzymał ją Szkot, Douglas Gordon. Nagrodę może otrzymać artysta, którego prace mają znaczący wpływ na sztukę i architekturę współczesną. Jury bierze pod uwagę cały dotychczasowy dorobek artysty, a nie ocenia poszczególnych prac. Nie stawia się warunków co do wieku i narodowości kandydata. Nominacje dotyczą zarówno młodych, jeszcze nie znanych artystów, jak i indywidualności, których pozycja została już ugruntowana. Jedyne kryterium jest kreatywność i innowacja.

STEFAN ROKITA

ZNAKI I SYMBOLE XX WIEKU (10)

Gwiazda DAWIDA

Jest żydowskim znakiem narodowym i symbolem wiary. Na fładze izraelskiej widnieje od proklamowania niepodległości państwa w 1948 r.

Najstarsze znalezisko z gwiazdą Dawida to pieczęć z wykopalisk w Sydonie (VII w. p.n.e.). W starożytności służyła prawdopodobnie jako talizman. W 1897 r. stała się godłem syjonizmu. Jako znak judaistyczny jest motywem dekoracyjnym na nagrobkach, synagogach i sprzętach liturgicznych.

Gwiazdę Dawida, zwaną także pieczęcią Salomona, tarczą lub puklerzem Dawida tworzą nałożone na siebie dwa odwrócone trójkąty. Spotyka się ją także w chrześcijaństwie, islamie i hinduizmie.

Heksagram ten ma bogatą symbolikę. Najczęściej oznacza przenikanie się świata widzialnego i niewidzialnego. W judaizmie ma być największym skrótem wiedzy o świecie, najdoskonalszą syntezą odległych dociekań filozoficznych. Trójkąt odwrócony wierzchołkiem ku górze obrazuje sferę ducha, aktywności i postępu. Drugi to materia, bierność i uwstecznienie. Zawiera w sobie zgodność i przeciwieństwa, wielość w jedności. Podobnie w alchemii jednoczy wszelkie przeciwieństwa, a po-



szczególnym liniom lub punktom przypisany jest związek z planetami, metalami i właściwościami.

Carl Jung widział w nim symboliczne zjednoczenie sfery osobowej z bezosobową oraz – jak w hinduizmie – połączenie pierwiastka męskiego i żeńskiego.

Naziści wykorzystali gwiazdę Dawidową do oznaczania Żydów.

Hitlerowcy wprowadzili obowiązkowe opaski lub rzadziej nazywane łaty w kształcie gwiazdy. W Generalnym Gubernatorstwie od 1 grudnia 1939 nakazano je nosić na prawym ramieniu wszystkim Żydom powyżej 12

lat. Przepis był rygorystycznie przestrzegany, w gettach strzelano do ludzi, którzy ich nie nosili.

Zdarzały się przypadki odmowy. Janusz Korczak został za nią aresztowany. Opaski różniły się wielkością i kolorem zależnie od rejonu Polski. Zazwyczaj były białe o szerokości 10 cm, zawsze z gwiazdą Dawida – zwykle niebieską. Także status społeczny miał wpływ na rodzaj opaski. W getcie warszawskim obowiązywało aż 19 rodzajów. Inni mieli policjanci żydowscy, inne urzędnicy Judenratu czy lekarze.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

JAK PACHNIE...

ZAPACH WIELKIEGO MIASTA. Duże miasta zawsze pachniały kontrowersyjnie. Najpierw przytłaczały aromatem gnijących pod murami odpadków i otwartych kanałów ściekowych, potem dusiły iście piekielnymi woniami wydobywającymi się z fabrycznych kominów, by na koniec pograć się w zapachach spalin, rozgrzanego asfaltu czy plastikowych butelek palonych w piecach starych kamienic. Zapachowe doznania są wspólne dla mieszkańców wszystkich wielkich aglomeracji, niezależnie od kraju, klimatu czy kontynentu, choć są miasta, które dostarczają wyjątkowo silnych wrażeń węchowych, jak np. Nowy Jork, Kair czy Meksyk. Zapachy bliskie milionom ludzi wcześniej czy później stają się inspiracją dla

perfumiarzy. Znana z produkcji ekskluzywnej biżuterii firma Bulgari stworzyła przed dwoma laty perfumy, które oprócz tradycyjnych nut drzewnych czy żywicznych i oryginalnego aromatu czarnej herbaty wypełnia woń spalonej gumy i smogu. To niezwykle pachnidło, którego flakon budzi skojarzenia z kołem samochodu, może być używane zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn, przede wszystkim przez osoby uzależnione od powietrza wielkiej metropolii. Cóż, skoro kupuje się perfumy, bo ich zapach przywołuje wspomnienia urlopu we Włoszech albo wyprawy do egzotycznych krajów, czemu nie zdecydować się na perfumy z tęsknoty za ulubionym skrzyżowaniem.

ANNA WASILENKO

REKLAMA(CJE)



ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI JAKO EVITA

Nastąpiły takie czasy, że śpiewać każdy może. Liczy się tylko, czy śpiewak jest znany. Zdarza się, że drewniane ucho i kompletne fałszowanie melodii jest atutem. Jeśli podśpiewuje znana osobistość, a co więcej, zawodzi niemiłosiernie, to tym lepiej, bo śmieszniej. Zygmunta Kałużyńskiego – jedynego polskiego krytyka filmowego – znany nawet tym, których filmowe piśmiennictwo nie interesuje – dotąd nie występował w reklamie. Do debiutu wokalnego namówił go Tomasz Raczek. Pan Zygmunta śpiewa „Don't cry for me Argentina”. Wła-

ściwie wyśpiewuje tylko te pięć słów, ale to wystarcza. Nie można pozostać obojętnym. Pan Tomasz pyta, skąd ten wyśmienity humor. Powodem radości okazuje się kolejna premiera, tym razem „Evity” w HBO. Jeszcze kilka informacji i pan Zygmunta ponownie odśpiewuje swoją popisową partię. Pan Kałużyński powiedział „P”, że za śpiewaniem nie przepada i traktuje swój występ jako pojedynczy wyglup. Szkoda, wolimy w roli Evity jego niż Madonnę.

(ŁD)

HOFF

Wzorki

Pamiętajcie o mojej teorii: jak coś jest bardzo modne czy bardzo lansowane, czy bardzo noszone, to pewne znane firmy, sławni projektanci właściwie tego nie robią. Bo to jest u innych – to po co?

Bo to jest wszędzie w sklepach – to po co? Bo to samo chodzi – to po co? Trzeba zrobić coś innego, coś charakterystycznego, coś, co będzie „tylko u mnie”.

Jeżeli wszędzie są kwiaty, to u mnie – myśli ambitny projektant – będzie materiał w samoloty. I jest tylko u niego. Czy wtedy modne są kwiaty, czy samoloty? To jeden z wielkich dylematów mody. Czy nosić to, co wszyscy, czy to, co najmodniejsi ludzie, czy to, co jest w sklepach, czy to, co moje środowisko uważa za OK, czy coś, co wchodzi dopiero w modę – naprawdę można zwariować. Modne są wzorki. U różnych różne. A jednak, zabijcie mnie, ciągle najwięcej pokazuje się rzeczy gładkich. A że są też tu i ówdzie wzorzyste, więc zobaczmy, jak one teraz wyglądają.

Kwiaty. Bardzo wielkie, może być prawie jeden kwiat na sukni czy bluzce, subtelny w rysunku, albo kwiaty jednokolorowe na gładkim tle, np. czarne na beżowym. Kwiaty kolorowe duże lub średnie na tłach jasnych lub ciemnych, np. khaki czy czarnych. I małe kwiatki do zupełnie dziecinnych włącznie. Łączki, ale stonowane. Kwiaty graficzne.

Paski. Wzdłuż, wszerek i w skos. Modne są wielokolorowe o różnych szerokościach. Wzorki czarno-białe. Pasy, kwiaty, wzory geometryczne przede wszystkim op-art. Prawdziwy jak w latach 60., do omamów wzrokowych włącznie.

Kolorowe graficzne wzorki z inspiracji pop-artu. Aż do bardzo krzykliwej geometrii najnowszej. Do tego jeszcze zwierzęta, krokodyle, jaszczury, węże, tygrysowate. Patchworki drukowane. Bo swoją drogą naszywa się różne materiały w różne wzorki na jednym kawałku, np. spódnicy; wszystko w duchu indyjskim.

No i wielka, ogromna moda na kamuflaż wojskowy związany ze stylem wojskowym, który jest jednym z kilku modnych.

A kratki? Kratki też, duże i małe.

W tym wszystkim widziało się sporo kiczu. Trochę wzorków brzydkich, trochę nieudanych i nieco bardzo pięknych. Miło wyglądają niektóre wyrafinowane kwiaty albo paski nieco jak z początku wieku. Pewne wzory graficzne są szalenie odjazdowe na wybiegu, ale pewnie nikt się w to nie ubierze. W każdym razie kobieta o duszy romantycznej lub lubiąca prowokację punkowa znajdą coś dla siebie.

Duże kwiaty o subtelny rysunku. PaPP

Adam Wiedemann
Dziennik „duszy” (10)

6.02.01

Dzwoni Ola Wojtkiewicz rozłuszczone na opieszałością Kingi Dunin, mającej napisać artykuł o twórczości jej męża Wojtka. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że (jak to wynika z dalszej rozmowy) już za chwilę Ola wyjeżdża na Oddział Położniczy celem urodzenia córeczki, chce tylko przedtem załatwić jeszcze kilka spraw.

— Prawdziwa kobieta! — stwierdza Agnieszka Pałac. — Interes męża stawia na pierwszym miejscu.

7.02.01

W pracy dopada mnie ostra grypa, w ciągu dwóch godzin cały zakładowy papier toaletowy zużywam na wycieranie nosa. Mimo to trwam dzielnie na stanowisku, bo przecież dzisiaj redakcja *Studium* przenosi się do nowego lokum, redaktorzy R. i G. mają przyjść i mi pomóc przy przeprowadzce. Kiedy jednak po czterech godzinach oczekiwania literki z komputerowego ekranu zaczynają wirować przed oczami, a oni się wciąż nie zjawiają, czuję się usprawiedliwiony i zmykam do domu. Po drodze spotykam Aldonę z wózkiem: urodziła już swojego Karolka, no proszę, a Wojtek twierdził, że Ola będzie pierwsza. Nie rozmawiamy długo, żebym przypadkiem nie zaraził maleństwa, potem jeszcze tylko dzwonię do Iwonki, żeby mi oddała antybiotyk, o ile coś jej tam z niego zostało, po czym myk! do łóżka i przez cały dzień oddaję się rozkoszom chorowania.

8.02.01

Przychodzi Iwonka z mandarynkami, lekarstwem i gazetą. W gazecie celebracja wydarzenia sprzed paru dni: publicysta M. porozmawiał z generałem K. i jakąś panią; rozmowa została nagrana, spisana z taśmy, i ukazała się pod hemingwayowskim tytułem, budząc ogólne poruszenie wśród osób, u których osoba generała od dawna budzi uzasadnioną niechęć. Zareagowali natychmiast



(w formie pisemnej) dwaj biskupi, a dziś sprawy ciąg dalszy, generał odpowiada biskupom w tonie „jak się panowie nie uspokoiacie, to ja wam przypomnę, co z was były za ziółka”, a publicysta B. broni publicysty M. i przy okazji gromi biskupów za całkowity brak uczuć chrześcijańskich w stosunku do generała i reprezentowanego przezeń okresu w historii Polski. Cała afera przypominać ma jako żywo historię świętego Franciszka i wilka z Gubio, przypomnijmy sobie zatem, iż krytykowany za mięsożerność wilk wcale nie przestał po swoim nawróceniu jeść mięsa, jadł wszakże tylko to, co mu zaserwowała akceptująca go od tej pory (i też zresztą mięsożerna, tyle że w sposób uregulowany przepisami) społeczność wiejska. Nie jest to zatem historia o przeanieleniu, lecz o podporządkowaniu, co warto wziąć pod uwagę zarówno gloryfikując gest publicysty, jak i odmawiając generałowi prawa do rytualnego pokazywania utraczonych zębów. Po co zresztą wyciągać spod szafy jakichś zakurzonych generałów, oto wiadomość z ostatniej chwili: dwaj chłopcy zostali zatrzymani za sprzedawanie trawy, nie wsadzono ich wszakże do aresztu, bo byli zbyt ładni, młodzieńczy wygląd mógłby ich narazić na wykorzystywanie

nie seksualne ze strony współwziewniów. Tak więc gdyby chłopcy byli nieco brzydsi, niechybnie poszliby na zgwałcenie, bo przecież gwałty w aresztach to norma i dawno już powinny być uwzględnione w kodeksie karnym jako zachęta dla potencjalnych współwziewniów, tudzież dodatkowa kara dla podejrzanych do dwudziestego roku życia, zwłaszcza że w dobie ustawy antynarkotykowej będzie nam takich przybywać. Niech lepiej wiedzą, że są gwałceni w majestacie prawa, bo w przeciwnym razie mogą mieć jeszcze jakieś pretensje, prawda?

9.02.01

Wspomnienia Ludmiły Marjańskiej czyta w radiu facet. W dodatku jest to chyba Krzysztof K., ojciec mojej koleżanki z dzieciństwa, Agnieszki. Pamiętam Agnieszkę skaczącą przez skakankę na podwórku państwa Niemców w Skowronkach i nasze wspólne lektury „Mitologii” Parandowskiego; ja miałem wtedy koło sześciu, ona była znacznie starsza. Atena, wtedy kojarzyła mi się z Ateną. A teraz wyskoczyła z głosu swojego ojca.

10.02.01

W naszej cukierni panie są dwie i zawsze obie jednocześnie obsługują tego samego klienta. Za ładą miejsca

tyle co nic, a one przepychają się tam, wiodąc nieustanny wyścig: która pierwsza złapie zamówionego pączka, nóż do krojenia szarlotki, jedna bierze pieniądze, a druga już jest przy kasie i w nią stuka, ile tam pani wystukała?, a może (to do klientki) ma pani jakieś drobne? Tamta tymczasem zdążyła już wydać, drobne też się znalazły, zamieszanie osiąga apogeum, po czym nagle wygasa i panie zgodnym duetem pytają: A pan czego sobie życzy?



ADAM WIEDEMANN
Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich i prozatorskich. Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE. Ostatnio często jeździ na stypendia.

Rewolucja w McDonald'sie

**Kto powiedział, że uwielbia szybkie samochody,
szybko kochające się kobiety i bary szybkiej obsługi?**

Epidemia BSE rewolucjonizuje fast food, tak mocno oparty na produktach wołowych. Najwidoczniejszym tego świadectwem jest kampania reklamowa sieci McDonald's, promująca nowy produkt o nazwie WieprzMac. Podobno McDonald's brał pod uwagę inne nazwy, w tym MacŚwinie. Być może świnia źle się kojarzy i dlatego najnowszy wyraz troski firmy o zdrowie klientów to właśnie WieprzMac.

Mnie nazwa ta kojarzy się z absmakiem, lecz trudno uznać skojarzenie językowe za sprawę smaku. Istnieje wprawdzie coś takiego jak MacSmak. Objawia się on między innymi upodobaniem do różnych odmian fast food i jest bodaj najbardziej uniwersalną kategorią estetyczną. Ciekawe, czy w krajach anglojęzycznych WieprzMac to PigMac, jako że pig znaczy prosię, a od okrętu flagowego oferty kulinar-

nej McDonald'sa, czyli Big Maca, różni go tylko jedno ubezdźwięcznienie (tym bowiem różni się głoska p od b). Ale mówiąc już całkiem poważnie, wprowadzenie produktu wieprzowego do menu McDonald'sa może okazać się wydarzeniem epokowym. W menu tym był wprawdzie jeden wieprzowy akcent – plasterk polędwicy w daniu Egg McMuffin, czyli fastfoodowej wersji jaj Benedict (tych z sosem holenderskim).

Egg McMuffin wymyślił były szef kuchni prezydenta Johnsona, zatrudniony przez McDonald'sa właśnie po to, żeby wymyślał nowe MacDania. Dlaczego wynalazek ten nazwano Egg McMuffin, a nie MacBenedict czy MacJajko – nie wiadomo. Lecz wróćmy do naszych wieprzków.

Kiedy mówi się A, powinno się także powiedzieć B i wprowadzić w restauracjach McDonald'sa wyzyny. Egzotyczne koktajle uprzy-



Claes Oldenburg, *Gigantyczny hamburger*, 1962, płótno żaglowe wypełnione pianką

jemniłyby konsumpcję WieprzMaców i innych specjalów tej firmy. Mogłyby przy tym nosić swą brzmiącą nazwy, na przykład Świniakolada (winiak, sok z owoców tropikalnych, odrobina wody sodowej i dużo lodu). Albo MacZestaw – seta i piwo. We Wrocławiu połączenie whisky z sokiem grapefruitowym nazywa się świntuch, po angielsku zaś blind pig, czyli ślepa świnia, to meta. Szczęśliwym skojarzeniem nie

ma końca. Tymczasem spragnionemu klientowi, który właśnie zjadł WieprzMac, pokazuje się MacFigę i mami go coca-cola. No cóż, słowo fast znaczy nie tylko szybki, lecz także – post.

**A ZATEM W DUCHU PRZEKORY
OPISZĘ, JAK NALEŻY
PRZYZRZĄDZAĆ HAMBURGERA**

Zaczynamy od rozpalenia węgla drzewnego pod rusztem. Rodzaj węgla gra nie małą rolę. W na-

szym klimacie najbardziej odpowiedni jest węgiel z drzewa orzecha włoskiego. Węgla nie polewamy benzyną ani czymkolwiek innym. Rozpalamy go specjalną – lub całkiem zwykłą – grzałką elektryczną, kładąc ją na kilka minut bezpośrednio na bryłki węgla. Kiedy płomień przygasa, a węgiel pokryje się białą warstwą popiołu, pora ulepić hamburgery. Mięso mielone, wołowe, nie za chude, nie za tłuste, formować w kulki. Zależnie od upodobania, można łączyć je z ziołami i przyprawami bądź sosem barbecue. Ja wolę sos i od razu mieszam z nim mięso. Kulki ubijam nasadą dłoni, aż się spłaszczą, kładę na ruszt i piec około dziesięciu minut lub dłużej, od czasu do czasu smarując je sosem. Razem z mięsem piec na ruszcie pokrojoną w grube plastry cebulę. Także na ruszcie podgrzać bułki przekrojone na połówki. Można je posmarować musztardą, przybrać sałatą, pomidorem i kiszonym ogórkiem – ale nie jest to konieczne.

Tak przyrządzony hamburger ma to do siebie, że jest całkiem smaczny – a przymiotnik „smaczny” rzadko kojarzy się z hamburgerami, głównie za sprawą fast food. Nie pamiętam, kto powiedział, że uwielbia szybkie samochody, szybko kochające się kobiety i bary szybkiej obsługi. Lecz może w trosce o dobre samopoczucie klientów, McDonald's zechciałby urządzić konkurs na Macronistę roku?

TADEUSZ PIÓRO



TADEUSZ PIÓRO
Poeta kuchni i kucharz poezji. Na deser tłumacz i redaktor. Czterdziestolatek.

LISTY PIECZĘTOWANE SOSEM

Makłowicz do Bikonta

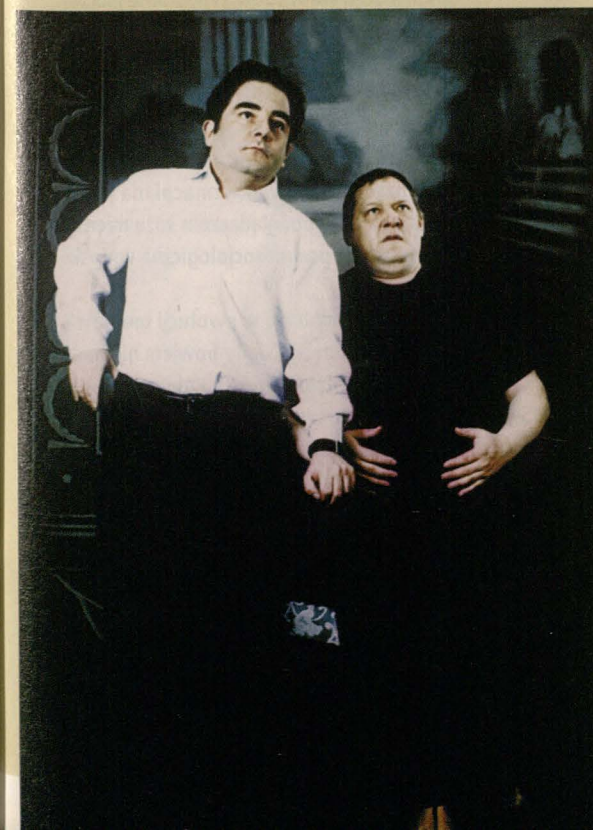
Piotrusiu!

Za oknem wiosenna zima, a zawsze wtedy, gdy jest szaro i smutno, marzę o zmianie szerokości geograficznej. Wystarczyłoby mi trochę słońca, ale jakże wielu jest takich, którzy opuszczają kraj na zawsze, a powody do wyjazdu zgoła mają inne niż niedogodności klimatu. Tych, co przyjeżdżają do Polski, by tu żyć i pracować, znacznie jest mniej. Ale dostrzegam dziwną prawidłowość: wśród przybyszów, zwłaszcza tych, co pochodzą z krain od naszej bogatszych, wielu jest ludzi związanych z kuchnią. Tak zresztą było od wieków. Maurizio, Redolfi, Blikle – te nazwiska leżą u podstaw niegdysiejszej sławy polskiego cukiernictwa. Kurt Scheller – współczesna, światowa kucharska gwiazda, już od lat uczy polskich szefów. W tym długim szeregu gotujących w Polsce cudzoziemców jest i Francuz Olivier Boudon. Niespełna trzydziestoletni, pochodzący z Aurillac w Owernii, przyjechał na początku lat dziewięćdziesiątych do Warszawy i długo gotował w restauracji „Montmartre”. Potem był w Chinach, ale ostatecznie zawładnął nim Kraków. Najpierw szefował u słynnego „Wentzla” w Rynku Głównym, a kilka dni temu otworzył swój własny lo-

kal, restaurację „A La Carte”, mieszczącą się przy ul. Izaaka 7, w sercu krakowskiego Kazimierza.

Olivier nie trzyma się kurczowo starych, wypróbowanych przepisów. Zna prawie cały świat i potrafi zaskakująco łączyć przeróżne, z pozoru obce sobie smaki, łączyć różne, teoretycznie obce sobie tradycje kulinarne. Pozwól, że opiszę Ci tylko jedno danie z „A La Carte”: koci ser z prawdziwkami, orzechami włoskimi i miodem akacjowym. Na ciepłych, chrupiących z wierzchu, a miękkich w środku grzybach (smażonych krótko w bardzo gorącej, oliwnej fryturze) spoczywają krawki koziego twarogu, obok leżą kawałki włoskich orzechów, a całość fantastycznie uzupełniają krople akacjowego miodu i octu balsamicznego. Na pewno pamiętasz słynny przepis na prosię, wymyślony w warszawskim „Bristolu” przez Francuza Roberta Luisianę i Szwajcara Kurta Schellera: prosię pieczone z żubrówką i trawą żubrową. Danie nie istniejące w żadnym leksykonie polskiej kuchni, a jakże polskie, choć nikt wcześniej nie wpadł na to, że można połączyć takie składniki. Żeby twórczo gotować, trzeba łamać konwenanse i stereotypy. Rola cudzoziemskich szefów w budzeniu polskiej kuchni z kapuściano-ziemniaczanego letargu trudna jest do przecenienia.

Kłaniam się kosmopolitycznie! **TWÓJ BOBEK**



FOT. LEON OMIŁĘCZAK (WYCIĘCIEM); FOT. GREGORY HARRIS (FOTO GREGORY HARRIS, ZA TOWARZYSTWA W WYKONANIU SZKOLNYM)

Bikont do Makłowicza

Mój Drogi B.

Rolę zagranicznych mistrzów rondla w kształtowaniu nadwiślańskiego krajobrazu kulinarnego dostrzegam i doceniam, ale za to mam wrogi stosunek do mnożących się jak stonka „francuskich” i „szwajcarskich” piekarni. Te ich bułki rozmaite wyglądają, owszem, jak w Paryżu i wierzę, że jak w Lucernie (nie wiem, nie byłem), ale do jedzenia się nadają jak wata w tekturowym pudełku.

I tu nagle „Batida” – w centrum Warszawy, przy Nowogrodzkiej 1/3! Niby taka sama – pewnie na tym samym sprzęcie, technologii, może nawet produktach piecze podobne, tylko że najpyszniej jadalne croissants, czyli kruasanty – te, co je ci francuscy zboczeńcy rano maczają w kawie. Wiesz, w Paryżu, a nawet Lyonie też są dobre i złe piekarnie. No więc, w Warszawie też jest jedna dobra.

Szaleńcze słodkie bułki (uwielbiam migdałową), no i ciastka na kruchych babeczkach, najczęściej owocowe. Nigdy nie mogę się tam powstrzymać, szczególnie od kiedy wiem, że smakują jeszcze lepiej, niż wyglądają. I jeszcze torty są, które moje dzieci uwielbiają dostawać z okazji i bez. Np. tort tiramisu albo adwokatowy, albo tort szampański – bezwstydną półkula wypełniona lekkim puszystym kremem na kruchym kręgu ciasta. Narkotyczne.

I w ogóle, od razu przy piekarni bar. Espresso, vol-au-vent, ptysie z musem łososiowym. A nawet można strzelić wódeczkę.

Co czynię, na Twoje zdrowie!

P.

CO SŁYCHAĆ W KONTENERZE?

Polak potrafi! Jak stwierdził Leszek Talko, recenzent „Gazety Wyborczej”, nasza edycja „Big Brothera” bije na głowę wszystkie poprzednie klony. Chłopcy i dziewczyny z orłem na piersi są bardziej zaradni niż inne podglądane nacje, nie tylko wykonują w mig każde zadanie, ale jeszcze wymyślają własne. Ponadto potwierdzają naukowo (w warunkach laboratoryjnych) wszystkie obiegowe opinie o Polakach. Nie słuchają rozkazów, gadają, gdy trzeba iść spać i wcale nie boją się Wielkiego Brata. Zamiast zabiegać o jego łaskę, wciąż mnożą postulaty. A to by coś „zajarali”, a to strzelili kielicha na rozluźnienie. W każdym razie, są powody do dumy. Z kolei Tomasz Raczek na łamach „Wprost” przyznaje, że patrzy w ekran ukazujący wnętrze kontenera jak zahipnotyzowany, a każdy, kto nie patrzy, zachowuje się „jak gość, który ubrany po szyję siedzi w 30-stopniowym upale na plaży, twierdząc, że opalanie jest niezdrowe”. Dla Raczka (co to już niejedno widział) to, co teraz ogląda w TVN, jest fascynujące i wielce pouczające. Bo oto wystarczy, że „znudzona małżeńskim kieratem” blondynka włoży mundur, a już budzi się w niej charyzmatyczny przywódca. Jeszcze krok, a w Raczka oczach Miecugów stanie się Goldingiem, a „Big Brother” współczesną wersją „Władcy much”. Nie wiem, czy bardziej interesujące od dojrzewania kontenerowego romansu Belli (czy innej Karoli) i Sebastiana nie jest dojrzewanie do „Big Brothera” tzw. liderów opinii. Oto publicyści, którzy z lekceważeniem i z rezerwą odnosili się do szaleństwa podglądania, jakie opanowało europejskie telewizje, nagle odkrywają w sobie perwersyjną przyjemność w podglądaniu i do szaleństwa dorabiają metodę. Niedługo zapewne dowiemy się, że „Big Brother” jest kolejnym – po „Dogmie” – etapem w ewolucji współczesnej stylistyki filmowej. Przeciwny proces przechodzą urzędnicy powołani przez państwo do pilnowania ładu w eterze – czyli członkowie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Choć od pół roku wiadomo było dokładnie, co nas czeka, nie zabierali (poza Jarosławem Sellinem) głosu. Nagle, po miesiącu emisji programu, wszyscy zostają porażeni potężną dawką „głupoty, knajactwa,



**Wszelkie
pseudosocjologiczne
wnioski
wyciągane
z „Big Brothera”
można włożyć
między
bajki.**

dresiarstwa, prostactwa oraz prymitywizmu” i w związku z tym porażeniem czują się w obowiązku wydać specjalne oświadczenie. Jednym głosem i ponad podziałami.

Są tylko dwie możliwości: albo panowie nie zadali sobie wcześniej trudu, by rzucić okiem np. na RTL, albo (w odróżnieniu od recenzenta „Gazety”) uznali polską ekipę za rażąco odstającą poziomem od średniej unijnej. Jeśli tak, to niesłusznie. W kontenerze nie dzieje się bowiem nic szokującego – przynajmniej dla ludzi mających stały kontakt z polską rzeczywistością obyczajową i językową. Absurdalne są także zarzuty o społeczną niereprezentatywność ekipy. Tak prawdopodobnie prezentuje się tzw. grupa docelowa widzów TVN. Trochę inaczej niż Polsatu. Różnice są jednak niewielkie, a znikają pod wpływem klasycznego syndromu kolonijnego czy – jak kto woli – wojskowego (odcięcie od świata, pełna zależność od wychowawcy, który nagradza lub karze). W każdym razie postępująca w miarę upływu czasu infantyilizacja zachowań wzmacniana przez chęć przypodobania się podglądacjom każe między bajki włożyć wszelkie pseudosocjologiczne wnioski wyciągane z „Big Brothera”.

A czy jest to – jak chce Raczek – jakaś rewolucja w ewolucji mediów? Jeśli tak, to nie telewizji, a raczej multimedii. Nigdy bowiem nie mieliśmy do czynienia z tak skomasowanym atakiem na PT. Publiczność. Telewizja, Internet, SMS-y, tygodnik „BB” – to wszystko użyte jednocześnie w tak błahej sprawie, na tak wielką skalę może być tylko jakimś poligonem zwiastującym nowy etap masowego oddziaływania na konsumentów. Odpowiadającego poziomowi globalizacji. Dla samej frajdy (?) podglądania najbardziej trafnym i całkowicie wystarczającym instrumentem wydaje się nie program telewizyjny, lecz Internet. Zresztą pełno tam ludzi, którzy swoje mieszkania czy biura dawno już zamienili w kontener, instalując w nich nakierowane na siebie kamery. Telewizyjna wersja takiej zabawy niestety (na szczęście) przypomina słynną definicję polskiego kina z „Rejsu”, wygłoszoną przez Zdzisława Maklakiewicza: „Nuda, proszę pana, nuda!”.

WŁAJER

MPM[®] PRODUCT

PRODUCENT ZMECHANIZOWANEGO SPRZĘTU AGD



MPM PRODUCT
05-822 Milanówek ul. Brzozowa 3
tel. (0-22) 758-32-19 fax (0-22) 724-70-00
www.mpmproduct.com.pl

MPM[®] To ci się przyda!



Festiwal w Cannes, 1999 r. Od lewej: Arsinee Khanjian (aktorka i żona reżysera), Atom Egoyan i Elaine Cassidy

ATOM EGOYAN – kanadyjski reżyser, scenarzysta i producent pochodzenia ormiańskiego

– urodzony w 1960 r. w Kairze;
– autor krótkometrażówek „Peep Show” (1981), „Open House” (1982);

NAJGLÓŚNIEJSZE FILMY:

- 1984 – Najbliższy krewny (Next of Kin)
- 1987 – Ujęcia rodzinne (Family Viewing)
- 1989 – Role dialogowe (Speaking Parts)
- 1991 – Likwidator (The Adjuster)
- 1992 – Straszne zgorszenie (Gross Misconduct)
- 1992 – Sekstet montreali (Montréal vu par...)
- 1993 – Kalendarz (Calendar)
- 1994 – Klub „Exotica” (Exotica)
- 1997 – Słodkie jutro (The Sweet Hereafter)



Atom Egoyan

POSZUKIWANIA utraconegoładu

Sześć lat temu tygodnik „Time” ogłosił Atoma Egoyana filmową „nadzieją nowego wieku”.

Na salonach X Muzy sporo się ostatnio zmieniło. Dominująca grupa twórczych reżyserów pochodzi spoza ustabilizowanych ośrodków. Zaciekawiają innym spojrzeniem, wnoszą nowe elementy kulturowe. Egoyan, pozornie egzotyczny (z osiadłej w Kairze ormiańskiej

rodziny, która w czasie dyktatury Nasera emigrowała do Toronto), należy jednak do tradycji europejskiej. Jest kimś, kogo na polu zabaw współczesnego kina można uważać za kontynuatora Bergmana i Antonioniego. Podobnie mino-rowego, choć na sposób własny. Jako admirator Nabokova posługuje się innym zbiorem wątków fabu-

larnych. Inaczej też opowiada. Ma swój charakter pisma i stałą ekipę (na pierwszych miejscach trzeba wymienić żonę, aktorkę Arsinee Khanjian i operatora, Paula Sarossy'ego). Stylu Egoyana nie nauczyliśmy się jeszcze rozpoznawać. Z jego 11 dużych filmów dotarły do Polski trzy, w tym do kin, jak dotąd, tylko „Słodkie jutro”. Przy pobieżnej ocenie fabuły łatwo się pomylić. Roztrząsa dojmujące tragedie, wciąż krąży wokół perwersji. „Właśnie po to są filmy” – mówi. „Po to, by stykać się ze zjawiskami ekstremalnymi”. Chyba nie przypadkiem był, na do-robku, reżyserem telewizyjnych miniatur „Alfred Hitchcock przedstawia”, bo niejako wiąże go z kinowym mistrzem suspense. Ważne jednak jest to, do czego zmierza poprzez wielowątkowe, zwykle mocno skomplikowane czasowo konstrukcje: mówi osobistym tonem, także za pomocą autoanalizy, o zbłąkaniu mieszkańców sytej części dzisiejszego świata konsumpcji. Odkrywa zapaść egzystencjalną i chaos etyczny. Niepewność siebie, przekraczanie norm i tabu,

rozerwanie dawnych więzi. Nawet w rodzinach. Nie cementuje ich już miłość, nie dają oparcia dzieciom, mają chorobliwe obciążenia. Naturalne kontakty, także seksualne, zastępowane są przez kontakty z wizualnymi reprodukcjami: zdjęciami, wideo-zapisami, filmami. Niegdyś dziwiono się, że japońscy turyści, zamiast patrzeć na zwiedzane obiekty, pstrykają aparatami. Oglądają potem. Fotografii. Egoyan uważa, że powoli wszyscy robimy to samo: w cywilizacji obrazkowej obiekty materialne są zastępowane obrazkami. Te zaś (i zastępcze obiekty) służą do tworzenia fikcji, kłamstw, do samooszukiwania się, do wpadania w obsesję i tym większą samotność. Na słabszych i porażonych nieszczęściem czekają zawodne i podstępne instytucje lub zło zamaskowane w fałszywych pocieszycielach, doradcach i przewodnikach. Niezwykłą specyfiką Egoyana jest jednak to, że mimo wszystko nie pozostawia nas w goryczy.

ADAM GARBICZ



PODRÓŻ FELICJI

Opowieść o spotkaniu pana Hilditcha, maniackalnego mordercy kobiet, z pozoru szanowanego obywatela, i Felicji, irlandzkiej dziewczynki, w dalekim Birmingham poszukującej ukochanego, z którym zaszła w ciążę, jest dziełem irytującym. Wielka to szkoda, bo film jest dobrze sfotografowany, cieszy oko scenografią i przede wszystkim – wyborną sztuką aktorską Boba Hoskinsa i Elaine Cassidy. Kłopot w tym, że muszą oni odgrywać historię, przy całym swym okropieństwie, nieprzeciętnie banalną. Lepsza jest postać Felicji, która, od początku do końca pozostając wcielona niewinnością, przypomina – także imieniem – Felicity z „Prostoty serca”. (Wygląda to na zabieg świadomy, bo nie jest to jedyne odwołanie do Flauberta). Gorzej z Hilditchem. Jego szaleństwu winna jest nieżyjąca już niedobra mamusia i cały w gruncie rzeczy film próbuje oddać – dodajmy, że nieprzekonująco – istotę ich chorej relacji.

Egoyan skupia więc uwagę na różnych „znaczących” szczegółach, powtarza retrospekcje, mnoży złowieszcze przypadki. W oparach psychologii, zresztą wątpliwej jakości, niknie nawet napięcie – od pierwszej chwili wiadomo, że Hilditch ma wobec Felicji niedobre zamiary. A morał? Oto maniak, nie bez udziału groteskowej misjonarki, odstępkuje od mordu i popełnia samobójstwo, a cudem ocalona dziewczyna powiada: „Widać w ciele mordercy błąkała się samotna ludzka dusza”. Smacznego.

MARCIN SENDECKI

Reż. Atom Egoyan, Kanada/Wielka Brytania 1999

● SŁABE ● PRZECIĘTNE ● ZACNE ● ZNAKOMITE ● WYBITNE



MALENA

Większość filmów Tornatore tonie w odbłaskach magii niegdysiejszego kina. Dzieje się to nieraz z wdziękiem i urokiem. Tym razem autor dokonuje jednak bezpłodnego żeru na dziele Felliniego, w marnym pogłosie „Amarcordu” i „Walkoni”. Jest to dziennik młodzieńca przeżywającego burzę dojrzewania i kierującego nowe emocje ku lokalnej piękności. Ona oczywiście nawet go nie dostrzega, za to szczerze obdarza swą cielesnością znaczną część męskiej populacji miasteczka. Podrostkowi pozostaje jedynie beznadziejna rola podpatrywacza i snucie erotycznych konfabulacji. Film w połowie składa się z przemarszów obiektu pożądania między szpalerami rozdziawiających usta sycylijskich samców. Reszty dopełniają akty podglądactwa i krzykliwe scenki rodzajowe. Wtórna na każdym poziomie opowieść zaludniają figury – znaki wybierane ze złotej ery włoskiego kina. Mimo kilku ładnych scen pod koniec obrazu i sprężystego ciała Moniki Bellucci, mamy do czynienia z pozbawionym polotu daniem drugiej świeżości w nostalgicznej mdlawej polewie. (TP)

Reż. Giuseppe Tornatore, Włochy/USA 2000



PODEJRZANY

Psychologiczny thriller z wybornymi kreacjami Hackmana i Freemana, intrygującą fabułą i świetnymi zdjęciami Petera Levy'ego. W rezultacie otrzymujemy estetycznie wysmakowany obraz, którego błędem byłoby nie obejrzeć. Film nie jest jednak przeznaczony dla widowni żądnej krwi, efektów specjalnych i trupów. Skromny w środkach, idealnie koncentruje się na pojedynku dwóch silnych osobowości: bogatego prawnika oskarżonego o zamordowanie dwóch dziewczynek i przestuchującego go policjanta, który w złapaniu zabójcy-pedofila widzi szansę awansu. Napięcie pomiędzy nimi wzrasta z każdą sekwencją, atmosfera ulega zagęszczeniu, na jaw wychodzą życiowe brudy adwokata, nie związane ze sprawą: zawiedziona miłość, nieudane małżeństwo, przygodny seks z prostytutkami, zawiść i nienawiść do bliskiej sercu osoby. Nie jest to film, który wciska w fotel i powoduje szybsze bicie tętna. To obraz raczej dla koneserów, zmęczonych teledyskowymi ujęciami, banalnymi historiami, nijaką i pozbawioną polotu stereotypową fabułą. (ACK)

Reż. Stephen Hopkins, USA 2000



PIOTR SOBOCIŃSKI 1958–2001

W nocy z 25 na 26 marca w Vancouver zmarł nagle, podczas snu, znakomity polski operator filmowy Piotr Sobociński. W Kanadzie pracował nad zdjęciami do filmu Luisa Mandoki „24 Hours”.

Urodził się w Łodzi w 1958 roku. Tam też ukończył studia na wydziale operatorskim szkoły filmowej. Z doskonałym skutkiem kontynuował rodzinne tradycje. Jego ojcem jest wybitny autor zdjęć Witold Sobociński. Jako samodzielny operator zadebiutował w roku 1984 w filmie Marka Nowickiego „Miłość z listy przebojów”. Za jego najważniejsze polskie dokonania należy uznać wizual-

ną oprawę do „Magnata” Filipa Bajona, III i IX części „Dekalogu” Krzysztofa Kieślowskiego i „Lawy” Tadeusza Konwickiego. Zdjęcia do filmu „Czerwony” Kieślowskiego przyniosły Sobocińskiemu najwyższe wyróżnienie zawodowe – nominację do Oscara w 1995 r. W tym też roku nagrodzono go „Złotą Żabą” na branżowym operatorskim festiwalu „Camerimage” za fotografie do obrazu Marty Mészáros „Siódmy pokój”. Owe dokonania uczyniły autora sławnym i stworzyły możliwość kręcenia filmów w USA. Tam też powstały zdjęcia do „Okupu” Rona Howarda czy „Półmroku” Roberta Bentona. Przedwcześnie, niespodziewanie odejście spowodowało, że następnych filmów, niestety, już nie będzie. (TP)



Oceniając rozstrzygnięcia oscarowej Akademii, trzeba koniecznie pamiętać, jak postrzega się w USA sukces. Kluczowe pytanie brzmi: „Jak jesteś taki mądry, to czemu nie jesteś bogaty?”.

Imprezę rozdawania Oscarów transmituje ostatnimi laty publiczna telewizja, sens Oscarów został już więc wielostronnie rozpatrzony. No, ale sceptyczne komentarze swoje, a emocje swoje, tym bardziej że wciąż nie spełniły się oczekiwania naszego sukcesu: dumę polską uraża brak choć jednej nagrody konkursowej dla „najlepszego filmu nieanglojęzycznego”, gdy wszyscy sąsiedzi już je mają. Czesi nawet trzy. A nam jakoś nie wychodzą nawet te nominacje dla ubogich krewnych – z krajów, gdzie nie kręci się po angielsku. Miara drugorzędności rangi tych wyróżnień jest ich zwykle przypadkowy zestaw, oderwany od europejskich wyobrażeń o najpoważniejszych osiągnięciach sezonu.

Nominacje „w rodzinie” anglojęzycznej bywają natomiast cenione wśród zawodowców na równi z samymi statuetkami. W pierwszej fazie o wyborze decydują koledzy z danej specjalności. Tyle że nawet oni nie uwzględnią na przykład niejednej kreacji aktorskiej w filmach zbyt drastycznych bądź o znikomej popularności. Większą ma natomiast szansę świetna praca operatora w przedsięwzięciu kiepskim, lecz reprezentacyjnie zakrojonym.

Konserwatywni i interesowni akademicy

Jakość nietypowa tym łatwiej przegra z ogólnie akceptowanym popsem w ostatecznym głosowaniu, dokonywanym przez kilka tysięcy członków AMPAS, czyli Akademii

Filmowej Sztuki i Biegłości Technicznych. Akademicy, czyli specjaliści wszystkich, a więc także bardzo „technicznych” dziedzin kina, są niezbyt młodzi i ogólnie tworzą odpowiednik konserwatywnej publiczności premierowej.

Toteż w tym kręgu nie liczą się filmy: „Oczy szeroko zamknięte”, „Tańcząc w ciemnościach”, „Ghost Dog” czy „Requiem dla snu”. Są za mało pozytywne, odbiegają od tradycyjnych wzorców i zbyt niepokoją. Oscara nie dostała nawet fenomenalna piosenka Björk „I’ve Seen It All”. Ale przynajmniej przegrała z Bobem Dylanem, który podczas gali wykonał z Sydney swoją również wielce udaną balladę do „Cudownych chłopców”.

Wysoki skok Tygrysa

W dziedzinie filmów nieanglojęzycznych wygrał, pierwszy od dawna, przebój rozrywkowy – „Przycajony tygrys, ukryty smok” – o chińskich mistrzach walki sprzed dwustu lat. W jego wypadku mało się liczyły pozytywne treści i związki z rodzimą filozofią. Film Anga Lee wylatuje wysoko ponad reguły: jest tak uniwersalnym kostiumowym fajerwerkierem widowiskowym, że nieistotny staje się język dialogów. Sam reżyser, z urodzenia Tajwańczyk, rozwijał się jako filmowiec w USA, kręcąc komediodramaty o diasporze chińskiej, ale także „Rozważną i romantyczną” według Jane Austen, czyli historię typowo anglosaską.

W rezultacie „Przycajony tygrys”, porywający spektakl w stylu „wuxia pian” – chińskiej legendy rycerskiej – zdobył znaczną liczbę nominacji, w tym także za zdjęcia, muzykę i scenografię. Niespodzianką było tylko to, że Oscar za reżyserię ominął samego Lee, bo przed miesiącem otrzymał w tej dziedzinie „Złoty Glob”, uważany za bardzo miarodajny wskaźnik dla późniejszego werdyktu oscarowego.

Maximus i Erin triumfują

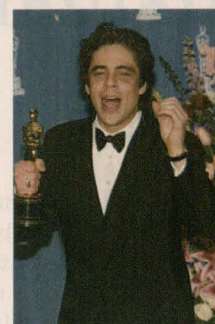
Czy ogólny podział najnowszych Oscarów odbiega od standardu? Co znaczą główne tegoroczne nagrody?

Faworytem do nich był „Gladiator”, przedstawiony w popularnej formie dramatycznego bohatera z czasów rzymskich. Otrzymał tuż nominacji. Z jednej strony łatwiej o nie historycznemu filmowi epickiemu, przy którym wiele zajęć mają fachowcy z wszystkich prawie dziedzin, z drugiej – starożytne widowiska już od trzech dekad wypały z hollywoodzkiego menu.

mama z trójką dzieci walcząca z trucicielami środowiska, miała moc atutów. Nie tylko błysnęła aktorsko, ale (jak mimowolnie rzecz ujął jeden z naszych komentatorów w studiu telewizyjnym) „pokazała, że bardzo się rozwinęła”. W kategoriach warsztatowych lepsza była wstrząsająca kreacja matki zatrutej złudnymi nadziejami z „Requiem dla snu” w wykonaniu Ellen Bur-

Ta tendencja dominowała też w drugiej części puli Oscarów. W nagrodach za filmy dokumentalne kryterium dydaktyczno-oświatowe przeważa do tego stopnia, że w ogóle przegrywają dokonania śmiałe formalnie i treściowo. W filmach fabularnych też wzrasta premiowanie działań pozytywnych: skoro reguły życia publicznego kraju wolności dopuszczają

OSCARY 2001



Benicio Del Toro



Jack Cardiff – Oscar za całokształt twórczości



Marcia Gay Harden



Ang Lee – reżyser „Przycajonego tygrysa, ukrytego smoka”



Julia Roberts

NAJLEPSZY FILM – „Gladiator”

NAJLEPSZA AKTORKA – Julia Roberts („Erin Brockovich”)

NAJLEPSZY AKTOR – Russell Crowe („Gladiator”)

NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

– Marcia Gay Harden („Pollock”)

NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

– Benicio Del Toro („Traffic”)

NAJLEPSZY REŻYSER – Steven Soderbergh („Traffic”)

NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZCZNY

– „Przycajony tygrys, ukryty smok”

Niektórzy z pamiętających rekordy „Ben Hura” i „Titanica” oczekiwali, że znów górę weźmie ów owczy pęd do wzbogacania laurów zwycięzcy; ale tak się nie stało. Nie tylko z powodu konkurenta chińskiego; bardziej chyba dlatego, że głosowania – w ramach amerykańskich upodobań – stają się coraz bardziej rzeczowe. Oscara dla protagonisty wzięła Russell Crowe. Świetny aktor. Czy lepszy od Toma Hanksa w „Poza światem”. Może nie, ale liczy się co innego. Crowe wyrasta na herosa amerykańskiego ekranu w dawno nie widzianym stylu: chmurny, twardy, a zarazem kryjący wewnętrzne rany samotnik, jest przecież kimś takim jak przed laty Clark Gable.

Trochę podobnie wybrano najlepszą protagonistkę. Powszechnie lubiana Julia Roberts jako tytułowa Erin Brockovich, samotna młoda

styn – ale ona już miała Oscara, a Julia jeszcze nie.

Renesans pozytywnych treści

Na pierwszy rzut oka podział nagród potwierdza, że Akademia premiuje kasową, dynamiczną widowiskowość. Zwyciężyły dwa filmy orężnego starcia. Jeśli doliczyć statuetkę za efekty dźwiękowe wojennego „U-571”, to takim spektaklom przypadła ponad połowa nagród za kino fabularne. Strategia Hollywoodu uwzględnia, że igrzysk pragnie nie tylko lud rzymski.

Jeśli zaś chodzi o utrwaloną już praktykę nagród Akademii w kategorii obcojęzycznej, to oprócz najnowszego „Przycajonego tygrysa” najbardziej widowiskowym filmem ostatnich dwudziestu lat był... „Fanny i Aleksander”. Premiowane są wartości, nie spektakl.

głoszenie poglądów bez ograniczeń, to należy popierać dobre wzory. Nie przypadkiem trzecim zwycięzcą, z czterema statuetkami, został „Traffic”, antynarkotykowy dramat społeczny. Jego twórca, Steven Soderbergh, obok braci Coenów najciekawszy z młodszych pokolenia filmowców amerykańskich, miał aż dwie nominacje reżyserskie – drugą za „Erin Brockovich” – i ostatecznie zdobył większe uznanie niż Ang Lee. Oscar trafił też w ręce Stephena Gaghana, scenarzysty filmu „Traffic”.

Po ubiegłorocznych nominacjach dla „Informatora”, „Wbrew regułom” i „Zielonej mili” tegoroczne wybory mówią o rosnącej chęci brania przez środowisko amerykańskich filmowców odpowiedzialności za życie kraju: media powinny umieć podawać dobre treści.

NIE SAME
igrzyska

ADAM GARBICZ



FOT. ASCHOCIAJ

BARDZO WRAŻLIWY PACJENT

Zaczynał jako Al w „Ptaśku” Sroki pod koniec lat 80. Szukał swojej drogi w krakowskim Teatrze Bückleina – współtworzył „Watta” i „Sonatę Widm”. Wydawało się, że to będzie solidny, wyrazisty aktor drugiego planu Starego Teatru. Potem trafił jednak na reżyserów z kręgu „młodszych zdolniejszych”. Znalazł dzięki nim swoją estetykę, stając się sztandarowym aktorem zakotwiczonym w warszawskich „Rozmaitościach”.

Wszystkie role Marka Kality są bardzo precyzyjnie skomponowane. Każdy ruch i grymas jest tu po coś – zeszytniałe palce niedorożnika Helvera, taneczna szamotanina geja z „Beztlenowców” Villqista, składającego zmięte przez partnera dziecięce kocyki. Aktor traktuje grane przez siebie postaci bez sympatii, bez współczucia. Szkuje ich okrutne portrety, jakby rył je nożem w blacie stołu, wydrapywał paznokciami na ścianie. Książę Filip z „Iwony” był w interpretacji Kality perwersyjnym sadystą. Jego bezczelny, cyniczny, drwiący Ferdyszczenko z „Księcia Myszkina” to z kolei oryginał skrywający w swojej głowie jakiegoś hopla, na razie niegroźną jeszcze szajbę. Kalita jest przeciwnikiem powściągliwości, akuszerem demonicznej, przesadnej mimiki.

Gra ludzi, z których obłęd wylazi powolutku, testuje kliniczne stany schizofrenii. Lubi naturalistycznie prezentować jej objawy. Pokazuje zbliżanie się ataków, agresję choroby. Ale w żadnej ze swoich ról Kalita nie prowokuje, nie chce zwracać na siebie uwagi jednym efektownym trickiem. Gra tak, że nie można wskazać granicy między ekshibicjonizmem aktora a założoną na czas spektaklu maską. Wydaje się, jakby tych psychopatycznych bohaterów metodycznie przeżuwał w sobie i każdego wieczoru na scenie wypływał z gardła. I mówił, że każdy z nas jest chory. Teatr nowej wrażliwości ma w Polsce twarz Marka Kality.

ŁUKASZ DREWNIAK

BEZ entuzjazmu

XXVI Krakowskie Reminiscencje Teatralne nie były festiwalem, o jakim marzyli organizatorzy.

Teatr GLEJ (Słowenia)

Cztery festiwalowe dni (22–25 marca) upłynęły cicho i spokojnie. Kraków zdawał się nie wiedzieć o Reminiscencjach, których zasięg ograniczono w tym roku do sal widowiskowych Rotundy i PWST. Poza brakiem reklamy najbardziej jednak zaniepokoił mnie artystyczny poziom tegorocznych Reminiscencji.

Festiwal rozpadł się na dwie części – zagraniczną i polską. Dobrą i złą. Słoweński teatr Glej zaprezentował taneczny spektakl „Su e Sid”, oparty na prostej historii o mężczyź-

nie uwikłanym w związki z trzema kobietami. Początek spektaklu był żartobliwym nawiązaniem do czołówki telewizyjnego serialu – na trzech ruchomych ekranach widzieliśmy portrety bohaterów spektaklu: Sida, jego żony, kochanki i przyjaciółki. Taniec oddawał tu charakter relacji łączących bohaterów. Inny zespół ze Słowenii – Betontanc – zbudował z kolei na scenie wybieg przeznaczony do striptizu, na którym cztery postaci wykonywały perwersyjny taniec. Nad przebiegiem show czuwał demoniczny wokalista z ro-

ckowej grupy Silence. Spektakl nie oferował jednak nic więcej oprócz efektownej choreografii. Połączenie rockowego koncertu i erotycznych numerów tanecznych to za mało, aby powiedzieć coś przejmującego o destrukcji międzyludzkich więzi we współczesnym świecie.

Ostatnim i jednocześnie najciekawszym spektaklem krakowskich Reminiscencji był „Pooh and Prah” teatru Axe z St. Petersburga, pantomimiczne widowisko z pogranicza komedii dell'arte, cyrku i nie-mego kina. Trójka aktorów wycza-



DZIŚ W „KOSTCE” NIE BĘDZIE ŚMICHÓW-CHICHÓW, BO TEMATYKA OMAWIANEGO SPEKTAKLU JEST POWAŻNA. WIZYTUJĄC PREMIERĘ TEATRU NOWEGO, ODEBRAŁEM DWA BARDZO WYRAŻNE SYGNAŁY, ŻE REŻYSER-GOŁOWĄS CZYTA DRAMATY VILLQISTA W SPOSÓB SŁUSZNY I GŁĘBOKI.

1. Przystawiając kolejność jednoaktówek z cyklu „Beztlenowce” (dwuipółgodzinny spektakl otwierają „Lemury”), Łukasz Kos pyta, czym jest rodzina. W prologu przedstawienia zakochane młode małżeństwo bawi się konwencjami miłosnego dialogu i przeżywa w przyspieszonym tempie różne warianty swojej różowej przyszłości. Weselny walc. Ciężkie. I oto na scenie oglądamy zupełnie innych bohaterów, którzy pewnie kiedyś też wierzyli, że będą szczęśliwi, a teraz poranieni, psychicznie strzaskani zszywają z resztek swoje kalekie uczucia.

2. Kos opowiada o nieuniknionym krachu iluzji każdego związku, każdej miłości: pary gejowskiej („Beztlenowce”), dojrzałej kobiety i jej męża udających przed sobą, że mają dziecko („Fantom”), ojca i wykorzystywanej przez niego seksualnie córki („Cynkweise”). Nie przesadza z naturalistycznymi efektami, jest wyrozumiały wobec ludzkich grzechów.

ŁD

PS: Z wyjątkiem delikatnej gry Wojciecha Błacha, milczącej etiudy Mariusza Saniternika i boleśnie natrętnego szczebiotu Joanny Król nikt z aktorów nie potrafił uwiarygodnić swojej obecności na scenie. Jedni grają w fałszywych tonacjach, inni zostali źle obsadzeni. Pozostaje sprawą otwartą, czy Kos mógł coś na to poradzić, czy nie.

Teatr Nowy w Łodzi. Ingmar Villqist: „Beztlenowce”. Reż.: Łukasz Kos, scenografia: Monika Sudół, muzyka i ruch sceniczny: Olena Leonenko. Premiera 10 marca 2001.

rowała sceniczną rzeczywistość, używając bardzo prostych środków – zwykłych przedmiotów: patyków, butelek, miotły i ilustracyjnej gry. W tym groteskowym świecie żywych kukiełek dowcip łączył się z lirycznym, poetyckim nastrojem, a całość utrzymana była w konwencji snu.

Rodzima alternatywa teatralna, skonfrontowana z występami zagranicznych zespołów, wypadła nieciekawie. Warszawski Teatr Akademia w spektaklu „Karma” budował nużącą teatralnie ilustrację tezy o tym, że mężczyźni pochodzą z Marsa, a kobiety z planety Wenus. Teatr Kana zafundował widzom godziną mękę śledzenia psychicznych udręk i obsesji bohatera monodramu „Rajski ptak”. Czterdziestoletni artysta Andrzej Mathiasz w „Spowiedzi dziecięcia wiekowego” przy użyciu kamery wideo i dwóch telewizorów dokonywał zabawnego tylko chwilami bilansu swego niezbyt – jak stwierdził – udanego życia. Zabawniej było na „Pomiędzy”, przedstawieniu Stowarzyszenia Mandala. Humorystyczna relacja Andrzeja Sadowskiego z podróży do Bułgarii przeplatana się z dramatycznymi wydarzeniami, jakie się działy w jednym z sofijskich mieszkań. Sadowski opowiadał o złośliwości przypadku i nieuchronności każdej tragedii.

I znów na Reminiscencjach obyło się bez olśnień i objawień. Zabrakło prezentacji bardziej znanego oblicza polskiej sceny niezależnej – Biura Podróży, Sceny Plastycznej KUL... Przedstawienia raz lepsze, raz gorsze – tych drugich jednak znacznie więcej. W przeciwieństwie do profesjonalizmu występów zagranicznych gości (który osładzał nieraz banal przedstawianych treści) naszym artystom zdarzało się mylić amatorskie zabawy w teatr z teatralną alternatywą.

Obraz rodzimego teatru niezależnego, jaki wyłonił się podczas festiwalu, jest niezbyt budujący. Brakło buntu, pasji, ożywczego fermentu, sugestywności wizji, a więc tego, czego teatr eksperymentalny powinien być synonimem.

Organizatorzy Reminiscencji, mimo finansowej zapaści i braku udanych polskich przedstawień, doprowadzili do realizacji kolejnego festiwalu i już samo to uznać należy za sukces. Pozostaje nadzieja, że za rok będą jeszcze mieli co i gdzie pokazać.

JADWIGA ROŻEK

Mordercze cycki Brechta



Dostawka

PAWEŁ GŁOWACKI
Rocznik 1965. Krytyk.
Krytykował wszystkich
na łamach „Teatru”,
„Tygodnika Powszechnego”,
„Rzeczpospolitej”
i „Dziennika Polskiego”.

Bertolt Brecht szalenie się zmienił. Wziął prysznic. Wciąż idące od sceny krakowskiej filharmonii powietrze i nie czuję swądu społecznego zaangażowania. Patrzę. Już nie ślini dawno wystygłego cygara, która to smakowita mania zdaje się była kiedyś ostrym protestem przeciwko kapitalistycznemu jarzmu, co pod nim biedne Kubanki, skracając na niedożywionych udach tytoniowe liście, wyły i wyły. A dziś? Proszę – klarowność użebienia twórcy teatru epickiego wyraźnie wzrosła. Wprawdzie świeży i biały chuch żdziebko oddalił Brechta od ludu pracującego miast i wsi, ale za to mnie się w filharmonii wreszcie przyjemnie ogląda epickość. Odchudził się, jak diabli, odchudził i wyprostował. Swej księżycowej, troskliwej buzi już nie pochyla nad ciemnym losem poniżonych i bitych. Uroczy, proletariacki kaszkiet przepadł gdzieś, jak i ów gustowny uniform, co wyszedł spod czulej igły mitycznego kreatora Mao. I brak tamtych pionierek, i niegdyśszej tysiny dzielnej. Teraz są doskonałe, smoliste czółenka, suknie o nieskazitelną dyskrecję i bezwzględność długich, poskręcanych, wściekle rudych włosów. Do twarzy mu z tym,

zwłaszcza że zaczął dbać o cerę, używa szminek, a i oko umie wreszcie ująć w bordowy cień, i rzęsy podkręcić umie. Tak, Brecht się zmienił nie do poznania. Wiem, co mówię, bo widziałem Milwę śpiewającą Brechta. Opętani widmem społecznie zaangażowanego teatru koledzy krytycy wciąż mi mówią, że mam pecha. Że zawsze, jak chcę zobaczyć Brechta, to na Milwę trafiam, a przecież Brecht jest inny, wciąż jest tamtym starym, dobrym wujem-rewolucjonistą, co to los niedożywionych ud Kubanek go wzrusza; co to ślini cygaro, bo z kapitalizmem walczyć należy; co to schodzi na dno garderoby i higieny, bo z ludem zwąchać się trza; co to pisze, jak pisze, albowiem należy zmienić brzydki i zły świat. Owszem, mam pecha. I bardzo proszę Najświętszą Panią, żeby mi nie odbierała tej jednej z ostatnich mych teatralnych radości. Ja chcę mieć tego pecha! Zmieniać świat? A po cholere! Trzeci raz patrzę na Milwę śpiewającą Brechta i trzeci raz widzę, jak

tych 15 pozornie suchych songów i tyleż fenomenalnie „połamanych” fraz muzycznych Weilla i Eisslera zmienia się nagle w 15 osobnych planet, wirujących co najwyżej 3 minuty każda. I one są blisko. Pachną człowiekiem, pełnym, skończonym człowiekiem, dotykają twojej skóry, czasem czujesz ich wilgotny język w uchu. Na tym języku, w tym dotknięciu skrajnie intymnym jest radość kobiety, smutek kobiety, jest dziwkarska propozycja, trochę tęsknoty, zwierzęco wywrzeszczany ochłap sprzeciwu, miłość jest, nienawiść, melancholia, mądrość, głupota i gorzki smak wiadomego końca. W twoim mokrym uchu jest wszystko. Tak śpiewa Milva. Zawsze tylko dla ciebie pojedynczego. A to, co Milva ma w gardle, a co z braku laku określa się rachitycznym mianem głosu, każde wzruszenie zmienia w coś namacalnego, jak krzesło, albo twarz.

Już trzeci raz mam tak mokre ucho i trzeci raz wyczuwam, że Milva nie jest na scenie sama. Trzeci raz mam pewność, że po nitkach jej nerwów ślizga się, niczym elektryczny węgorz, cień Giorgio Strehlera. Cień nie do zapomnienia: teatr wzruszeń najprostszych, teatr gestu ogromnego, ale na ludzką miarę, teatr tajemnicy klarownej, teatr poezji nie zadmionej, bo aż do bólu precyzyjnie poszywanej. Teatr człowieka, który do spodu pojął, że Brecht jest czymś grubo poważniejszym niż socjalizująca barykada. Teatr człowieka, który pojął, że Brecht to mag sceny, a nie gówniarz ze szlachetną chorągiewką w garści.

Pisząc gdzieś o pożytkach płynących z Szekspira, Jan Kott notował, że świat nie jest ani tragiczny, ani komiczny, że jest po prostu gorzki. Jest, jaki jest. Pełny. Po jaką cholere! chcąc przy pomocy teatru zmieniać coś, co jest pełne? Po żadną. Nawiasem: Fidel oswoił Kubę, a uda Kubanek, jak były niedożywione, tak są niedożywione. Lepiej niech teatr pokazuje pełnię, a nie dłubie w pełni. Niech powieła gorzkość.

Jak Milva. Jak Brecht, któremu nadzwyczaj pasują mordercze piersi Milvy. Owszem, tak bardzo nie do poznania się zmienił, że wreszcie można go poznać naprawdę.

FOT. BOGDAN KRZEL

Piętnaście pozornie suchych songów i tyleż fenomenalnie „połamanych” fraz muzycznych Weilla i Eisslera zmienia się nagle w piętnaście osobnych planet

ABSTRAKCJE



KŁOPOTY Z WENECJĄ

Leon Tarasewicz nie zrealizuje w pełni projektu pt. „Malować” podczas tegorocznego Biennale w Wenecji, gdyż nie zgodziły się na to władze miasta. Artysta zamierzał umieścić swoje malarstwo w najbardziej zmiennych dla Wenecji punktach: na trzonie kolumny św. Marka, na półkolumnach zdobiących pierwszą i drugą kondygnację gmachu Starych Prokuracji, zamykających plac św. Marka od północy, a także na słupach cumowniczych wzdłuż brzegów kanałów. Ostateczny kształt nowego projektu nie jest jeszcze znany. Artysta planuje nadal wyjście poza obszar polskiego pawilonu. (SR)



WYSTAWA W TWOJEJ GŁOWIE

Puste białe ściany o powierzchni 230 metrów kwadratowych mieli okazję zobaczyć goście podczas otwarcia nowej wystawy w centrum artystycznym Custard Factory w angielskim Birmingham. Nie było tam ani jednego obrazu, ani rzeźby. Na ścianach widniały jedynie napisy na skrawkach papieru i biletach autobusowych. Ekspozycja, zatytułowana „Wystawa zrealizuje się w twojej głowie”, w zamierzeniu autorów jest eksperymentem mającym na celu obserwację reakcji publiczności. (AS)

ZDJĘCIA AMERYKAŃSKIEJ ARTYSTKI TIERNEY GEARON

mogą być nadal pokazywane w londyńskiej Saatchi Gallery – do takiego wniosku po szczegółowym śledztwie doszła prokuratura w Londynie.

Dochodzenie przeprowadzono w związku z licznymi oskarżeniami o deprawację, schlebienie gustom pedofilskim i seksualne eksploatowanie nieletnich. Przypomnijmy, że na wystawie „I am a Camera” przedstawiono dwa zdjęcia dzieci amerykańskiej artystki: Emily i Michaela (patrz „P” 13/2001). Parę tygodni po otwarciu wystawy do galerii wkroczyła policja, żądając usunięcia zdjęć. Sprawę skierowano do prokuratury, która ustaliła, że

prace artystki nie są sprzeczne z ustawą o ochronie dzieci z 1978 r. Mimo umorzenia śledztwa zła sława, jaką zaczęły cieszyć się fotografie, sprawiła, że prawie żadna gazeta opisująca zajście nie odważyła się na ich pokazanie. Usunięto je także z większości witryn internetowych. (SR)



FOT. S. SZABŁOWSKI

PAPIEROWY ŚWIAT

Oglądanie wystawy Katarzyny Józefowicz przypomina doświadczenie Alicji z krainy czarów. Wchodzimy do niewielkiej z pozoru, króliczej nory, w której odkrywamy nowe, nieprzeczuwane przestrzenie.

Wieża Babel z piętrzących się ni-by-mebl. Labiryntowa struktura przypominająca nie kończące się miasto – Metropolis. Tysiące twarzy rosnących na podłodze niczym gęsto zasiany trawnik. Wszystko zmieściło się w malutkiej salce Galerii Foksal. I wszystko jest wykonane z papieru.

Katarzyna Józefowicz wykłada na ASP w Gdańsku. W latach 90. pozostawała w cieniu polskiej sceny artystycznej. Ostatni rok był jednak przełomowy. Jesienią Galeria Foksal pokazała jej znakomitą wystawę indywidualną. Artystka prezentowała swoje prace na targach sztuki w Berlinie i na wystawie In Freiheit/Endlich w Baden-Baden – podsumowa-

niu polskiej sztuki lat 90., które obecnie oglądać można w warszawskiej Królikarni. Józefowicz wybiera się też na prestiżowe berlińskie Biennale.

Jej ulubionym materiałem jest papier. Buduje z niego delikatne, ażurowe obiekty. W latach 1990–1991 powstawało Miasto: finezyjne, skomplikowane konstrukcje kojarzące się z metropolią widzianą z lotu ptaka. Potem artystka pracowała nad Habitatem – serią małych przedmiotów z tektury, mniej lub bardziej dosłownie odwołujących się do kształtów mebli. Jedną z najnowszych realizacji jest Dywan. Józefowicz nakleja na paski tektury

tysiące wyciętych z gazet fotografii – twarze i postaci. Układa je w rodzaj leżącego na podłodze, fotograficznego kobierca.

Realizacje Józefowicz wymagają mrówczej pracy. Każda z nich składa się z tysięcy małych, precyzyjnie wykonanych elementów. Artystka pracuje nad nimi latami. Jej dzieła mają charakter modularny – do Miast, Habitatu czy Dywanu można dokładać kolejne elementy, łączyć je w nowe konfiguracje i struktury. Prace gdańskiej artystki mają w sobie niezwykłą intensywność. Wyśięk i czas włożony w ich wykonanie zostaje przekształcony w skumulowaną energię i przestrzeń kontemplacji, w którą wpada się niczym Alicja do króliczej nory.

STACH SZABŁOWSKI

Katarzyna Józefowicz, Warszawa, Galeria Foksal. Wystawa czynna do końca kwietnia.

300 słów Natalii LL

NATALIA LACH-LACHOWICZ TWORZY OD PONAD 30 LAT. TO ARTYSTKA, DLA KTÓREJ BANANY BYŁY NIE TYLKO POŻYWIENIEM, ALE TAKŻE TWORZYWEM SZTUKI.

CIAŁO

W moich pracach staram się ukazać mistycyzm ciała. Najnowsza wystawa to właśnie próba takiego spojrzenia na cielesność. Fotografie tam pokazywane (moje i moich studentów) robią imponujące wrażenie – są to portrety, akty, zbliżenia, a nawet abstrakcje nawiązujące do ciała. Oprócz prac starszych prezentuję dwie całkiem nowe: „Narodziny według ciała” i „Narodziny według ducha”. Kocham fotografię. Uważam, że to najbardziej tajemnicze medium.

WOLNOŚĆ

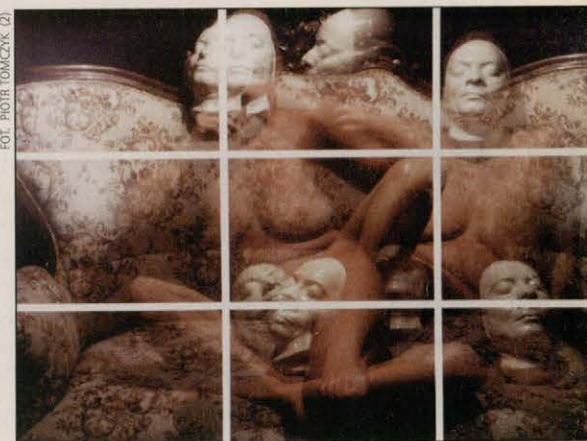
Artysty są ludźmi wolnymi. Wiadomo, że w jakiś sposób zależą od tego, co się dzieje wokół, ale samo tworzenie jest aktem wolności. Robiąc sztukę, czujemy się wolni. Robimy to, co chcemy, nie to, co musimy. Artysta pracuje dla siebie i przez tę pracę staje się niezależny. Tworzenie i niezważanie na trudności materialne – to jest piękne!

Dziś bycie artystą niezależnym finansowo jest trudne. Brakuje stypendiów, ludzie nie są nastawieni na kupowanie dzieł sztuki. Jednak wolność artystyczna to tworzenie z wewnętrznej potrzeby, a nie dla pieniędzy.

SZTUKA

Sztuka jest życiem, a życie sztuką. To powtarzałam od zawsze. Nie wyobrażam sobie życia bez sztuki. Do końca swoich dni będę tworzyła. Nic nie frapuje mnie bardziej niż sztuka. Zawsze to, co robiłam, było związane z moimi przeżyciami, tym, co aktualnie się działo wokół mnie. Przed laty robiłam bardzo dużo performance, które zawsze były związane z moimi doświadczeniami. Organizowałam je wtedy, gdy chciałam wyrazić coś w sposób inny niż malarstwo, grafika czy fotografia.

Cielesność ciała. Natalia LL i jej studenci. Do 22 kwietnia. Łódź, Muzeum Sztuki. www.muzeumsztuki.lodz.pl



„Narodziny według ducha”, 2000 r.

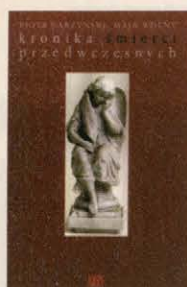
WYSTAWA Z KOLEKCJI HAUBENSTOCKÓW

Do 18 maja potrwa zorganizowana w Muzeum Narodowym w Krakowie wystawa dzieł pozyskanych z kolekcji Fundacji im. J. J. Haubenstocków. Ekspozycja obejmuje prace 23 współczesnych artystów polskich. W jej skład wchodzi dzieła wykonane w przeróżnych technikach: malarstwo, rysunek, grafika, rzeźba, instalacje i fotografia. Część z nich kupiła Fundacja, część podarowali sami artyści. Na wystawie znajdziemy prace m.in.: Adama Hoffmana, Barbary Skąpskiej, Andrzeja Kapusty czy Dariusza Vasiny. Towarzyszy jej katalog z reprodukcjami prezentowanych dzieł.

Fundacja im. J. J. Haubenstocków od lat wspierała przedsięwzięcia medyczne i charytatywne. Działająca przy niej mała fundacja powstała z inicjatywy Janiny Haubenstock. Początkowo miała wspierać początkujących artystów. Wkrótce zaczęto kolekcjonować także prace twórców starszych, lecz niekomercyjnych, niezależnych od panującej mody i gustów publiczności. (SR)

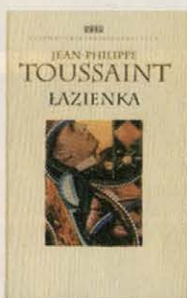


„Święta draperia” 1995, 196 cm, drewno polichromowane, Jerzy Fober



Na ten zbiór portretów XX-wiecznych polskich artystów, którym nie dane było dożyć starości, patrzyć można dwójako. Można więc chwalić autorów, że znaleźli przystępny, w dobrej sprawie wykorzystujący niezdrową ludzką ciekawość, sposób przypomnienia istotnych dla naszej kultury postaci i hurtem odpuścić Sarzyńskiemu i Wolnej popełnione grzechy. Osoby mniej miłośnicze zauważą jednak, że mamy tu do czynienia nie z działaniem dla dobra publicznego, ale przedsięwzięciem handlowym – pamiętajmy bowiem, że prestiż jest także towarem. A próba nabycia go tekstami o stylistyce rodem z pism kobiecych (które serdecznie tu pozdrawiamy), skupionymi nie na sztuce, ale okolicznościach zgonu bohaterów i „prześladującym [ich] cieniu śmierci” (cytat ze „Wstępu”), okazuje się bolesna. Wziąwszy w dodatku pod uwagę karygodne przeoczenia na tej liście strat – by wspomnieć tylko o braku Jerzego Lieberta – należy orzec, że autorzy „Kroniki” przekroczyli swój próg kompetencji. (MS)

Piotr Sarzyński, Maja Wolny: „Kronika śmierci przedwczesnych”. Iskry, Warszawa 2000



Kiedy ta powieść ukazała się we Francji w połowie lat 80., jej autor dobiegał trzydziestki. Podobno szybko zyskała status – jak to się teraz mawia – powieści kultowej młodego pokolenia. Dlaczego? Musiała utrafić w nastroje rówieśników autora, ukazać ich niepokoje. Jej bohater z upodobaniem wymyka się do łazienki i spędza tam mnóstwo czasu. Łazienka jest bowiem najłatwiej dostępnym każdemu miejscem dobrowolnego odosobnienia, w niej najłatwiej poczuć swoją niezależność od wszystkiego, co zostaje na zewnątrz. Kolejna generacja manifestuje swój dystans do świata, niechęć do angażowania się w cokolwiek. Ale tym razem nie ma w tej ucieczce hysterii, napięcia, wszystko wyprane jest z emocji. Podkreśla to jeszcze beznamytny, „zimny” styl narracji, w czym odnaleźć można echa lektur powieści Robbe-Grilleta. (LB)

Jean-Philippe Toussaint: „Łazienka”, przeł. Barbara Grzegorzewska. Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2001



...wcale nie jest tak, że krytycy to nieudani i nierealizowani pisarze. Jest raczej odwrotnie: to pisarze są niewyżyłymi i niespełnionymi krytykami. Moja żona czytała któryś ze współczesnych apokryfów (okładkę przykryła gazetą, więc nie widziałem dokładnie tytułu): „A widziałś! Tu cię mam”. Przestraszyłem się, bo nie wiedziałem, co ma dokładnie na myśli, mówiąc „tu”, ale tym razem wcale nie mnie miała na myśli. „No tak, teraz wszystko rozumiem. Najpierw się pisze o literaturze, którą trzeba wypromować, tworzy wysublimowane konstrukcje, kreuje gwiazdy, a wszystko po to, by stworzyć koniunkturę dla pisanych na boku powieści, które, gdy tylko przyjdzie czas, od niechcenia, podesunie się niewinnym ruchem przypadkowo znanemu dobremu wydawcy, by czekać na przypadkowe recenzje przypadkowych krytyków, którzy tylko przypadkiem okrzykną narodzin nowej gwiazdy. A żeby było jeszcze ciekawiej, to ci przypadkowi krytycy przypadkiem okazali się lepsi od naszego pisarza, który swego czasu wcale nie okazał się najlepszy i przypadkiem piszą dobre teksty o koledze, od którego okazali się lepsi. Teraz tylko czekać, aż Tomasz Burek zacznie oddawać prozą sprawiedliwość widzialnemu światu”. O moja żono, pomyślałem, jak ja cię kocham... mąż

PODRÓŻ jako doświadczenie wyobraźni

Stempowski świadomie wyznaczył sobie rolę niespiesznego przechodnia i nałogowego włóczęgi.

Jerzy Stempowski (1894–1969) należał do tej formacji kulturowej, która, odsunięta od bezpośredniego wpływu na bieg spraw politycznych, odegrała kapitalną rolę w budowaniu najlepszych tradycji XX-wiecznego polskiego życia umysłowego. Wychowany w rodzinnym majątku na Ukrainie, gdzie przez stulecia mieszały się cywilizacje, religie i języki, gruntownie i wszechstronnie wykształcony, władający biegle kilkoma językami, obeznany znakomicie zarówno z problemami gospodarki i rolnictwa, jak literaturą i historią klasyczną – był Stempowski idealnym typem liberalnego „intelektualisty uniwersalnego”, erudyty-dyletanta, który nie ogranicza pasji i zainteresowań do wąskiej specjalizacji zawodowej.

Świadomie wyznaczył sobie rolę świadka epoki, „niespiesznego przechodnia”, „samotnego wędrowca”, uważnego obserwatora i komentatora zdarzeń. Z zamiłowania był przede wszystkim czytelnikiem; temperament, ciekawość świata i bieg wypadków historycznych uczyniły z niego podróżnika – nałogowego, „doświadczanego włóczęgę”.

Podróżował od wczesnej młodości, najpierw jako student (do Monachium, Genewy, Zurychu), potem jako kurier dyplomatyczny polskiego MSZ-etu i korespondent zagraniczny Polskiej Agencji Telegraficznej, wreszcie jako emigrant mieszkający na stałe w Szwajcarii.

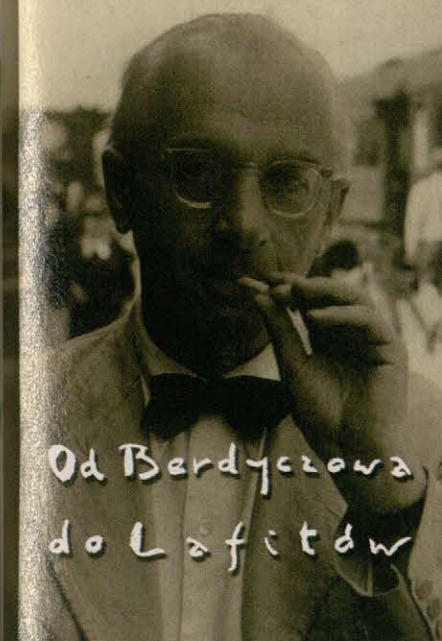
Wrażenia z podróży spisywał w dziennikach, z których większość publikowała paryska „Kultura”. Przygotowanie książkowej edycji dzienników zaproponował Stempowskiemu Jerzy Giedroyc w połowie lat 60. Książka „Od Berdyczowa do Rzymu” ukazała się jednak dopiero dwa lata po śmierci autora.

Tom opublikowany przez Wydawnictwo „Czarne” zawiera teksty pochodzące z tamtego wyboru oraz kilka nowych, przedrukowanych z „Kultury”. Tytuł, nawiązujący do wydania paryskiego, symbolicznie ukazuje drogę, którą przebył Stempowski: od kresowej, pogranicznej ojczyzny do najważniejszego ośrodka polskiej emigracji, jakim był – nazywany przez niego w listach „Lafitami” – Dom „Kultury” w Maisons-Laffitte.

Czy w czasach masowej turystyki i zorganizowanych wycieczek objazdowych umiemy jeszcze pojąć właściwą istotę podróżowania, bez czego lektura dzienników Stempowskiego wydaje się trudna do pomyślenia, a w każdym razie szalenie zubożona?

Turystę gna niespokojny głód wrażeń, podróżnikiem kieruje uważna ciekawość. Turysta, który w istocie nie rozporządza swoim czasem, ogranicza się do pospiesznego, mechanicznego rejestrowania rzeczywistości („wysiada z wozu ze swym kodakiem, robi kilka zdjęć i jedzie dalej”). Podróżnik posuwa się niespiesznie, jego myśl

Jerzy Stempowski



ukierunkowana jest na porządkowanie wrażeń, jego uwagę przyciągają szczegóły, które z czasem, dzięki pracy wyobraźni, układają się w ogólniejszy wzór. Turysta płaci za możliwość ignorowania sensu oglądanych przez siebie miejsc, ponieważ źródłem ekscytujących wrażeń jest dla niego właśnie ich egzotyka; podróżnik chce „znać świat zewnętrzny i posiadać o nim umotywowany sąd”.

„W Berdyczowie widziałem kilka uderzających wzorów rzeczy przyszłych, nie umiałem ich jednak odczytać” – notuje Stempowski, wspominając po ponad półwieczu podróż do Rygi, którą odbył z ojcem w 1909 r. W zdaniu tym streszcza się być może prawdziwe powołanie podróżnika: umiejętność wnikliwego czytania znaków zostawianych przez ludzi, przedmioty i krajobrazy oraz odważna gotowość wyciągania z nich wniosków na przyszłość.

W swoją pierwszą powojenną podróż wyruszył Stempowski już na przełomie listopada i grudnia 1945 r. Udawał się do Austrii i Niemiec, wiedziony przekonaniem, że tam właśnie decydują się przyszłe losy kontynentu. Przywiązany do obrazu Europy bez granic, Europy opartej na swobodnym przenikaniu myśli i idei, z niepokojem obserwował postępującą kulturową i polityczną izolację państw naro-

dowych i kształtowanie się nowego układu sił oparte go na zimnowojennej rywalizacji wielkich pozaeuropejskich mocarstw.

Podobną irytację wzbudzał w nim brak swobodnego przepływu książek, co rażąca buta i polityczna krótkowzroczność zwycięzców (o Amerykanach stacjonujących w niemieckiej strefie okupacyjnej nie

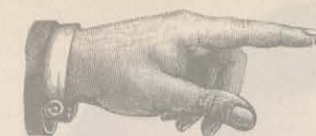
wahał się napisać, że to „nowy »Herrenvolk«”). Wytrwale szukał śladów odtworzenia się kulturowej, duchowej tożsamości Europy, coraz wyraźniej zdając sobie sprawę z utopijności swoich tęsknot.

Stempowski mimo niezwyklej kompetencji i rozległości zainteresowań nie przytłacza czytelnika swoją erudycją. Jest w jego zapiskach swoboda i rzadko dziś spotykana elegancja stylu, całkowicie wyzbyta literackiego efekciarstwa, pociągająca dzięki swojej powściągliwości, która przydaje wagi każdemu słowu i sprawia, że tę ponadpięćsetstronicową książkę czyta się z prawdziwym przejęciem.

We wstępie do wydanych w 1961 r. „Esejów dla Kassandry” pisał Stempowski, że właściwą postawą myśli jest milczenie, pisanie zaś pozostaje zawsze „pewnego rodzaju odstępstwem od jej ambicji”, usprawiedliwionym jedynie wówczas, gdy towarzyszy mu powaga i jasność wolna od wszelkiej kokieterii stylu. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że w tej rzadko spotykanej postawie rozumnej odpowiedzialności za słowo kryje się jeden z sekretów oddziaływania prozy Stempowskiego.

TOMASZ KUNZ

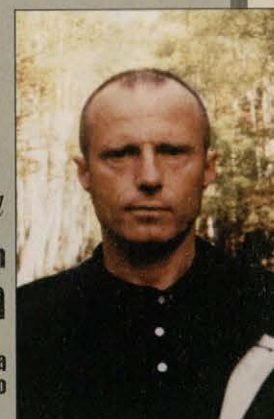
Jerzy Stempowski: „Od Berdyczowa do Lafitów”. Opr. Andrzej Stanisław Kowalski. Wydawnictwo „Czarne”, Wołowiec 2001



DOŚWIADCZENIE PODRÓŻY

Rozmowa
z prof. Andrzejem Stanisławem
Kowalczykiem

polonista
z Uniwersytetu Warszawskiego



Jeśli można mówić o polskiej szkole eseju, to Jerzy Stempowski jest z pewnością jej najświetniejszym przedstawicielem.

Chciałoby się powiedzieć: dziś prawdziwych eseistów już nie ma? Są, np. Czesław Miłosz czy Zygmunt Kubiak – nestorzy polskiego eseju. Nie brakuje eseistów wśród pisarzy średniego pokolenia – Ewa Bieńkowska, Adam Zagajewski, Wojciech Karpiński. Po tę formę sięgają również młodszy. Wróżę esejowi w literaturze polskiej wielką przyszłość.

Jakie są główne cechy eseistyki Stempowskiego?

Esej jest zarówno gatunkiem literackim, jak i pewnym sposobem widzenia i poznawania rzeczywistości. To nie tylko wybór formy, ale i losu, sposobu bycia. Eseistykę Stempowskiego cechuje sceptycyzm, a jednocześnie pasja, dystans i zaangażowanie, intelektualizm i emocje. Jednak Stempowski unika patosu, wybierając postawę autoironiczną.

To zbiór dzienników podróży po Europie, przede wszystkim powojennej, ale jest to podróż nie tylko do różnych krajów i miast, ale także na najdalsze nawet krańce czasu, pamięci, doświadczenia, wyobraźni.

Owszem, Stempowski ma swój własny stosunek do przestrzeni. Na przykład wyklucza przemieszczanie się samolotem. Ulubionym sposobem jego podróżowania było chodzenie, przed wojną, po Karpatach, po Huculszczyźnie. Potem wybiera takie środki transportu jak pociąg czy autobus i często robi postoje, żeby spotkać ludzi, porozmawiać z nimi, obejrzeć miejsca pomijane, mieć czas na refleksję.

Czas mierzy on nie tyle latami czy pokoleniami, ile nawarstwieniami. Czas to dla niego trwanie, ciągłość.

Stempowski ma odczucie czasu, związane przede wszystkim ze świadomością kultury. O tym, w jak sposób odczuwamy czas, decyduje to, w jakim stopniu jesteśmy osadzeni w tradycji, w kulturze, choć nie jest to tylko retrospekcja. Stempowski za każdym razem myśli o przyszłości.

Jest to podróż emigranta z Europy Wschodniej (Stempowski wyjechał z Polski w 1939 roku), który odwiedzając rozmaite zakątki Europy snuje marzenia o swoich stronach rodzinnych, np. rzekach: Czeremosz, Wilia.

Rzeczywiście, podróżując po Europie, nie traci związku z ziemią, z tradycją polską. W XX wieku podróż jest próbą przekroczenia granic, sprawdzenia, co jest za horyzontem. W tym sensie jest ona jedną z wielkich metafor w literaturze XX wieku, mówi o inicjacji, o poznaniu i samopoznaniu, o nowym doświadczeniu.

ROZMAWIAŁ KAZIMIERZ TARGOSZ

FOT. AGNIESZKA DUBACZYŃSKA



MAANAM jak mandragora

Po trzech latach względnego milczenia Maanam wydał nową płytę: „Hotel Nirwana”. Na pytania odpowiada Olga Jackowska – Kora.

Kiedy zobaczyłem okładkę „Hotelu Nirwana”, moim pierwszym skojarzeniem było „Axis: As Bold As Love” Hendriksa. Czy to dobrze?

Jeżeli Hendrix, to zawsze dobrze. Pytam, ponieważ na stronie internetowej znalazłem twoją wypowiedź o ruchu hippisowskim. Obecnie następuje jego renesans. Chodzi raczej o pewien stan ciąglego zainteresowania. Każde pokolenie wchodzące w dorosłe życie załapuje się w jakiś sposób na hippi, przyswaja jego wartości. Tak ro-

zumiany neohippizm trwa od wielu lat, od co najmniej dwóch, trzech pokoleń albo od zawsze.

Od zawsze?

W kulturze wyraźnie widoczne jest zjawisko kolejnych nawrotów różnych trendów. Historia kołem się toczy, również sztuka, obyczaj i muzyka. Dostrzec to można chociażby w modzie – ludzie znowu chodzą w rozszerzanych spodniach, noszą koszule w kwiaty i koraliki. Tak samo możliwy jest renesans muzyczny, który się dokonuje niemal na na-

szych oczach: ludzie wracają do The Doors, ponownie popularni stają się The Beatles.

Beatles w pewnym momencie kariery wyruszyli na Wschód – dotarli nawet do Katmandu.

Świadczy to o kierunku ich zainteresowań. Prawie cały ruch hippy zorientowany był na tamtejszy światopogląd i sposób życia.

Ta fascynacja przetrwała. Wystarczy spojrzeć na to, co dzieje się w Indiach; podążają tam prawie oficjalne pielgrzymki establish-

mentu amerykańskiego show-biznesu – aktorzy i piosenkarze, wszyscy tam byli albo będą. Koczują w namiotach, starają się asymilować kulturę i jej wartości. Ale czerpią z tego źródła, korzystając z wszelkich udogodnień – wątplię, aby kapali się w Gangesie.

Jak w tej perspektywie wygląda twoje zainteresowanie Wschodem? Jest bardzo szerokie. Można powiedzieć, że trwa ono od wczesnych lat mojej młodości, a przebiega falą, sinusoidą o mniejszej lub większej sile wyrazu. Dowodem na to jest cały nasz dom – trochę eklektyczny, lecz z przewagą elementów wschodnich – chińskich, nepalskich, indyjskich, jak również arabskich.

Wyraża to poniekąd okładka płyty. Tytuł „Hotel Nirwana” – nirwana to termin buddyjski – tuż obok przedstawiona jesteś jako bóg Śiwa, więc akcent hinduski. Tak, lecz nie należy do tego podchodzić zbyt poważnie. Tytuł płyty wziął się od piosenki, którą na-

pisał Kamil, a cała okładka to po prostu dowcipny kicz religijny. Podobnych obrazków mamy w domu milion – sympatyczny jest ten styl, podoba mi się.

Ma wpływ na muzykę?

W aranżacjach utworów

nie jest szczególnie wyczuwalny.

No i bardzo dobrze. Nie było to naszym celem. Wprawdzie mamy mnóstwo muzyki z tamtych rejonów, muzyki prawdziwej, wspaniałego etnicznego brzmienia, ale nie mieliśmy zamiaru nikogo naśladować – ani osiągnąć doskonałego Nusrat Fateh Ali Khana, ani Shankara – muzyków, których słuchamy namiętnie i mamy właściwie wszystkie ich płyty.

A renesans stylu hippy,

o którym wspominałaś, realizuje

się na płycie? W kawałku

„Piekło i niebo (Muszę pogodzić)” słyszałem wyraźnie organy

Hammonda.

Te hammondy mamy od dawna – nie słuchałeś uważnie naszych poprzednich płyt. Właściwie na każdej mieliśmy hammondy.

Kubańczyk Rei Ceballo Hechavarria, kim on jest? Ostatnio współpracuje z wieloma polskimi muzykami.

Mało o nim wiem, oprócz tego, że jest rodowitym Kubańczykiem – do tego stopnia rodowitym, że mówi tylko i wyłącznie po hiszpańsku. Poza tym jest diaboliczną, bardzo zdolną osobą, naprawdę superutalentowanym facetem. W zespole mamy Meksykanina, Davida Saucedo Valle – to on nas poznał z Reiem, kiedy pomyśleliśmy o aranżacji „Jeszcze jednego pocałunku” na instrumenty dęte. Lecz takie znajomości wynikają ze wspólnych zainteresowań, życia w jednym środowisku.

Czy byłeś w Hotelu Nirwana w Katmandu?

Nie, Kamil tam był. Mieszkał w nim podczas milenium w Nepalu, czyli tzw. tybetańskiego odosobnienia w klasztorze Bön. Napisał o tym piosenkę, reminiscencję z owego pobytu. A mój Hotel Nirwana mam tutaj, w Warszawie. Mój dom jest moim Hotelem Nirwana

LAZARUS



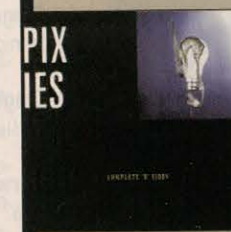
TYMON TYMAŃSKI AND THE WAITERS. Dyżurny obrazoburca flirtuje z tzw. kulturą wysoką – niestety, w mało przekonujący sposób. „Theatron Plixx”, płyta z muzyką stworzoną do spektakli wystawianych w teatrach Trójmiasta, jest chyba najbardziej eklektyczną pozycją w dyskografii Tymona. Z grupą przyjaciół (wśród nich są jassmani – Tomek Pawlicki, Olo Walicki i żywa legenda polskiego free jazzu – Andrzej Przybielski) miota się między jazzem a elektroniką, między subtelnymi impresjami a topornym pastiszem. Pozostaje niedosyt, chociaż w kilku fragmentach – chociażby w „Pee-Pop” – jakby od niechcenia pokazuje klasę. (WK)

Dystrybutoria Północ



MODERN ENGLISH. Płyta dokumentująca krótki żywot tej formacji. Lata świetności zespołu przypadają na początek lat 80. – koniec zimnej fali i początek new romantic. Trudno mówić tutaj o typowej składance The best of (choć „Life in the Gladhouse” za taką uchodzi), bo Modern English zbyt wielu hitów się nie dorobił. Za to kojarzony jest z drugą ligą wytwórni 4AD. Choćby dlatego warto zapoznać się z zawartością tej płytki; posłuchać 16 intrygujących piosenek, w których miesza się estetyka Joy Division, The Fall z Depeche Mode. I pomyśleć, że kiedyś nasi rodzimi pierwszoligowi muzycy założą tak dobry, drugoligowy zespół. (RZ)

4AD



PIXIES. Są zespoły, które nie zhańbiły się nigdy złą piosenką. Do nich należą śp. Pixies. Przymknijmy oko na liczbę ich pośmiertnych składanek. „Complete »B« sides” tylko potwierdza wielkość Pixies i kompozytorski geniusz Blacka Francis’a. Z 19 utworów tzw. drugich stron singli połowa to znane przeboje, druga zaś – potencjalne hity. Niewielu jest na świecie muzyków mających dar pisania tak chwytliwych piosenek i jednocześnie unikających pułapki kiczu i popowości. A tutaj prócz autorskich „Vamos”, „The thing”, znajdujemy inteligentne przeróbki Neila Younga, choćby „I’ve been waiting for you”. Wszystko polane pikantnym sosem Pixies – co docenią smakosze i amatorzy. (RZ)

4AD

GYMESIK DLA MELOMANA



ELEKTRONIKA ZE SMYCZKAMI

Wchodzi na ekrany „Requiem dla snu”, nowy film twórcy „Pi”, Darrena Aronofsky’ego. Z tej okazji warto przedstawić zespół Kronos Quartet, wykonawców ścieżki dźwiękowej.

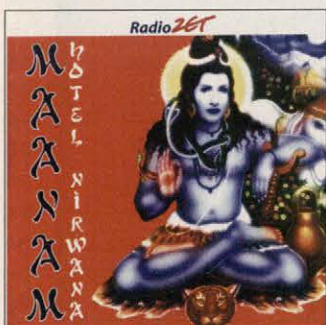
Paganini czy Liszt bili w swoim czasie rekordy popularności. Dlaczego zatem kwartet smyczkowy w dobie gwiazd rocka ma być skazany na

wąski krąg odbiorców? Kronos pokazuje, że tak być nie musi. Dowodzi, że dobra muzyka istnieje ponad podziałami na gatunki bardziej lub mniej ambitne.

Jedyne kryterium doboru repertuaru to gust członków „Kronos Quartet”, a ich intuicja jest niemal niezawodna. W dorobku zespołu (ponad 30 płyt) można odnaleźć utwory Astora Piazzoli, Gila Evansa, Johna Lurie, Jimmy’ego Hendriksa (wspaniała wersja „Purple Haze”), ale i Lutosławskiego, Góreckiego, Pendereckiego czy Schaeffera. Kronos gościł w Polsce na festiwalu Warszawskiej Jesieni oraz „Erze jazzu”. Kto nie zna, musi poznać!

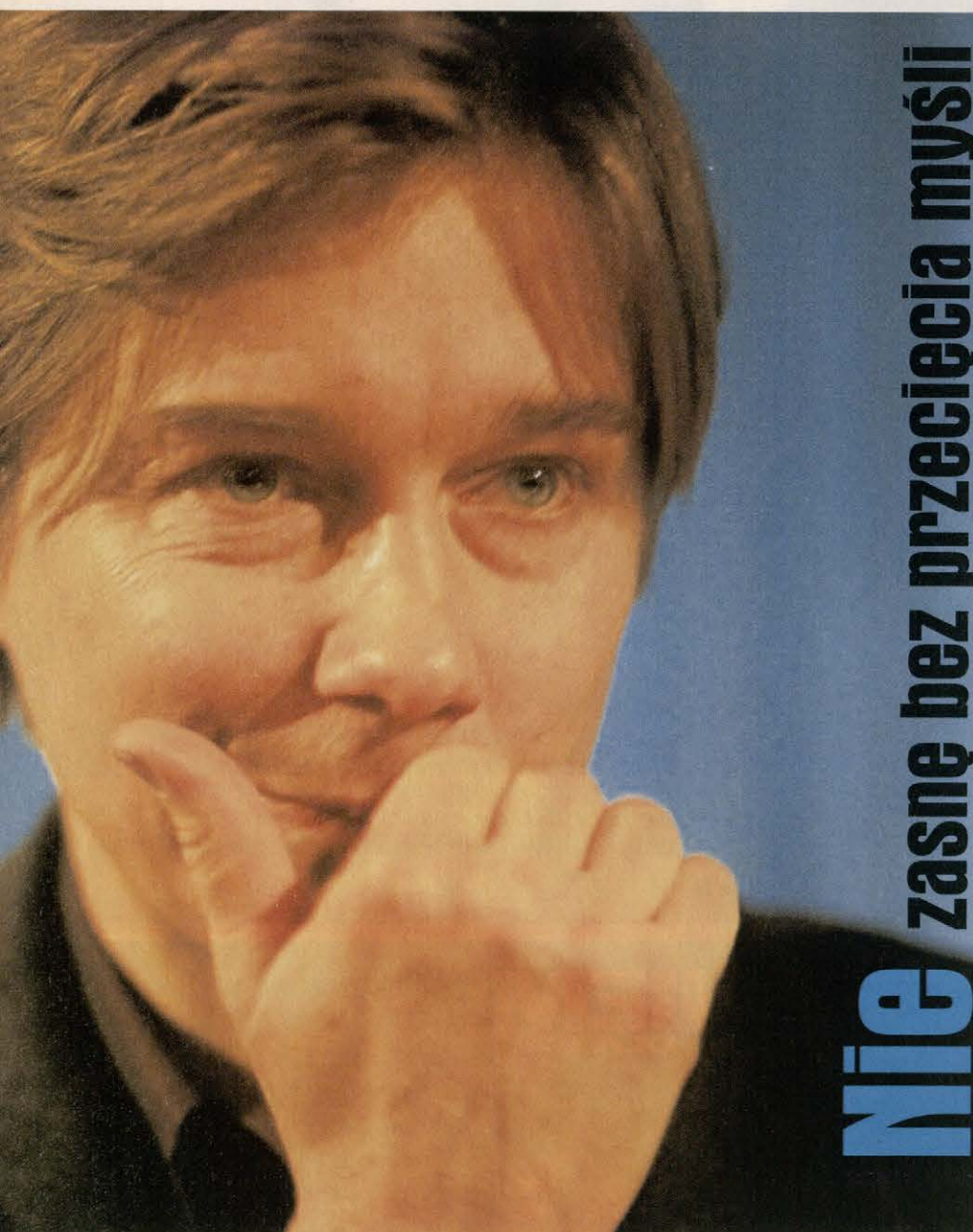
A jaka jest muzyka do „Requiem dla snu”? Elektronika w połączeniu ze smyczkami nałożonymi warstwowo tak, by dawały brzmienie orkiestrowe. Z pewnością sprawdzi się jako nierozdzielna część filmu, ale nie wróżę jej samodzielnej powszechnej kariery.

JULIA KUBICA



MAANAM. Płyta „Hotel Nirwana” nie zaskakuje. Pobrmiewają na niej echa osiągnięć zespołu, który muzycznie trzyma się nieźle – głos Kory chyba nie słabnie. Uwagę słuchacza może przyciągnąć aranżacja – na tradycyjnie rockowej podstawie wariacje głównie elektroniczne, mnóstwo sampli i loopów, ale również skrzypce i latynoskie trąbki. Jeden utwór jak modlitwa, kolęda, kołysanka. Teksty poetyckie, czasem zbyt buddyjskie, co nie powinno dziwić (nirwana). Płyta na wysokim poziomie Płaskowyżu Tybetańskiego, lecz do szczytów jeszcze trochę jej brakuje. (TSE)

Pomaton EMI



Nie zasną bez przecięcia myśli

FOT. PIOTR WOJCIAK

MARIUSZ TRELIŃSKI

Reżyser filmowy, teatralny i operowy. Urodzony w 1962 r. w Warszawie. Absolwent PWSFTViT w Łodzi. Debiut telewizyjny: „Zad wielkiego wieloryba” (1987), debiut kinowy „Pożegnanie jesieni” (1990) według St. I. Witkiewicza (nagroda ministra kultury, Nagroda im. A. Munka, nagroda na FPFF w Gdyni). Za inscenizację „Króla Rogera” Karola Szymanowskiego na scenie Opery Narodowej (premiera 10 III 2000) otrzymał Nagrodę im. Szymanowskiego. W latach 1990–1992 dyrektor artystyczny Studia Filmowego im. Karola Irzykowskiego. Inne realizacje to prapremiera opartej na powieści Borisa Viana opery „Wyrwacz serc” (Centrum Pompidou w Paryżu), „Łagodna” (1995), „Egoiści” (premiera 2 II 2001).

Co tutaj robisz?
Jestem.

Najbardziej niedoceniona z Twoich zalet?
Subtelność.

Pokusa nie do odparcia?
Chaos.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?
Niewiedza.

Gdybyś był psem, kogo byś ugryzł?
Tych, którzy wiedzą.

Twoje grzechy główne?
Brak skupienia. Łatwość.

Gdybyś był zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymał?
Za dwie dwunasta.

Czego powinno nie być?
Letniości.

Czego masz za dużo?
Myśli.

Pierwsze największe marzenie?
Ona.

Najbardziej staram się...
...pójść dalej.

Co odróżnia człowieka?
Wola.

Ostatnia tęsknota?
Pełnia.

Bez czego nie możesz zasnąć?
Bez przecięcia myśli.

Wyjątek czy reguła?
Reguła.

Na co liczysz?
Że będę bliżej.

Kiedy jestem sam...
...towarzyszy mi niepewność.

Za co zapłaciłbyś każdą cenę?
Za wytrwałość.

Co podpowiadają ci złe siły?
Zostaw to.

Twój najbardziej zaniedbany talent?
Cisza.

Jak chciałbyś być zapamiętany?
Poprzez to, co robię.

Co nowego?
Wiosna.

Pan Gen

Mamy już wyjaśnienie wszystkiego. Zwulgaryzowana wersja socjobiologii przyniosła wszechmocny GEN i rzekła: jako w naturze, tako i kulturze, a rządzi pan Gen. Natura ludzka dzieli się na babską i chłopską. Męska, poligamiczna, sieje geny, gdzie może; żeńska, mono, hoduje dzieci i łowi sobie samca do pomocy. Przez pryzmat socjobiologii i pokrewnych jej ujęć trudno pojąć, dlaczego kobiety i mężczyźni należą do jednego gatunku biologicznego. Interesy obu płci są sprzeczne, natury różne, porozumienie żadne. Ale socjobiologia w wersji uproszczonej przyjmuje się świetnie, bo się nie musi przyjmować. Jest przyjęta od niepamiętnych czasów. Tylko kiedyś te idee nie nazywały się socjobiologią. Biologią tłumaczono społeczną podległość kobiet i zatwierdzano nią seksizm. Także rasizm. Biologią tłumaczono, że w warunkach rynkowej konkurencji przetrwa ten, kto lepszy. „Magazyn Gazety Wyborczej”, zazwyczaj dość wybredny intelektualnie, swego czasu pomieścił ogromny wywiad z antropologiem fizycznym, dr. Pawłowskim, który to uczony obwieścił: nie ma takiej rury, której nie mógłbym przetkać moim socjobiologicznym wytrychem! Ale rura starych stereotypów płci w Polsce i tak jest drożna. Antropolog łał więc stare piwo do nowszych kufla, a lejąc, generalizował, upraszczał, stosował antropomorfizację, używał obrazowania i języka, które same

rysowały mu pożądaną wizję. O zwierzętach mówił w terminach ludzkich zachowań, a o ludziach w kategoriach przyrody. Więc samice „nie szczedzą wdzięków”, małpka bonobo „to istna nimfomanka”, szympanśica może „obsłużyć” kilku samców – wszystko w ludzkich kategoriach uwodzenia i prostytucji. Z tego rozumiem, że samiec szczedzi wdzięków (?), męski bonobo nie jest „istnym satyrem”, a szympanś nie „obsługuje” szympanśicy. No, no. Podległość kobiet jest dla antropologa naturalną i zasadniczo miłą zgodnością tego, co uważa za kulturę, z tym, co uważa za

Biologia tłumaczono społeczną podległość kobiet i zatwierdzano nią seksizm. Także rasizm.

naturę, dobór naturalny i ewolucję. Kiedy genetyk Marcin Szewed wytknął mu w polemice niekonsekwencje i generalizacje, został ostro objechany. Wyjątki jakies? Wszystkie wyjątki potwierdzają reguły! (Tzw. zasada ślepego, według której nie można dostrzec niczego innego, niż to, co się założyło.) Wśród zjawisk przyrody i kultury omawia się bez sentymentów infibulację (zszycie warg sromowych dziewczynkom) i kliterodektomię (usunięcie łechtacz-

ki). To są sposoby zapobiegania niewierności kobiet, które mężczyznom przynoszą nieco ulgi w ich niepokojach, jak wyjaśniał dr Pawłowski. „I tak po trzech porodach kobieta ma strzępki w okolicy krocza” – konstatuje dalej, wpisując kobietę i te jej strzępki w ogólne tło swej rozległej wiedzy. „W jednym z australijskich plemion usuwa się łechtaczkę dojrzewającym dziewczętom, a potem wszyscy mężczyźni mają stosunki z nowo obrzezanymi – powiada sobie tonem bezstronności. – Nieco inne znaczenie ma kliterodektomia w krajach muzułmańskich, łechtaczkę obcina się tam po to, by pozbawić kobietę przyjemności czerpanej z seksu (...). I żeby nie było nieporozumień: to nie mężczyźni usuwają kobietom łechtaczki, tylko inne kobiety (...).” Rozumiem, że świeżo poróżnione dziewczynki z Australii lubią ociekający krwią seks wynagradzający im kliterodektomię, ale tym z Afryki Północnej odbiera ona przyjemność – i same sobie tym szkodzą. Ale, żeby nie było nieporozumień: to wszystko jednak robią mężczyźni. A że tych zabiegów dokonują kobiety. Nie wiem, czy dr Pawłowski słyszał o prostym zawodzie strażnika więzienia. Lub kata. Otóż strażnik pilnuje więzienia, a kat dokonuje egzekucji, ale nie oni wydają prawa. Ale może to za trudne. Dajmy więc spokój i niech nas bawią te podstępne genetyki, która nawet przez prezerwatywę, jak się nam tłumaczy, dąży do sukcesu reprodukcyjnego. Bo i ta ustąpi genowi i pięknie w końcu, dając tym wyraz jakże prostej jedności natury i kultury. ■

BOŻENA KEFF



FOT. BOGDAN KRZEL

BOŻENA KEFF
Poetka, eseistka, krytyczka filmowa. Absolwentka filozofii i filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Napisła doktorat z zakresu kulturowej tożsamości płci (gender).

NOTKI i plotki

DROGIE I LUKSUSOWE rezydencje to zamilowanie Hillary Clinton i Władimira Putina. Pani senator wynajęła najdroższe biura w historii amerykańskiego parlamentu. Podatnicy będą za nie płać około 700 tys. dolarów rocznie. Natomiast prezydent Rosji przygotowuje sobie rezydencję w St. Petersburgu. Odnowienie carskiego pałacu ma kosztować około 200 mln dolarów. Kreml naciska, by te koszty pokryli rosyjscy biznesmeni.

MADONNA znów szokuje. Jej najnowszy teledysk został



wycofany z emisji we wszystkich muzycznych telewizjach, ponieważ okazał się zbyt brutalny.

Prawdopodobnie jest to historia zgwałconej kobiety, która odrağowuje ból i upokorzenie. Wszystko kończy się katastrofą samochodową.

SERVEN RICH to nazwa wody sióstr Williams. Przedsiębiorczy ojciec tenisistek oświadczył: „Ponieważ interesujemy się produktami o korzystnym wpływie na zdrowie i wiemy, czego sportowcy potrzebują, chcieliśmy znaleźć i skierować na rynek towar naszej własnej marki”. Woda tenisistek zawiera 800 razy więcej tlenu niż zwykła mineralna.

SPRZEDAŁA MĘŻA. Tak uczyniła pewna zdradzana Wietnamka. Szej rywalce-następczyni zaproponowała 7,5 mln dongów (516 dolarów). Młoda kobieta zapłaciła i natychmiast zabrała „towar” do domu.

STUDENT Uniwersytetu w Bradford w Anglii przebrał się za dalmatyńczyka i wziął udział w wystawie psich piękności. Jego koledzy i organizatorzy konkursu chyba też nieźle się bawili, ale niestety nie wiadomo, czy oryginalny „psiak” zdobył jakąś nagrodę.



FOT. EAST NEWS

SZCZĄTKI MIRA już do kupienia. Niestety – fałszywe. Wystawiono je na sprzedaż w internetowej firmie eBay. W kilka dni od zatopienia rosyjskiej stacji orbitalnej pojawiło się od 15 do 20 ofert. Rzecznik eBaya zapewnił jednak, że wszystkie takie zgłoszenia będą wycofane. Najprawdopodobniej całość Mira (choć w kawałkach) pozostanie własnością rządu rosyjskiego.

PEWNA PARA z Berlina wydała 120 tys. dolarów na przerobienie swojego mieszkania w salę tortur sadomasochistycznych. Na darmo – władze dzielnicy nie zgodziły się na otwarcie takiego klubu. Nie pomogły tłumaczenia właścicieli, że będzie to lokal dla tych, którzy „ubierają się troszkę dziwniej niż inni”.



myśli LUDZI WIELKICH, ŚREDNICH I PSA...

Po to zostały dane prawa,
aby silniejszy nie mógł wszystkiego.
Owidiusz

Nieszczęścia innych są nam obojętne, chyba że
sprawiają nam przyjemność.

Jules Renard

Nie mogę pojąć, czemu ci, co wierzą
wynikiem wyborczym, uważają się za mniej
łatwowiernych od tych, co wierzą w anioły.

George Bernard Shaw

Jestem dziś wyczerpany
jak skarb państwa.

Roman Gorzelski

Lepiej już coś dać niż pożyczyć.
Nie wychodzi drożej.

Krecia P.

To, co drzemie w człowieku najlepszego, to
mierzający w nim terier.

Fafik

Myśli zebrała Stella Varcaby



ABECADŁO Myszkina

Trawa. Na trawie leżeć. Paść baranka trawą. Trawniki gracować. Po trawie harcować. Wiecznie zielona trawa. Pójdiesz po trawie miękkiej i pachnącej. Szorstka to trawa i kłująca. Materac z morskiej trawy. Co trawa, to trawa. Co jednemu trawą, to drugiemu strawą. Trafiły mnie smutki i złości, jak trawa rosy czekam, jak sen mdły opadnie strach. Pobiegna smoki i wyjdzie z trawy rudogłowa. Może mrówka. Zbudować miasto w trawie, z marionetkami ludzi lalką. Nie deptać trawników. Pobiegna ulic kamienną iskrą, błysną, tramwaju iskrą zgrzytną, za pociąganiem sznurka myśli prysną. Trawę kosić królikowi. Bydłem, kto koniczyną kwiecie rwał, ten przeżuwał będzie kwiat, a żdźbła

nie wypłuje. Trzciny nie łamać. Trawa zmarznięta trzeszczy. Chodzić boso po trawie. Wyjść na tę łąkę podobne jest wyprawie do krajów odległych. Nie tak zimno na tej trawie. Trawię myśli. Nie myślę o trawie, kiedy po niej łażę. Łazi lisek koło drogi. Łazi wte i łązi wewte. Skąd lisy wiedzą, że po trawie chodzą? Z łap, ale łapom zostawiają to wiedzieć, bo mają o czym myśleć. Nie o trawie myślą. W stodole jest siano. To siano to trawa. Ta trawa jest sucha. To siano. Koń je siano, krowa je siano, owce beczą, a świnia nie je siano. Je muto. To dobrze, bo nie wszystko siano, co na stole mamy. My trawy nie jemy. Jedz kukurydzę, to też trawa. Na, smykaj se ziarka. To z trawy i do trawy.

MYSZKIN

REBUS Wyteż wyobraźnię i rozwiąż ten rebus dla przyjemności i dla wprawy. Za tydzień w „Przekroju” pojawi się o wiele większy rebus, którego rozwiązanie da szansę na wielką świąteczną nagrodę.



Rozwiązanie rebusu: Stary niedźwiedź mocno śpi.

Savoir-vivre 2*

DOKTORANTKA Z KRAKOWA. Od lat przyjaźnię się z dwiema rówieśniczkami (29), które w ostatnim roku bardzo podniosły swój poziom finansowy. Ja żyję głównie ze stypendium. Spotykamy się raz na miesiąc na wspólnej kolacji, której fundatorką jest jedna z nas. Koleżanki proponują coraz lepsze lokale, gdzie rachunek za trzy dania, wino i kawę zupełnie przekroczyłby moje możliwości. Czułabym się zażenowana, przypominając im o moim skromnym statusie materialnym. Jak wybrnąć? Nie chciałabym rezygnować z tych spotkań.

● Ale może pani zrezygnować z ubiegania się o tytuł naukowy i marnego stypendium. Dobrze płatne zawody to: właściciel agencji towarzyskiej, twórca gier

komputerowych, poseł na Sejm, rzecznik prasowy, bokser, członek jakiegokolwiek fundacji i wiele, wiele innych. Ostatnio są w cenie skoczki narciarscy.

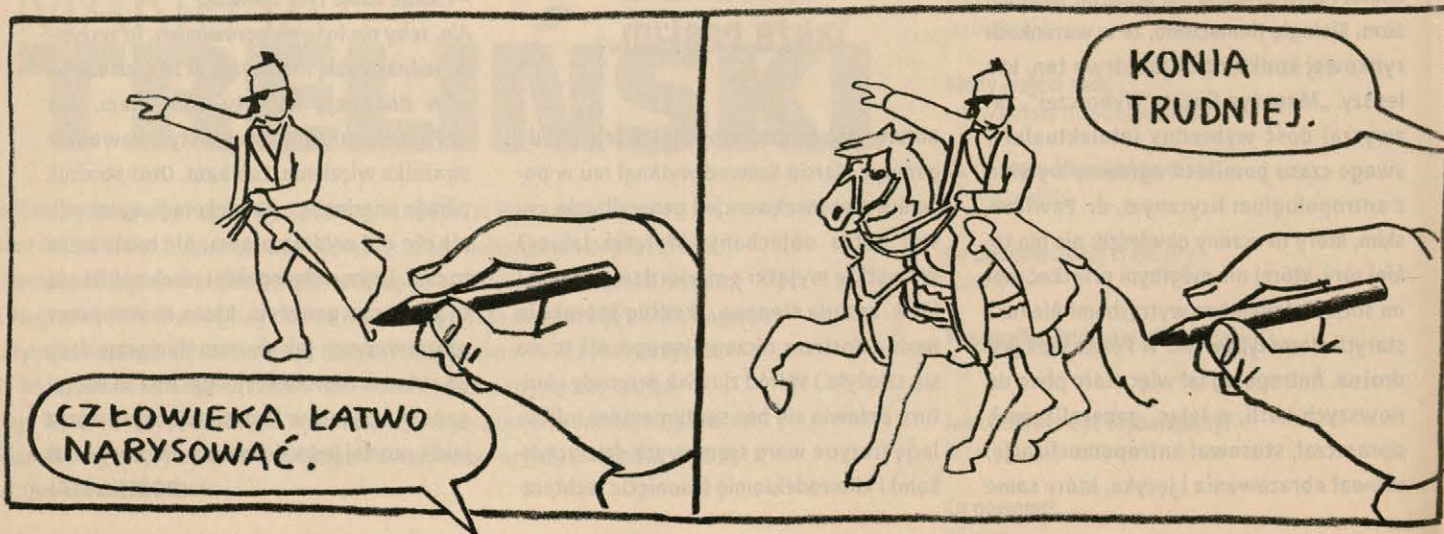
WŁAŚCICIELKA SKLEPU, KRAKÓW. Jedna z moich koleżanek, którą od roku często zapraszam na kolację w wytwornym lokalu, nigdy mi się nie rewanżuje tym samym. Już parokrotnie dawałam jej do zrozumienia, że mogłaby mi wreszcie też postawić. Jednak w ogóle nie reaguje na moje sugestie i jeszcze często na spotkania przychodzi w towarzystwie innej rówieśniczki (29), za którą też muszę płacić. To jest okropne, a do tego muszę wysłuchiwać ich nieprzerwanej paplania o studiach dokto-



ranckich i kpin z ludzi, którzy się dorobili. Co robić?
● Jako właścicielka dobrze prosperującego sklepu może pani odłożyć trochę grosza i rozpocząć studia. W wypadku podjęcia studiów doktoranckich obawiam się, że trzeba będzie sprzedać sklep, bo ze stypendium wyżyć trudno. W ten sposób zdobyte pieniądze na jakiś czas wystar-

czą, a potem warto rozglądać się za jakimiś zamożnymi osobami, które będą za praszać tu i ówdzie.

ALEKSANDER K. Chciałem zostać prezydentem. Niestety, nie zebrałem wystarczającej liczby podpisów, by móc zgłosić swoją kandydaturę. Stało się tak, ponieważ większość ludzi popierających mnie (ponad pół miliona) myliła moją osobę z innym kandydatem noszącym to samo nazwisko. Czy to wystarczający powód, żeby nazwisko zmienić? Dodam, że nie jestem wcale do niego przywiązany, a nawet odczuwam pewną niechęć.
● Podzielam pańskie uczucia, lecz jeśli zostanie pan przy aktualnym, to w następnych wyborach sukces ma pan murowany.
Od p. KRZYSZTOF JANICKI
*2(arab.,[wym. dwa]) cyfra, liczebnik porządkowy



Bikołt grzebie w starych „Przekrojach”

Czasy były zaiste makabryczne, więc trudno się dziwić Augustowi Bęc-Walskiemu. Swoją drogą, tę postać starego malkontenta-bęcwała rysownik Karol Ferster stworzył na zamówienie ówczesnej propagandy, aby obśmiać „wstecznych” nestorów i ich „sanacyjne” sentymenty – tymczasem pan August wśród czytelnich rzesz zyskał sporą popularność, jako wyraziciel rzeczywistych opinii ludzi, którym łatwiej było utożsamić się z nim niż ze Stanisławem Mazurem czy Wandą Gościmińską.



Oktadka nr 248

ŁUDZIE ROKU 1949



Stanisław Mazur, najlepszy rolnik Polski, odznaczony zaszczytnym orderem „Budowniczego Polski Ludowej”.



Wanda Gościmińska, włóknienka z Pabianic, odznaczona za swą pracę orderem „Budowniczego Polski Ludowej”.



Jan Mancewicz, mechanik PMT, czołowy nasz racjonalizator pracy, odznaczony orderem „Sztandaru Pracy” I klasy

Przepaść dzieląca kapitalizm i socjalizm, świat amerykańskich imperialistów i świat nasz, widoczna jest aż nazbyt dobrze w każdej dziedzinie życia. Przyjrzyjmy się małemu jej wycinkowi: różnicy amerykańskich i naszych „nowych twarzy” w prasie, czyli ludzi, którzy zyskują sobie popularność.

W Ameryce będą to przede wszystkim modne gwiazdy filmowe, potem aktorzy zbrodni i skandalów, potem wielcy milionerzy. U nas typy „nowych twarzy” nie są tak różnorodne. Tylko jeden typ człowieka ma słusne prawo do popularności w społeczeństwie: człowiek pracy. Gdyby zapytać pierwszego z brzegu mieszkańca Nowego Jorku, kogo uważa za najpopularniejszego człowieka USA w ro-

ku 1949, podałby nazwisko jakiejś Rity Hayworth. Gdyby zatrzymać pierwszego z brzegu mieszkańca Polski i pokazać mu niniejszą stronę „Przekroju”, poznałby sfotografowanych na niej i przyznał: tak, to o nich było najgłośniejsze u nas w roku 1949!

Mając takie „nowe twarze” w prasie, możemy ze spokojem patrzeć na bezsilne machinacje świata kapitalistycznego. Rita Hayworth nie wytrzyma konkurencji z Wandą Gościmińską, z Apriasem, z Mazurem. W ich twardej rękach leży przyszłość ludzkości i dlatego możemy być o nią spokojni!

CZESŁAW KOMARNICKI
„P” 247 z 1950 r.



Przed Wojskowym Sądem Rejonowym we Wrocławiu odbył się proces bandy szpiegów-sabotażystów. Na ławie oskarżonych zasiadli i skazani zostali na kary więzienia od 6 do 9 lat: urzędniczka konsulatu francuskiego we Wrocławiu Yvonne Bassaler, Feldeisen, Hoffman (oba ci „Francuzi” zeznawali w języku niemieckim, a jeden z nich był członkiem NSDAP), Bukisow (białogwardzista rosyjski, obywatel francuski) oraz obywatel polski b. WIN-owiec Kubisiak i obywatel niemiecki Hild. Cała ta dobrana kompania działała na rozkaz członków ambasady francuskiej w Warszawie, a proces dostarczył niezbitych dowodów, że francuskie placówki dyplomatyczne i konsularne w Polsce były zamaskowanymi centralami wywiadu. Nawet obserwatora procesu z ramienia władz francuskich pana Laporte rozpoznał jeden z oskarżonych jako zamieszkanego w afere... Na zdjęciu u góry: ława oskarżonych.

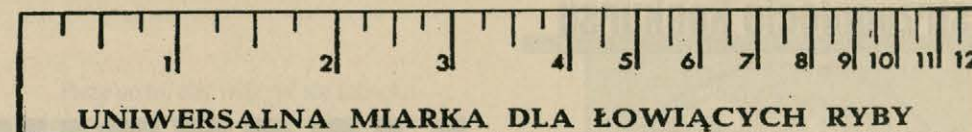
„P” 247 z 1950 r.

Już nie jada!

Dyrekcja Okręgowa Kolei
Państwowych
we Wrocławiu

Do Redakcji „Przekroju”!
W związku z notatką zamieszczoną w „Przekroju” nr 238 pt.: „Pluskwy jadą” Dyrekcja O.K.P. zawiadamia, że pracownicy, którzy wykazali brak należytego nadzoru nad czystością w wagonach pociągu kursującego w relacji Jelenia Góra-Dąbrowa, zostali odpowiednio ukarani, a wymieniony w notatce wagon został natychmiast skierowany do dezynfekcji.

(-) Piskorz
p.o. Naczelnika Personalnego
„P” 247 z 1950 r.



Na mocy uchwały KC PZPR „Książka i Wiedza” wydaje dzieła zebrane Stalina. Pierwsze dwa tomy wyszły w przeddzień uroczystości jubileuszowych.

„P” 247 z 1950 r.



— Augustcie, dlaczego ty się ciągle martwisz?
— Ależ ja nie martwię się ciągle. Ja martwię się CZASAMI.

„P” 247 z 1950 r.

SATYRA I HUMOR DEMOKRATYCZNYCH NIEMIEC

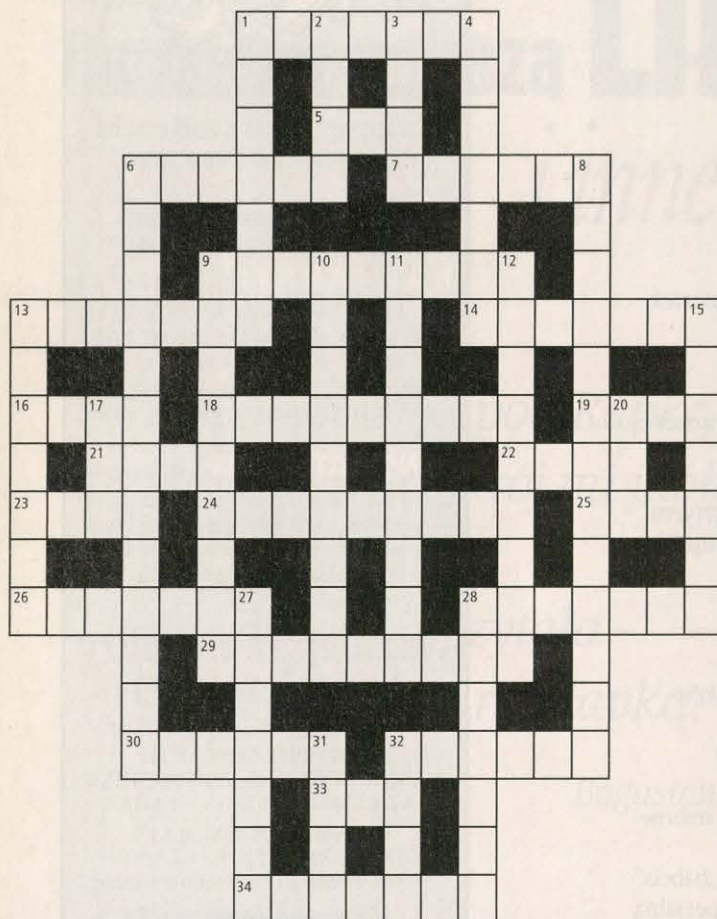


Mao-Tse-Tung
(Rozwija dywan pokoju na miejsce dywanu wojny)



— Czy to jest lekcja gimnastyki?
— Nie. To ministrowie rządu z Bonn.

(rys. H. Sandberg)



POZIOMO:

- 1 z ostatnią deską
- 5 metalowy spójnik
- 6 pismo do odczytania przez lupę
- 7 rodzaj pośredniego podatku
- 9 tam czają się zjawy
- 13 słomą nadziany
- 14 dziura w przedstawieniu
- 16 trawiasty na Wimbledonie
- 18 niebezpieczne przez zsunięty śnieg uformowane
- 19 do przybierania
- 21 pisklę naszego godła
- 22 sieć do połowu ryb dennych
- 23 popisuje się w delfinariu
- 24 bezresorowa bryczka pradiadkowa

- 25 suchy obszar wyżynny Mongolii i Chin, który zamieszkiwały dinozaury
- 26 dzianina ciągła
- 28 pośredniczy w sprzedaży
- 29 we włoszczyznym zestawie
- 30 pociąg rusza
- 32 gdzie sadelko odkłada się po konsumpcji kremówki
- 33 grubsza część nogi
- 34 spłot nieszczęśliwych okoliczności

PIONOWO:

- 1 wbrew nazwie służy także do nóg
- 2 naceglowa przykrywka
- 3 biłgorajska
- 4 pistolet dziadziś
- 6 cecha rozrutnego
- 8 powstanie i rozwój rodowy człowieka jako gatunku biologicznego
- 9 przedszkole krowiego potomstwa
- 10 rzeczy związane z wojskowością
- 11 papiery wartościowe ze stałymi odsetkami
- 12 nowość
- 13 drzewa mamutowe
- 15 prześcieradło też nią jest
- 17 365 dni 5 godzin 49 minut 46 sekund
- 20 pańskie konia tuczy
- 27 Starszych Panów
- 28 skrót bez kropki jak np. PKO
- 31 poczucie osobistej godności
- 32 do zrywania ze śmiechu

JOLKA nr 14



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

Ł7 - Ł10 - C16 / C1 - K8 - C7 - Ł14 - A11 / I11 - L5 - F14 - Ł1 - B10 - C2 - J9 / K14 / A16 - I3 - J7 - C3 / A3 - F7 - H13 - G14 - Ł5 - E10 - G9 - D16 / D15 / J13 - I1 - G3 - E6 / D4 - C8 - H2 - H12 / F4 - E12 - Ł2 - J16 - K6 - G10 - A15 - J4 - E8 / J5 - I8 - I13 - E14 / G8 - L3 - K16 - H10 - E1 - J11.

Wyrazy 9-literowe:

- pasażer widliska • tramp
- Zegadłowicza • poprzedza strzał • klapki u czapki • nadbałtycki gród • naddunajski gród

Wyrazy 8-literowe:

- gość w dom • cukiernicze wrzutki • z miejsca w telewizji • domowy pasat • poligon szkółek od czterech kótek

Wyrazy 7-literowe:

- stawowi romantyzmu przydaje • materiał na tysogóry • do zalania • strojniś, który ani drgnie • sobowtór z liter • klasa na wystawie

Wyrazy 6-literowe:

- pan zza ścian • rywal Cambridge

Wyrazy 5-literowe:

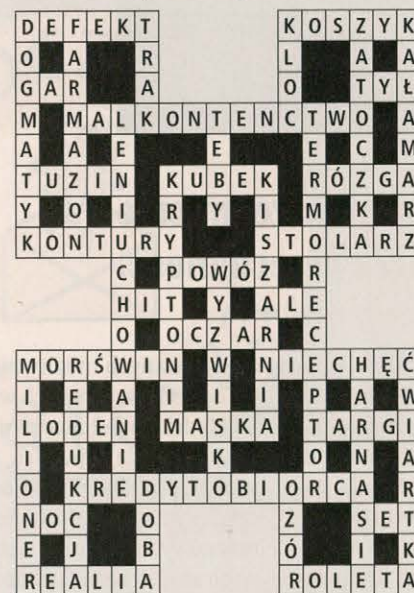
- bazylika pikli • babkę nasączy • zdecydowanie irytujący podnózek • ktoś to przytoczył • majstruje przy ognisku • odbije ci za grosze • spopod samyk – górol • smutny finał z torbą i kijem • cel zadzierania • jedną nie poprzebierasz

Wyrazy 4-literowe:

- tabernakulum materialisty • ze stadionem Ulleval • na Ulleval zmieniony przez Karwana • klitka, w której znikła kitka

• **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 15 kwietnia** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez producenta, firmę **MARIZA**. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „**Krzyżówka 14**”.

Rozwiązanie krzyżówki nr 12



• **Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 11** pięć nagród - niespodzianek ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Leokadia Szafrąńska, Wrocław; Edwarda Fazan, Wrocław; Zdzisław Stec, Krzeszowice; Emilia Plewniak, Oświęcim; Walter Rugor, Duszniki Zdrój. **Gratulujemy!**

• **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do niedzieli 15 kwietnia** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych 5 upominków - niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „**Jolka 14**”.

Rozwiązanie Jolki 12: SIEDMIU WSPANIAŁYCH

(tytuł filmu Johna Sturgesa)

• **Rzędami:** korek, Ernest, tabu, całokształt, tragik, pralinka, Alpuhara, splendor, wizjoner, autograf, rezonans, papuga, rybołówstwo, wróż, zaimek, Moore.

• **Kolumnami:** tramwajarz, laur, przeróbka, kung-fu, oszołom, rock, przednówek, kołdra, anatom, eukaliptus, polo, nianie, gapowe, skafander, głóg, etnografia.

• **Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 11** pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Irena Trzemąska, Krosno; Marian Szynkiewicz, Wilczęta; Jakub Pyszyński, Warszawa; Edward Fąfara, Radom; Halina Gęgniewicz, Sochaczew. **Gratulujemy!**

Słuchaj razem z „P”



Dziesięć lat Nowej Dwójki w Polskim Radiu

Program 2 Polskiego Radia istnieje od roku 1937 – wkroczył zatem w wiek dojrzały, a 8 kwietnia zamyka zarazem dziesięciolecie działalności wg nowej formuły.

W 1991 roku, zaraz po świętach Wielkiejnocy – a przypadały one wówczas 31 marca i 1 kwietnia – Program 2 rozpoczął nową erę działalności. Nadawanie muzyki rozrywkowej pozostawił innym programom PR, a skupił się na muzyce poważnej, literaturze i publicystyce kulturalnej. Po raz pierwszy w Polskim Radiu pojawiły się „Wiadomości kulturalne”. Autorką nowej koncepcji Programu 2 była Elżbieta Markowska, powołana w styczniu 1991 roku na stanowisko dyrektora.

W najbliższą niedzielę – 8 kwietnia Dwójka przedstawi swoje osiągnięcia, jak również poprosi słuchaczy o ocenę swojej działalności.

Ten dzień to oczywiście data umowna. Zmiany następowały ewolucyjnie. Zaowocowały licznymi nagrodami krajowymi i międzynarodowymi, m.in. nagrodą Zarządu Polskiego Pen Clubu za wybitne zasługi w sztuce przekazu literatury (1997) i nagrodą honorową ministra kultury i dziedzictwa narodowego za propagowanie wartości kulturowych i upowszechnianie kultury (1998).

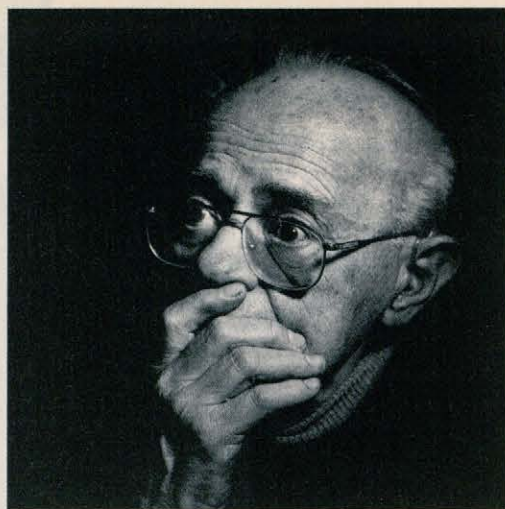
Słuchowiska nagrane w radiowym teatrze oraz utwory muzyczne skomponowane na zamówienie Programu 2 odniosły w ostatniej dekadzie wiele sukcesów na najbardziej prestiżowych konkursach radiofonii publicznych, m.in. na Prix Italia oraz Międzynarodowej Trybunie Kompozytorów UNESCO w Paryżu.

Wśród najważniejszych wydarzeń antenowych, zrealizowanych z inicjatywy Programu 2 w minionej dekadzie znajdują się festiwale muzyczne: Szymanowski i jego Europa (1997), Mieczysław Karłowicz – pokrewieństwa z wyboru (1998) Chopin 1999 – źródła i konteksty, Bach Tysiąclecie (2000), radiowe festiwale twórczości wybitnych pisarzy: Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza, Stanisława Grochowiaka, Jerzego Krzysztonia, Jarosława Iwaszkiewicza i Tadeusza Konwickiego, Juliusza Słowackiego „Godziny myśli” – kilkogodzinny spektakl w 150. rocznicę śmierci poety (1999), a ostatnio, w 100. rocznicę premiery „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego (16.03.2001), estradowa prezentacja tego arcydzieła w Studiu im. Witolda Lutosławskiego. Program 2 przeprowadził transmisje ogromnej liczby koncertów i spektakli operowych należących do różnych cykli oraz dni specjalnych Euroradia, festiwali krajowych i zagranicznych, m.in.: Warszawskiej Jesieni, Wroclawii Cantans, Holland Festival, Berliner Festwochen, Salzburger Festspiele, Wiener Festwochen, koncertów jubileuszowych z okazji tysiąclecia Gdańska (1997), Wielkanocnego Festiwalu Beethovenowskiego w Krakowie, koncertów urodzinowych Henryka Mikołaja Góreckiego (1993 i 1998), festiwalu Pendereckiego (1998), premiery światowej w Jerozolimie „Siedmiu Bram Jerozolimy” tego kompozytora (1997). W roku 2000 transmitował koncerty oraz relacjonował inne wydarzenia festiwalu „Kraków 2000”, a także dał pełny przekaz dźwiękowy Konkursu Chopinowskiego (podobnie jak w roku 1995). Fakt, iż Program 2 Polskiego Radia to największa filharmonia w Polsce, teatr o największej liczbie foteli, miejsce debat o kulturze z udziałem największego audytorium, wyróżnia rozgłośnie wśród wszystkich nadawców, nie tylko komercyjnych.

Od 1 września 2000 roku radiowa Dwójka emituje swój program przez całą dobę. Czy jest zwierciadłem kultury, jak ją prezentuje? Jaka jest proponowana jej wizja? Czy słuchacze mają możliwość jej kreowania? Co udało się dokonać Dwójce w ostatnim dziesięcioleciu, a gdzie poniosła porażki?

Rozmowy w gronie autorów Programu 2 z telefonicznym udziałem radiosłuchaczy – 8 kwietnia, od 8.00 do 24.00.

Co Pan na to, Panie **LEM**?



FOT. BOGDAN KRZEL

Zawiązki geniuszu chyba są dziedziczone w większej mierze aniżeli taka struktura neuronowa mózgu, która wytwarza przeciętność.

Jeżeliby połączyć w linię ciągłą wszystkie włókna (czyli aksony i dendryty), jakimi powiązane są komórki ludzkiego mózgu, to ich łączna długość wykraczałaby daleko poza odległość Księżyca od Ziemi i wyniosła około 400 tys. km. W naszym mózgu znajduje się około 12 mld komórek zwanych neuronami, ich współpraca zaś zawiaduje bezlikami procesów organizmu ludzkiego, z czego nie zdajemy sobie jednak najczęściej sprawy. Zresztą, czy owych neuronów jest dokładnie 12 mld, czy trochę więcej, dokładnie nie wiadomo, ponieważ nikt ich szczegółowo nie policzył.

Podług najnowszych badań neurologicznych tylko skromna część neuronowej aparatury mózgowej działa w taki całościowy sposób, że tworzy to, co nazywamy życiem mentalnym wraz z jego świadomością. Dawniej uważano, że niską albo wysoką rangę nadaje mózgom przede wszystkim ich ciężar, a więc rozmiary. Tak jednak nie jest. Mózg delfina jest znacznie większy niż ludzki, a zatem jeżeliby inteligencja zależała od wielkości mózgowej masy, to delfiny powinny wykładać na uniwersytecie.

Badania, dzięki którym możemy już obecnie „zaglądać” do ludzkiego mózgu, ażeby śledzić choć z grubsza aktywność neuronową podczas myślenia, na przykład przy rozwiązywaniu jakiegoś zadania, pozwalają nam określić, które obszary mózgu okazują się połączone czynnościowo, jako współpracujące zespoły.

Obserwacje takie, przeprowadzane w różnych eksperymentalnych sytuacjach, ugruntowują domniemanie, że o intelektualnym potencjale umysłowym człowieka decyduje nie tyle i nie tylko ilość neuronów w jego mózgu, lecz ilość i sposób połączeń między nimi. Neurony są zatem stacjami przełącznikowymi sieci mózgowych powiązań i od tego, jaka jest ilość i gęstość owych powiązań poszczególnych połączy mózgu, zależy osobnicza inteligencja, na którą, jak się już dowiedzieliśmy, znaczny wpływ ma też osobnicze życie emocjonalne.

Jakkolwiek zawiązki różnorodności rodzajów inteligencji są warunkowane u noworodka dziedzicznym składem genowym, to jednak są to właśnie tylko zawiązki, których rozrost i dojrzewanie umożliwia dopiero współżycie dziecka z jego środowiskiem. Jeszcze nie wiemy, jak to się dzieje, że gotowość sprawnego wyuczenia się mowy, a potem także czytania i pisanie, jest u wszystkich noworodków na świecie taka sama. Znaczy to, że dziecko Chinki, urodzone i wychowane w Polsce, nie będzie się językowo niczym różnić od rdzennego Polaka, a zatem zachodzi również sytuacja odwrotna: dziecko polskie dorastające w Chinach stanie się mentalnie i językowo Chińczykiem.

Podobne, eksperymentalnie potwierdzone zjawiska, zdają się jednocześnie rzucać światło na to, że dystrybucja inteligencji podlega prawom statystyki, czyli mówiąc po prostu – w każdej ludzkiej populacji obecni są zarówno głupcy, jak i mędrcy, przy czym ludzi o przeciętnym potencjale umysłowym, czyli takich, których można by pospolicie nazwać „średniakami”, jest najwięcej. A zatem można – używając uproszczonego modelu metaforycznego – orzec, że każdy człowiek, rodząc się, otrzymuje niejako pewien odziedziczony kapitał, to zaś, czy zdoła ów kapitał powiększyć i spotęgować, czy raczej zmarnować, zależy właśnie zarówno od genetycznie

zakodowanych możliwości, jak też od cech rozwiniętych w życiu.

Model ten jest mocno uproszczony, ale daje pewien wgląd w znaczną odmienną osobniczych sytuacji ludzkich. Schemat mózgowych połączeń neuronowych nie jest nam dany dożywno od urodzenia, a więc nie jest sztywny, i dlatego można kształcić dalej to, co dziedzicznie warunkowane.

Nie posiadaliśmy umiejętności rozpoznawania tych połączeniowych układów mózgowych, które sprawiają, że poziom umysłowej sprawności Einsteina jest wielką statystyczną rzadkością. Zdaje mi się, że niekiedy zawiązki geniuszu są dziedziczone w większej mierze aniżeli taka struktura neuronowa mózgu, która wytwarza przeciętność. Ostatnio zaś zapanała w psychologii moda na podkreślanie i badanie czynników uczuciowych, czyli tzw. ilorazu emocjonalnego. O tym ilorazie pisze się już sporo grubych książek, jednak nie wymyślono jeszcze żadnej skali, na jakiej można by ową wartość mierzyć.

Tak więc oprócz oczywistej prawdy, że ludzie różnią się między sobą zarówno władzami intelektu, jak osobniczym charakterem życia emocjonalnego, nic wymiernego, jak dotąd, na temat pracy naszego mózgu nie wiadomo.

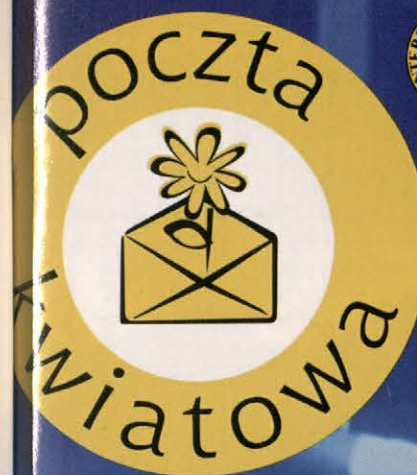
STANISŁAW LEM
27 marca 2001



Stosunkowo niewielka, chociaż mimo wszystko idąca w miliardy, liczba neuronów nie jest skierowana na kontrolę funkcjonowania narządów naszego ciała, lecz zajmuje się tym, co się dzieje na zewnątrz, czyli zawiaduje naszymi zmysłami.

RYŚ. DMITRI SZEWKOW KSIEMLOW

POCZTA KWIATOWA-INTERFLORA



*Doreczamy kwiaty
w dowolne miejsce
w kraju i na świecie*

infolinia: 0801 60 46 96
tel. (0-22) 828 95 95
www.kwiaty.pl



Wyobraź sobie, moja droga, powiedziała była hrabina do byłej hrabiny, że w tych ich nowocześniejszych oborach krowy mają teraz cielęta, mimo że w oborze nie ma ani jednego byka. To się nazywa sztuczna inspiracja.

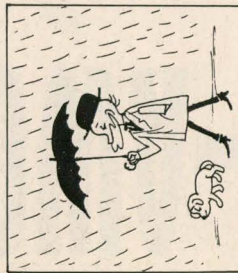
SIENKIEWICZADA

"Słowo Polskie" (nr 4) zamieściło fotografię jednego z naszych znanych sportowców i tak ją opisało:

Rafał Kubacki, judoka, Ursus w "Ogniem i mieczem".

W tym "Ogniem i mieczem" zaprzyjaźnił się z niejakim Podbipiętą i wspólnie poderwali Marynię Polaniecką.

(Nadesłana: L. Smoląg)



Rys. Zbigniew Lengren

The New Yorker



- O rany! Jakbym chciał kiedyś spotkać cię bez smyczy!

* * *

W pisarzu i działaczu ta największa chwała,
Gdy tak uczy, jak myśli, tak pisze, jak działa.

(Ignacy Krasiński)



Instrument ssaący

"Imperium TV" (nr 8)
Stasiek Wielanek
Gra już 50 lat
Król piosenki warszaw-

skiej, Stasiek Wielanek,
świętował w stołecznym
Teatrze Polskim swoje
50. urodziny...

Pierwszym instru-
mentem Staska-jubila-
ta był smoczek.

(Nadesłana: L. Dorochowicz)

Stasiek góra!

"Antena" (nr 8) pisze
o przedwojennej ekranizacji Barbary Radziwił-
łówny z Jadwiga Smo-
sarską w roli głównej.
Film cechował:

Przepych scenogra-
ficzny, patetyczna gra
aktorska oraz scena
wzorowana na przed-
stawiającym śmierć
Barbary obrazie Stani-
sława Matejki.

Stasiek M. zawsze
miał dobre publicity,
czego zazdrościli mu in-
ne plótnochłapy i co
ciągnie się aż do dzisiaj.

(Nadesłana: L. Naglik)

"Treny" jest to gatunek lite-
racki chwalcący Urszulkę za to,
że umarła.

Świat zmarłych żyje swoim własnym ży-
ciem.

Jacek Soplica, wielki rozpustnik, w wyni-
ku reinkarnacji stał się za karę robakiem.

Orszak weselny otwierała orkiestra, na
ktorej czele szedł skrzypek z fletem.

HUMOR ZESZYTÓW wybrałmy ze zbiorów: A. Kozar-
zewskiego z Pułtuska, J. Golanowskiego z Ostrzeszowa,
J. Kaptura z Tomaszowa Lubelskiego i D. Murawiec
z Podborcza. Dziękujemy.

ŚMIESZNOTY

Z godną podziwu regulacją telewizyjną wierzchowka wszelkich politycznych odcieni kil-
ka razy do roku obrzuca się najrozmaitszymi na-
grodami. Małpując przy okazji oscarowe cere-
moniały. Są już tacy, co mają po kilka, kilkana-
ście, a może nawet kilkadziesiąt tych odlewów.
Do odlewów są zwykle dostosowane konkretne
odprawy, co całkowicie zadowala obie opcje, le-
wą i prawą, i usprawiedliwia fakt, że dostają je
głównie telewizyjne kierownice i kierownicy.

"Śmiesznoty" uroczyscie oświadcza, że każdy, kto po tegorocznych świętach wielkanocnych, czy to w radio, czy w tele-
wizji, czy też w prasie, bąknie cokolwiek o ciepłych buteczkach lub trzymaniu kciu-
ków, będzie miał niezbywalne prawo do
noszenia w klapie honorowej odznaki Zło-
tego Subkretyna.

Alojzy Gonzaga Żółkowski, najstyn-
niejszy komik rozmieszający Pola-
ków, zwłaszcza warszawiaków, przez
długi okres XIX wieku, został pewne-
go razu wyzwany na pojedynek, z pra-
wem wyboru broni. Na miejscu hono-
rowej rozprawy zjawił się o świcie z...
wypożyczoną armatą.

Okropnie straszyl nas ten rozlatujący się
w kosmosie radziecki jeszcze latawiec. Nie
wiadomo było, gdzie spadnie. Z tego powo-
du nasz profesor Filutek, człowiek myślący
i przewidujący, w tych ostatnich tygodniach
nawet przy pięknej pogodzie chodził na
wszelki wypadek z otwartym parasolem.

W Nepalu siedem procent dziew-
czynek poniżej dziesiątego roku
życia zostaje mężatkami. U nas
jeszcze dziewczynki tak dobrze nie
mają.

PARLAMENTARNA ROZMÓWKA

Pani Bessie Braddock (członkini Izby Gmin
z ramienia Partii Pracy) na jakieś wywody
Churchilla krzyknęła:

- Winston, ty jesteś pijany!

Na co Churchill zarepostował:

- A ty, Bessie, jesteś potwornie brzydka,
z tym że ja jutro już będę trzeźwy.

Brat PRZEK-ROJEK